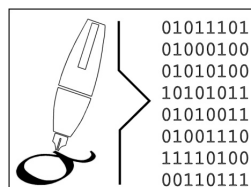


Ursula Le Guin

Opowieści Orsiniańskie

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz



fontanny

Wiedzieli, że dr Kereth być może spróbuje poprosić w Paryżu o azyl polityczny, ponieważ dostarczyli mu do tego wystarczających powodów. Toteż w lecącym na zachód samolocie, w hotelu, na ulicy, podczas spotkań, a nawet kiedy czytał referat na posiedzeniu sekcji cytologicznej, zawsze towarzyszyły mu w pewnej odległości niewyraźne postacie, które można by wziąć za magistrantów lub chorwackich mikrobiologów, lecz które nie miały nazwisk ani twarzy. Ponieważ obecność doktora dodawała nie tylko splendoru delegacji jego kraju, ale i pewnego blasku władzom (Spójrzcie, pozwoliliśmy przyjechać nawet jemu!), chciano, żeby pojechał, lecz nie spuszczano z niego oka. Przyzwyczał się do tego. W jego niewielkiej ojczyźnie można było stać się niewidzialnym, jedynie zamierając w bezruchu, wyciszając głos, ciało, umysł. Zawsze był człowiekiem niespokojnym, rzucającym się w oczy. Tak więc kiedy nagle szóstego dnia w trakcie wycieczki prowadzonej przez przewodnika stwierdził, że się ulotnił, przez pewien czas był zdezorientowany. Czy tylko idąc ścieżką, można osiągnąć własną nieobecność?

Zrobił to w bardzo dziwnym miejscu. W żółtych promieniach popołudniowego słońca żółcił się za nim wielki, opuszczony, straszny dom. Na tarasach uwijały się tysiące wielobarwnych karłów, a znajdujący się za nimi bladobłękitny kanał prowadził prosto w nierzeczywistą dal września. Trawniki kończyły się kępami wysokich na trzydzieści metrów, szlachetnych, poważnych, poprzątykanych złotem kasztanowców. Chodzili w cieniu tych drzew, po ścieżkach do konnej jazdy należących do zmarłych królów, ale przewodnik wyprowadził ich z powrotem w słoneczny blask trawników i marmurowych płyt. Prosto przed nimi były z fontann wysoko w powietrze lśniące kolumny wody. Pulsowały i śpiewały w świetle nad marmurowymi misami. Błahe, ładne pokoje pałacu, wielkiego niczym miasto, w którym nikt nie mieszkał, obojętność szlachetnych drzew będących jedynymi odpowiednimi mieszkańcami ogrodu zbyt rozległego dla ludzi, dominacja jesieni i przeszłości — wszystko to plusk wody ujmował we właściwe proporcje. Fonograficzne głosy przewodników milkły, fotograficzne oczy oprowadzanych widziały. Fontanny strzelały w górę, spadały radośnie w dół i splukiwały śmierć.

Działy czterdzieści minut. Potem zamierały. Tylko wielcy królowie mogli sobie pozwolić na uruchomienie Wielkich Fontann Wersalu i żyć wiecznie. Republiki muszą zachowywać własne proporcje. Zatem strzeliste białe pióropusze wody zająknęły się. Pierśi nimf wyschły, usta bogów rzek ziały czernią.

Potężny głos wody wzbijającej się w górę, a potem spadającej w dół zmienił się w urywane, kaszłące westchnienia. Wszystko się skończyło i każdy przez chwilę stał w samotności. Adam Kereth odwrócił się i ujrzawszy przed sobą ścieżkę, ruszył nią ku drzewom, oddalając się od marmurowych tarasów. Nikt za nim nie poszedł, i właśnie w tej chwili dr Kereth zbiegł, chociaż wcale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Popołudniowe słońce przeplatało się ciepłymi plamami z cieniami leżącymi na ścieżce, a przez światło i cień szli, trzymając się za ręce, chłopak i dziewczyna. Daleko za nimi podążał samotnie Adam Kereth, a po policzkach ciekły mu łzy.

Po chwili cienie się rozbiegły i kiedy Adam podniósł wzrok, nie zobaczył ani ścieżki, ani kochanków, a jedynie ogrom delikatnego światła, a pod nim mnóstwo kulistych drzewek w drewnianych donicach. Doszedł na taras przed oranżerią. Na południe od tego wyniosłego punktu zobaczył tylko las, Francję niczym rozległy las w jesiennym zmierzchu. Nie grały już rogi, wypłaszające z kryjówek wilki czy dziki na królewskie polowanie — nie ostała się już żadna duża zwierzyna łowna. Jedynymi tropami w tym lesie były ślady stóp młodych kochanków, którzy przyjechali autobusem z Paryża, prze-spacerowali się wśród drzew i zniknęli.

Nie mając żadnego szczególnego celu i nadal nie zdając sobie sprawy z tego, że zbiegł, Kereth powoli zawrócił szerokimi V ścieżkami w kierunku pałacu, który w zapadającym zmierzchu nie był już żółty, lecz bezbarwny, niczym skalne urwisko nad plażą, kiedy opuszczają ją ostatni plażowicze. Zza niego docierał stłumiony hałas przypominający huk rozbijających się fal — to silniki autobusów turystycznych, wyruszających w drogę powrotną do Paryża. Kereth zatrzymał się. Między milczącymi fontannami przemykały po tarasach nieliczne małe postacie. Z daleka dobiegł kobiecy głos wołający dziecko, żalostny niczym wołanie mewy.

Mając już sprecyzowany cel, Kereth odwrócił się i nie patrząc za siebie, czujny i wyprostowany jak ktoś, kto właśnie coś ukradł — ananasa, portmonetkę, bochenek chleba — z lady i ukrył to pod płaszczem, ruszył wielkimi krokami z powrotem w półmrok między drzewa.

— To jest moje — powiedział głośno do wysokich kasztanowców i dębów, niczym złodziej wśród policjantów. — To jest moje! — Francuskie dęby i kasztanowce zasadzone dla arystokracji nie odpowiedziały na to gwałtowne, republikańskie twierdzenie wypowiedziane w obcym języku. Niemniej jednak zamknęła się wokół niego ich ciemność, milcząca, spiskowa ciemność wszystkich lasów, w których ukrywali się uciekinierzy.

Nie spacerował po zagajniku długo, jakąś niecałą godzinę — bramy zamykano na

noc, a on nie chciał zostać uwięziony w Wersalu. Nie po to tu jest. Więc nim zapadła noc, podszedł bliżej tarasów, nadal wyprostowany i spokojny jak jakiś król czy kleptomani, i obszedł ogromne, blade nadmorskie urwisko o licznych oknach, a potem przeszedł się po wybrukowanej plaży.

Prychał tam jeszcze jeden autobus, niebieski, a nie szary, którego się bał. Jego autobus już odjechał. Odjechał, pogrążył się w morzu wraz z przewodnikiem, jego kolegami, rodakami, mikrobiologami, szpiegami. Odjechał, oddając mu Wersal w posiadanie. Siedzący nad nim na ogromnym koniu, zniekształcony z tak bliskiej odległości Ludwik XIV dowodził istnienia absolutnych przywilejów. Kereth podniósł wzrok na twarz z brązu, na duży, brązowy, burboński nos, tak jak dziecko patrzy na swego starszego brata z miłością i szyderstwem. Wyszedł za bramę. W kafejce po drugiej stronie drogi prowadzącej do Paryża jego siostra podała mu wermut na zakurczonym, zielonym stoliku pod sykomorami. Z południa, od lasów wiał wiatr niosący noc i jesień, i podobnie do wermutu jego woń była gorzkawa od zapachu suchych liści.

Jako wolny człowiek poszedł na podmiejską stację wybraną przez siebie drogą, o wybranej przez siebie porze, sam kupił sobie bilet i sam wrócił do Paryża. Nikt, nawet on sam, nie wie, na jakiej stacji wysiadł z metra ani gdzie wałęsał się po mieście, będąc zbiegiem. O jedenastej w nocy stał przy balustradzie Mostu Solferino: niski czterdziestosiedmiolatek w tandetnym garniturze, wolny człowiek. Patrzył, jak na czarnej powierzchni spokojnie płynącej rzeki drżą światła mostów. W górze i w dole jej biegu na obu brzegach mieściły się azyle: siedziba rządu Francji, ambasady amerykańska i angielska. Idąc na most, przechodził obok nich wszystkich. Może było już zbyt późno w nocy, żeby do nich wejść. Stojąc pośrodku mostu, między lewym i prawym brzegiem, pomyślał: Nie ma już żadnych kryjówek. Nie ma tronów, nie ma wilków ani dzików — wymierają nawet afrykańskie lwy.

Jedynym bezpiecznym miejscem jest zoo.

Nigdy jednak nie zależało mu szczególnie na bezpieczeństwie, a teraz pomyślał, że nie zależy mu też na ukrywaniu się, bo znalazł coś lepszego: swoją rodzinę, swoje dziedzictwo. Tutaj wreszcie spacerował po ogrodzie nadnaturalnej wielkości, ścieżkami, po których chodzili przed nim jego koronowani starsi bracia. Po czymś takim nie może przecież schronić się w zoo. Przeszedł przez most, wrócił do hotelu, idąc pod ciemnymi łukami Luwru. Wiedział teraz, że jest jednocześnie i królem, i złodziejem, a więc wszędzie znajduje się u siebie i do ojczyzny kieruje go zaledwie wierność. Bo cóż innego powinno w dzisiejszych czasach kierować człowiekiem? Królewskim krokiem przeszedł obok agenta tajnej policji siedzącego w hotelowym westybulu, ukrywając pod marynarką ukradzione, niewyczerpalne fontanny.

kurhan

Ośnieżoną drogą zesła z gór noc. Ciemność pochłonęła wioskę, kamienną wieżę twierdzy Vermare, kurhan przy drodze.

Zaległa kąty pomieszczeń twierdzy, rozsiadła się pod wielkim stołem i na każdej krokwii, czekała za plecami każdego z mężczyzn siedzących przy kominku.

Gość zajmował najlepsze miejsce, narożne siedzenie wystające z jednej strony kominka czterometrowej szerokości.

Gospodarz, Freyga, pan twierdzy, hrabia Montayny, siedział wraz z pozostałymi na obmurzu paleniska, chociaż bliżej ognia niż niektórzy z nich. Skrzyżował nogi, duże dłonie oparł na kolanach i spokojnie patrzył w ogień. Rozmyślał o najgorszej chwili swego dwudziestotrzyletniego życia — o wyprawie myśliwskiej nad górskie jezioro Malafrena trzy jesienie temu.

Prześladował go widok cienkiej barbarzyńskiej strzały, sterczącej z gardła ojca, wspomiął, jak wyciskał kolanami zimne błoto, klęcząc obok niego w trzcinach, w kręgu mrocznych gór. Włosy ojca lekko falowały w wodzie jeziora. On sam miał w ustach dziwny posmak, posmak śmierci, jakby polizał spiz. Teraz też czuł smak spizu. Nasłuchiwał głosów kobiet w pomieszczeniu nad głową.

Gość, wędrowny kapłan, opowiadał o swych podróżach. Pochodził z Solarij leżącego na południowych nizinach. Mówił, że nawet kupcy mieszkają tam w domach z kamienia. Baronowie mają pałace i srebrne talerze i jedzą pieczoną wołowinę. Wasale i służący hrabiego Freygi chłonęli jego słowa z otwartymi ustami. Freyga, który słuchał dla zabicia czasu, zmarszczył czoło. Gość zdążył już ponarzekać na stajnie i na zimno, na baraninę podawaną na śniadanie, obiad i kolację, na zaniedbany stan kaplicy w Vermare, na sposób, w jaki odprawiano w niej mszę.

— Arianizm! — mruknął, wciągając powietrze i żegnając się. Staremu ojcu Egiusowi powiedział, że wszystkie dusze w Vermare są potępione, bo wierni otrzymali heretycki chrzest. — Arianizm, arianizm! — krzyczał.

Trzęsący się ze strachu ojciec Egius myślał, że arianizm to diabeł, i usiłował wyjaśnić,

że nikt w jego parafii nigdy nie był nawiedzony z wyjątkiem jednego z baranów hrabiego, który miał jedno oko żółte, a drugie niebieskie, i który ducnął brzemienną dziewczynę tak, że poroniła, ale pokropili go święconą wodą, po czym nie sprawiał już więcej kłopotów, właściwie jest dobrym reproduktorem, a dziewczyna, która poczęła dziecko poza stanem małżeńskim, poślubiła zacnego chłopca z Bary i powiła mu pięciu małych chrześcijan, co roku jednego.

— Herezja, cudzołóstwo, ignorancja! — grzmiał obcy kapłan. Teraz, zanim zjadł barana zarzniętego, przyrządzonego i podanego rękoma heretyków, modlił się przez dwadzieścia minut.

Czego on chce? — pomyślał Freyga. Czyżby w zimie spodziewał się wygód? Czyżby z tym swoim "arianizmem" uważał, że są poganami? Na pewno nigdy nie widział pogani — tych małych, smagłych, strasznych ludzi z Malafreny i dalej położonych wzgórz. Na pewno nigdy nie wypuszczano ku niemu pogańskich strzał. To nauczyłoby go różnicy między poganami i chrześcijanami, pomyślał Freyga.

Kiedy wydawało się, że gość na razie zakończył przechwałki, Freyga odezwał się do chłopca, który leżał przy nim, opierając podbródek na dłoni:

— Zaśpiewaj nam coś, Gilbertcie.

Chłopiec uśmiechnął się, usiadł i od razu zaczął śpiewać wysokim, delikatnym głosem:

Król Aleksander wyruszył na bój,
Złotą zbroję przywdział Aleksander,
Złote miał nagolenniki i wielki hełm,
Pancerz cały miał z kutego złota.
Odziany w złoto nadciągał król,
Chrystusa przyzwał, przeżegnał się
Wśród wzgórz o zmiernchu.
Naprzód armia króla Aleksandra
Ruszyła na koniach, wielkie zastępy
W dół ku równinom Persji,
By nieść śmierć i kieskę, za królem szli
Wśród wzgórz o zmiernchu.

Długa recytacja ciągnęła się monotennie. Gilbert rozpoczął w środku historii i skończył ją także w środku, na długo przed śmiercią Aleksandra "wśród wzgórz o zmiernchu". Nie miało to żadnego znaczenia, bo wszyscy znali tę pieśń od początku do końca.

— Dlaczego każesz chłopcu śpiewać o pogańskich królach? — zapytał gość.

Freyga uniósł głowę.

— Aleksander był wielkim chrześcijańskim królem.
— Był Grekiem, poganinem i bałwochwalcą.
— Bez wątpienia znasz trochę inną pieśń, niż my — rzekł uprzejmie Freyga. — Tak jak myją śpiewamy, są w niej słowa: “Chrystusa przyzwał, przeżegnał się”.

Na twarzach niektórych z jego ludzi widać było uśmiechy.

— Może twój służący zechce nam zaśpiewać lepszą pieśń — dodał Freyga, jego uprzejmość bowiem była szczera.

Sługa kapłana bez specjalnej zachęty zaczął śpiewać nosowym głosem kań tyczkę o świętym, który przez dwadzieścia lat mieszkał nie rozpoznany w domu swego ojca, gdzie dostawał do jedzenia odpadki. Freyga i wszyscy jego domownicy słuchali zafascynowani. Rzadko trafiały do nich nowe pieśni. Śpiewak jednak urwał, słysząc dziwne, przenikliwe wycie dobiegające z zewnątrz komnaty. Freyga zerwał się na równe nogi, wpatrując w ciemność. Spostrzegł jednak, że jego ludzie nie poruszyli się, że siedzą w milczeniu, spoglądając na niego. Z pomieszczenia na górze ponownie dobiegł niewyraźny skowyt. Młody hrabia usiadł.

— Dokończ swą pieśń — rzekł.

Sługa kapłana odklepał resztę utworu byle jak. Kiedy skończył, zapanowała cisza.

— Zrywa się wiatr — odezwał się ktoś cicho.

— Ciężką zimę mamy.

— Kiedy wczoraj szedłem przez przełęcz z Malafreny, śnieg miałem po uda.

— To ich sprawka.

— Czyja? Ludzi gór?

— Pamiętasz tę wypatroszoną owcę, którą znaleźliśmy zeszłej jesieni? Kass powiedział wtedy, że to zły znak. Chciał powiedzieć, że zabijają dla Odnego.

— A cóż innego mogłoby to znaczyć?

— O czym mówicie? — zapytał stanowczym głosem obcy kapłan.

— O ludziach gór, księżu. O poganach.

— Co to jest Odne?

Milczenie.

— Co to znaczy, że zabijają dla Odnego?

— No, panie, może lepiej o tym nie mówić.

— Dlaczego?

— No, panie, jak powiedziałeś o pieśniach, w dzisiejszy wieczór lepsze są rzeczy święte. — Kował Kass mówił z godnością, zerkając tylko w górę, gdzie znajdowało się jeszcze jedno pomieszczenie, lecz ktoś inny, młodzieniec z owrzodzonymi oczyma, mruknął:

— Kurhan ma uszy, Kurhan słyszy...

— Kurhan? Mówisz o tym pagórku przy drodze?

Milczenie.

Freyga zwrócił się do kapłana.

— Zabijają dla Odnego — rzekł swym cichym głosem — na kamieniach obok kurhanów w górach. Nikt nie wie, co w nich jest.

— Biedni poganie, bezbożni ludzie — mruknął ze smutkiem stary ojciec Egius.

— Kamień na ołtarz w naszej kaplicy pochodzi z Kurhanu — powiedział młody Gilbert.

— Co?

— Zamilknij — odezwał się kowal. — On chce powiedzieć, panie, że wzięliśmy kamień leżący na wierzchu sterty przy Kurhanie, duży marmurowy kamień, ojciec Egius go pobłogosławił, i nie ma w tym nic złego.

— To piękny kamień na ołtarz — zgodził się ojciec Egius, kiwając z uśmiechem głową, lecz przy końcu jego słów znad powały dobiegł znów skowyt. Stary ksiądz pochylił głowę i zaczął mruzczyć modlitwy.

— Ty też się módl — powiedział Freyga, patrząc na obcego, który skłonił głowę i zaczął coś mamrotać, od czasu do czasu rzucając z ukosa spojrzenie na Freygę.

W twierdzy było ciepło tylko przy palenisku, i świt zastał przy nim większość z siedzących tam poprzedniego wieczora: ojca Egiusa zwiniętego niczym sędziwa koszatka w sitowiu, obcego zgarbionego w swym kącie przy kominie z rękoma splecionymi na brzuchu, Freygę rozciągniętego na wznak niczym wojownik poległy w walce. Wokół niego chrapali i rzucali się we śnie jego ludzie.

Freyga obudził się pierwszy. Przesząpił nad śpiącymi i wspiął się po kamiennych schodach na piętro. Akuszerka Ranni wyszła mu naprzeciw do holu, gdzie na stercie baranich skór spało razem kilka przytulonych do siebie dziewcząt i psów.

Jeszcze nie, hrabio.

— Ale to już dwie noce...

— Ach, ona dopiero zaczęła — odparła akuszerka z pogardą. — Musi odpoczywać, czyż nie?

Freyga odwrócił się i szedł ciężkim krokiem po kręconych schodach. Pogarda kobiety przygnębiła go. Wszystkie te kobiety cały wczorajszy dzień — ich twarze były surowe, zatroskane — nie zwracały na niego żadnej uwagi. Został wykluczony z ich kręgu, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Nie mógł nic zrobić. Usiadł przy dębowym stole i ukrył twarz w dłoniach, usiłując pomyśleć o Galii, swojej żonie. Miała siedemnaście lat, byli małżeństwem od dziesięciu miesięcy. Pomyślał o jej krągłym, białym brzuchu.

Próbował myśleć o jej twarzy, lecz na języku miał tylko smak spiżu.

— Przynieście mi coś do jedzenia! — zawołał, uderzając pięścią w stół. Twierdza Vermare wyrwała się jak oparzona z szarego paraliżu świtu. Wszędzie zaczęli biegać chłopcy, rozszczękały się psy, w kuchni zaszumiały miechy, przy ogniu przeciągali się, spluwa-

jąc, mężczyźni. Freyga siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

Zeszły kobiety, po jednej, po dwie, aby odpocząć przy wielkim kominku i coś przegrzyć. Twarze miały surowe. Rozmawiały tylko między sobą.

Przestał padać śnieg, lecz wiatr od gór usypywał zaspy pod ścianami twierdzy i obór. Był tak zimny, że niczym nóż ucinał oddech w gardle.

— Dlaczego nie zaniesiono Słowa Bożego tym waszym ludziom gór, którzy składają ofiary z owiec? — zapytał brzuchaty ksiądz ojca Egiusa i Stefana, mężczyznę z wrzodami wokół oczu.

Zawahali się, nie bardzo wiedząc, co znaczy słowo “ofiara”.

— Oni zabijają nie tylko owce — powiedział ostrożnie ojciec Egius.

Stefan uśmiechnął się i powiedział, potrząsając głową:

— Nie, nie, nie.

— Co to znaczy? — Głos obcego brzmiał ostro i ojciec Egius odpowiedział z lekkim przestraszaniem w głosie:

— Zabijają też... zabijają też kozy.

— Owce czy kozy, co to mnie obchodzi? Skąd oni pochodzą, ci poganie? Pozwala im się mieszkać na chrześcijańskiej ziemi?

— Zawsze tu mieszkali — odrzekł stary ksiądz ze zdumieniem.

— I nigdy nie próbowałeś zaprowadzić wśród nich świętego Kościoła?

— Ja?

Dobry żart, taki pomysł, żeby drobny, stary ksiądz poszedł w góry — śmiech nie cichł przez dobrych kilka chwil. Ojciec Egius nie był próżny, lecz trochę go to ubodło, bo wreszcie powiedział dość sztywno:

— Oni mają swoich bogów, panie.

— Swoje bałwany, swoje diabły, to, co nazywacie, jak mu tam, Odnem!

— Zamilknij, księżę — odezwał się nagle Freyga. — Czy musisz wymawiać to imię? Nie znasz żadnych modlitw?

Odtąd obcy zachowywał się mniej wyniośle. Kiedy hrabia przemówił do niego ostrzej, rozprysł się czar gościnności, a zwracające się ku księdzu twarze stały się zacięte. Tego wieczora znów został posadzony w rogu przy ogniu, lecz siedział tam skulony, nie wyciągając kolan do ciepła.

Tego wieczora nie śpiewano przy kominku. Mężczyźni rozmawiali cichymi głosami, uciszeni milczeniem Freygi. Za ich plecami czekała ciemność. Oprócz wycia wiatru na dworze i wycia kobiety nad ich głowami nie było słychać żadnego dźwięku.

Kobieta zachowywała się spokojnie cały dzień, lecz teraz jej ochrypy, zduszony krzyk rozlegał się raz po raz. Freydze wydawało się niemożliwe, że jeszcze może krzyczeć. Była szczupła i niska, była dziewczynką, nie mogła nosić w sobie tyle bólu.

— Na co one się tam przydają! — wybuchnął. Jego ludzie spojrzeli na niego bez sło-

wa. — Ojcie Egiusie! W tym domu jest zło.

— Mogę się tylko modlić, synu — rzekł przestraszony starzec.

— A zatem módl się! Przy ołtarzu! — Wypchnął ojca Egiusa w czarny ziąb i poszedł za nim do kaplicy przez podwórzec, gdzie suchy śnieg wirował niewidocznie na wietrze. Po pewnym czasie wrócił sam. Stary kapłan obiecał spędzić noc na kolanach przy ogniu w swej małej celi za kaplicą. Przy wielkim kominku nie spał tylko obcy ksiądz. Freyga usiadł na jednym z kamieni obmurówki i przez dłuższy czas nic nie mówił.

Obcy podniósł wzrok i skrzywił się, napotkawszy utkwione w sobie spojrzenie błękitnych oczu hrabiego.

— Dlaczego nie śpisz?

— Nie jestem śpiący, hrabio.

— Lepiej by było, gdybyś zasnął.

Obcy zamrugał nerwowo oczyma, po czym je zamknął i udawał, że śpi. Od czasu do czasu zerkał spod na wpół przymkniętych powiek na Freygę i nie poruszając ustami, usiłował zmówić modlitwę do swego patrona.

Na Freydze sprawiał wrażenie tłustego, czarnego pająka.

Komnatę spowijały rozchodzące się z jego ciała promienie ciemności.

Wiatr ucichł, zostawiając po sobie ciszę, w której Freyga słyszał słabe jęki żony.

Ogień dogasi. Sieć mroku coraz ciaśniej spowijała człekopająka siedzącego w rogu kominka. Pod jego brwiami coś zabłysło.

Dolna część twarzy lekko się poruszyła. Rzucał coraz silniejsze czary. Wiatr ucichł. Nie było słyhać żadnego dźwięku.

Freyga wstał. Ksiądz spojrzał na rozłożystą, złocistą postać majaczącą w mroku i kiedy Freyga powiedział: — Chodź ze mną — był zbyt przestraszony, by się poruszyć. Freyga chwycił go za ramię i postawił na nogi.

— Czego chcesz, hrabio? — wyszeptał ksiądz, usiłując się wyswobodzić.

— Chodź ze mną — powtórzył Freyga i poprowadził go przez mrok po kamiennej posadzce do drzwi.

Freyga miał na sobie tunikę z baranich skór, a kapłan tylko wełnianą szatę.

— Hrabio — wykrztusił, biegnąc obok Freygi przez podwórzec — jest zimno, można zamarznąć na śmierć, mogą być wilki...

Freyga odsunął grube niczym ludzkie ramię rygle zewnętrznej bramy twierdzy i otworzył jedno jej skrzydło.

— Idź — nakazał gestem miecza.

Ksiądz zatrzymał się.

— Nie.

Freyga wyciągnął miecz z pochwy. Klinga była krótka i gruba. Wbiwszy jego czubek w zad okryty wełnianą szatą, popędził księdza przed sobą wiejską uliczką, a potem dro-

gą prowadzącą w góry. Szli powoli, bo śnieg był głęboki i za każdym krokiem przebijali stopami cienką warstewkę leżącego na nim lodu.

Powietrze wydawało się nieruchome, jakby zamarzło. Freyga spojrział w niebo. Wysoko, między cienkimi chmurami stała postać przepasana trzema jasnymi gwiazdami. Niektórzy nazywali ją Wojownikiem, inni Milczącym Odnem.

Kapłan nieprzerwanie mamrotał modlitwę za modlitwą, wciągając ze świstem powietrze. Raz potknął się i upadł twarzą w śnieg. Freyga postawił go na nogi. Ksiądz spojrział na twarz młodzieńca w blasku gwiazd, lecz nic nie powiedział. Szedł chwiejnie dalej, modląc się cicho bez chwili przerwy.

Za nimi czerniła się wieża i domy Vermare, a wokół nich rozciągały się w bladym świetle gwiazd puste wzgórza i śnieżne równiny. Przy drodze znajdował się niższy od człowieka pagórek w kształcie grobu. Obok niego stał niski, szeroki słupek czy też ołtarz wzniesiony z nie obrobionych kamieni. Wiatr oczyścił go ze śniegu. Freyga ujął księdza pod ramię, zmuszając go do zejścia z drogi. Podeszli do ołtarza obok Kurhanu.

— Hrabio, hrabio... — kapłan zająknął się, kiedy Freyga chwycił go za głowę i przymocą odchylił ją do tyłu. W świetle gwiazd oczy księdza były białe.

Otworzył usta do krzyku, lecz Freyga rozciął mu gardło i wydobył się z nich tylko bulgoczący charkot.

Hrabia przechylił ciało nad ołtarzem. Ciął i rozrywał grubą szatę, by obnażyć brzuch. Rozciął go, a krew i wnętrzności wylały się na kamienie ołtarza, zadymiły na suchym śniegu. Wypatroszone ciało zsunęło się po kamieniach niczym pusty płaszcz. Ręce trupa zwisały bezwładnie.

Pozostały przy życiu człowiek osunął się na warstewkę śniegu obok zamiecionego przez wiatr Kurhanu, nie wypuszczając miecza z dłoni. Ziemia kołysała się i pęczniała, a obok niego przemknęły w ciemności rozkrzyczane głosy.

Kiedy uniósł głowę i rozejrzał się dookoła, wszystko było inne. Bezgwiazdne niebo wznosiło się nad nim wysokim, bladym sklepieniem, a na wyraźnie widocznych wzgórzach i dalekich górach nie kładł się żaden cień. Bezkształtny trup leżący na ołtarzu był czarny, śnieg u podnóża Kurhanu był czarny, czarne były ręce Freygi i klinga jego miecza. Spróbował oczyścić dłonie śniegiem i ocknął się od ukąszenia zimna. Wstał i potykając się, wrócił na odrętwiałych nogach do Vermare. Miał zawroty głowy. Po drodze czuł powiewy delikatnego, wilgotnego wiatru z zachodu, który wstawał wraz z budzącym się dniem. Nadchodziła odwilż.

Ranni stała przy wielkim palenisku, a młody Gilbert układał drwa. Akuszerka miała spuchniętą, poszarzałą twarz. Odezwała się drwiąco do Freygi:

— Nareszcie, hrabio, najwyższy czas wrócić!

Stał, ciężko oddychając, z obwisłą twarzą, i nic nie mówił.

— Chodź więc — rzekła akuszerka. Poszedł za nią po kręconych schodach. Słoma

zaścielająca posadzkę została zmieciona do kominka. Galia leżała w szerokim małżeńskim łóżu, przypominającym skrzynię. Zamknięte oczy miała głęboko zapadnięte. Delikatnie chrapała.

— Ćśśś! — powiedziała akuszerka, kiedy Freyga chciał do niej podejść. — Cicho! Spójrz tutaj.

W ramionach trzymała ciasno zawinięty tobołek.

Po chwili, kiedy nadal nic nie mówił, wyszeptała ostro:

— Chłopiec. Ładny, duży.

Freyga wyciągnął rękę do tobołka. Paznokcie miał oblepione czymś brunatnym.

Akuszerka przytuliła tobołek mocniej do siebie.

Jesteś zimny — rzekła ostrym, pogardliwym szeptem. — Spójrz. — Odchyliła materiał, odsłaniając na chwilę maleńką, czerwoną ludzką twarzyczkę, po czym znów ją zakryła.

Freyga podszedł do łóżka i ukląkł, dotykając czołem kamiennej posadzki. Mruknął:

— Chwała Ci i dzięki, Chryste...

Biskup z Solariy nigdy się nie dowiedział, co się stało z jego wysłannikiem do północno-zachodnich terenów prowincji. Zapewne, będąc gorliwym człowiekiem, zbyt daleko zapuścił się w góry, gdzie nadal jeszcze mieszkali poganie, i poniósł tam męczeńską śmierć.

Imię hrabiego Freygi długo przetrwało w historii prowincji. Za jego życia na zboczach góry nad jeziorem Malafrena powstał klasztor benedyktynów. Przez kilka ciężkich pierwszych zim żywiły ich stada hrabiego i bronił jego miecz. W ich kronikach pisanych kiepską łaciną czarnym atramentem na trwałym welinie on i jego syn są wymieniani z wdzięcznością jako oddani obrońcy Kościoła Bożego.

las ile

Z całą pewnością — rzekł młody lekarz — istnieją niewybaczalne zbrodnie! Morderstwo nie może pozostać nie ukarane!

— Starszy wspólnik potrząsnął głową.

— Być może istnieją ludzie, którym nie można wybaczyć, ale zbrodnie... to zależy...

— Od czego? Odebrać człowiekowi życie to ostateczność. Nie mówimy oczywiście o samoobronie. Świętość ludzkiego życia...

— Nie podlega osądowi prawa — rzekł sucho starszy mężczyzna. — W mojej rodzinie popełniono morderstwo. Dwa morderstwa. — I wpatrując się w ogień, opowiedział swoją historię.

Pierwszą praktykę odbywałem na północy, w Valone. Pojechałem tam z siostrą w roku 1902. Już wtedy było to nieciekawe miejsce. Stare posiadłości zostały sprzedane na plantacje buraków, a dymy licznych kopalni węgla zasnuwały mrokiem wzgórze na południu i zachodzie. Była to rozległa, monotonna równina, a wrażenie, że jest się w górach, odnosiło się jedynie na jej wschodnim krańcu, w Valone Alte. Pierwszego dnia, kiedy tam pojechałem, zauważyłem zagajnik, bo wszystkie inne drzewa w dolinie zostały wycięte. Rosły tam brzozy, nabierające złocistej barwy, za nimi stał dom, a jeszcze dalej było widać grupę olbrzymich dębów, pokrywających się patyną czerwieni i brązu. Był piękny pałacyk. Kiedy w soboty wybieraliśmy się z siostrą na przejażdżki, jeździliśmy właśnie tam. Mówiła swoim sennym głosem, że wygląda to jak zamek z bajki, srebrny zamek w złotym lesie. Miałem w Valone Alte kilkoro pacjentów i zawsze jeździłem do nich tą drogą. W zimie, kiedy opadły liście, zawsze było widać ów stary dom; wiosną rozlegały się głosy kukułek, a latem dzikich gołębi. Nie wiem, czy ktoś tam mieszkał. Nikogo o to nie pytałem.

Minął rok; nie miałem tyle zajęcia, na ile liczyłem, ale Poma, moja siostra Pomona, umiała wiązać koniec z końcem, chociaż wyglądała na tak senną i spokojną. Jakoś nam się wiodło.

Pewnego wieczoru wróciłem do domu i zastałem wezwanie do Ile przy drodze do Valone Alte. Zapytałem Minnę, naszą gosposię, gdzie to jest.

— W Lesie Ile — odparła, jakby las był wielkości Syberii. — Za starym młynem.

— To w srebrnym zamku — powiedziała Pomona z uśmiechem.

Pojechałem tam od razu. Byłem ciekaw. Wie pan, jak to jest, kiedy człowiek wyobraża sobie jakieś miejsce, a potem zostaje tam nagle zaproszony. Dom otaczały stare drzewa, a w jego oknach odbijało się resztkami czerwieni zachodzące słońce. Kiedy przywiązywałem konia, wyszedł mi na spotkanie mężczyzna.

Nie pochodził z bajki. Miał około czterdziestu lat i ostrą, wąską twarz. Takie surowe fizjonomie często widuje się na północy. Zaprowadził mnie od razu do środka. Dom był ciemny; mój przewodnik niósł w ręku lampę naftową. Pokoje, których wnętrza udało mi się dostrzec, sprawiały wrażenie opuszczonych i pustych. Żadnych dywanów, niczego. W pokoju na piętrze, do którego weszliśmy, też nie było dywanu; łóżko, stół, kilka krzeseł; na kominku płonął jednak potężny ogień. Kiedy potrzeba drewna na opał, dobrze jest mieć las.

Pacjentem był właściciel lasu, Ileskar. Zapalenie płuc.

Walczył o życie. Byłem tam z przerwami siedemdziesiąt godzin, a on przez ten czas nie zaczerpnął ani jednego oddechu, który nie byłby aktem czystej siły woli. Trzeciej nocy w Mesoval rodziła kobieta, ale zostawiłem ją pod opieką akuszerki. Byłem młody i powiedziałem sobie, że dzieci przychodzą na świat codziennie, ale nie codziennie opuszcza go dzielny człowiek. Walczył, a ja usiłowałem mu pomóc. O świcie gorączka gwałtownie spadła, tak jak teraz po zażyciu tych nowych leków, ale to nie było żadne lekarstwo: pacjent wygrał walkę. Pojechałem do domu w uniesieniu. Było biało i wietrznie; wschodziło słońce.

Podczas jego rekonwalescencji codziennie do niego zaglądałem. Przyciągał mnie on sam i jego dom. Ostatnia noc była jedną z tych, które się przeżywa wyłącznie w młodości — to takie całe noce, od zachodu do wschodu słońca, kiedy czuje się obecność życia i śmierci, a za oknami jest las, zima i mrok.

Używam słowa “las” tak, jak robiła to Minna, mając na myśli ów zagajnik liczący kilkakaset drzew. Niegdyś pokrywał on całe Valone Alte, podobnie jak posiadłość Ileskara. W ciągu półtora wieku i las, i posiadłość zmniejszyły się do zagajnika, domu i udziału w plantacjach Kravaya, co wystarczało na utrzymanie jednego Ileskara. Oraz Martina, człowieka o ostrej twarzy, niby jego służącego, chociaż razem pracowali i jedli przy jednym stole. Martin był dziwnym człowiekiem, zazdrosnym i oddanym Ileskarowi. Odczuwałem to jego oddanie jako rzeczywistą siłę, nie seksualną, ale władczą i obronną. Nie dziwiła mnie zbyt. W Galvenie Ileskarze było coś, co czyniło ją rzeczą naturalną. Naturalne było podziwiać go i ochraniać.

Najwięcej dowiedziałem się on Minny; jej matka pracowała u jego matki. Ojciec

przepuścił resztki majątku, po czym zmarł na zapalenie opłucnej. Galven w wieku dwudziestu lat wstąpił do wojska, w wieku trzydziestu ożenił się, przeszedł do rezerwy jako kapitan i wrócił do Ile. Po jakichś trzech latach opuściła go żona, uciekając z mężczyzną z Brailavy. O tym dowiedziałem się nieco od samego Galvena. Był mi wdzięczny za wizyty; wyczuł, że potrzebuję jego przyjaźni. Rozumiał, że nie powinien być powściągliwy. Opowiadałem o Pomie i o sobie, czuł się więc zobowiązany opowiedzieć mi o swoim małżeństwie.

— Była bardzo słaba — powiedział. Miał łagodny, matowy głos. — Wziąłem tę słabość za słodczy charakter. Popełniłem błąd. Nie była to jednak jej wina. Popełniłem błąd. Wiesz, że odeszła ode mnie z innym.

Skinałem głowę, ogromnie skrępowany.

— Kiedyś widziałem, jak batem oślepił konia — rzekł Galven tym samym zamyślnym, pełnym bólu głosem. — Stał i bił go po oczach, aż stały się otwartymi ranami. Kiedy podszedłem, właśnie skończył. Westchnął z wielkim zadowoleniem, jakby właśnie wstał od obiadu. To był jego własny koń. Nie zrobiłem wtedy nic. Kazałem mu się wynosić. To nie wystarczyło...

— A zatem jesteś rozwiedziony z żoną?

— Tak — odparł i spojrzał przez pokój na Martina, który rozpałał ogień. Martin skinął głową i Galven powtórzył: — Tak.

Ozdrowiał dopiero przed tygodniem i wyglądał na zmęczonego; było to nieco dziwne, ale już wiedziałem, że jest dziwnym człowiekiem. Powiedział:

— Przepraszam. Zapomniałem, jak się rozmawia z cywilizownymi ludźmi.

Te jego przeprosiny naprawdę mnie zabolaly i zacząłem mówić, co mi ślina na język przyniosła, o Pomie, o sobie, starej Minnie i pacjentach. W końcu zapytałem, czy jadąc kiedyś do Ile, mógłbym zabrać ze sobą Pomę.

— Kiedy przejeżdżamy tędy, bardzo podziwia ten dom.

— Byłaby to dla mnie wielka przyjemność — odparł Galven. — Najpierw jednak pozwól mi stanąć na nogi; dobrze? No i sam wiesz, że wygląda tu trochę jak w wilczej jamie...

— Nie zauważy tego — odrzekłem. — Jej własny pokój przypomina gęste zarośla, wszędzie pełno chustek, szali, buteleczek, książek i spinek do włosów, niczego nie kładzie na miejsce. Nie zapina guzików na właściwe dziurki, zostawia za sobą kilwater porozrzucanych przedmiotów, zupełnie jakby była statkiem.

Nie przesadzałem. Poma uwielbiała miękkie suknie i zwiewne stroje i gdziekolwiek była, zostawiała po sobie spływający z poręczy fotela welon, szal powiewający na krzaku róży lub coś kremowego i puszystego upuszczonego pod drzwiami, jakby była zwierzątkiem wszędzie pozostawiającym swoją sierść, niczym króliki ozdabiające białymi kłaczkami futerka kolczaste zarośla o świcie. Kiedy gubiła szal i zostawiała z odkrytą

szyją, chwyciła jakąkolwiek chustę, a ja pytałem, co ma na ramionach; dywanik sprzed kominka? Uśmiechała się wtedy swoim słodkim, pełnym zmieszania, leniwym uśmiechem. Moja mała siostrzyczka była słodką istotą. Kiedy powiedziałem jej, że kiedyś wezmę ją z sobą do Ile, zaskoczyła mnie.

— Nie — powiedziała krótko.

— Dlaczego? — byłem niepokojony. Mówiłem dużo o Ileskarze i Poma wydawała się nim zainteresowana.

— Nie lubi towarzystwa kobiet i obcych — rzekła. — Daj biedakowi spokój.

— Bzdura. Jest bardzo samotny i nie wie, jak się z tej samotności wyrwać.

— Ty mu wystarczasz — powiedziała z uśmiechem.

Nie ustępowałem — uparłem się, żeby oddać Galvenowi przysługę — i w końcu Poma rzekła:

— Jego dom wydaje mi się dziwny, Gilu. Kiedy o nim mówisz, wciąż myślę o tym lesie. O starym lesie, takim, jakim musiał być przedtem. O wielkim, ponurym obszarze, z polanami, których nikt nigdy nie widział i miejscami zapomnianymi przez ludzi, przemierzonymi przez dzikie zwierzęta. O terenie, w którym można się zgubić. Chyba zostanę w domu i zajmę się różami.

O ile pamiętam, powiedziałem wtedy coś o “kobięcym braku logiki” i podobnych rzeczach. W każdym razie obstawałem przy swoim i w końcu moja siostra uległa. Poddanie się było jej przywilejem, jak niepoddanie się było przywilejem Galvena. Nie ustaliliśmy terminu wizyty, i to ją uspokoiło. W gruncie rzeczy wybrała się do Ile po dwóch miesiącach.

Pamiętam szerokie, ciężkie lutowe niebo wiszące nad doliną, kiedy tam jechaliśmy. W zimowym świetle dom stojący wśród огоłoconych drzew wydawał się nagi. Widać było gonty dachu, pozbawione zasłon okna, zarośnięty zbrązowiałymi chwastami podjazd. Miałem niespokojną noc, bo śniło mi się, że bezskutecznie tropiłem w lesie chyba jakieś małe zwierzątko. Martina nie było widać. Galven zajął się naszym kucem i zaprowadził nas do domu. Miał na sobie stare oficerskie spodnie z odprutymi lampasami, starą kurtkę i szorstki wełniany szalik. Dopiero oczyma Pomy zauważyłem, jaki jest ubogi. W porównaniu z nim byliśmy zamożnymi ludźmi: mieliśmy płaszcze, węgiel, powóz i kuca, małe skarby i przedmioty. Jego dom był pusty.

On lub Martin ściął jeden z dębów, by rozpalić ogień w olbrzymim kominku na dole. Krzesła, na których siedzieliśmy, pochodziły z jego pokoju na górze. Byliśmy zmarznięci i sztywni. Galven zachowywał się lodowato. Zapytałem, gdzie jest Martin.

— Poluje — odparł obojętnie Galven.

— A pan poluje, panie Ileskar? — zapytała Poma. Mówiła swobodnym tonem, jej twarz poróżowiła w blasku ognia.

Galven spojrzał na nią i odtajał.

— Kiedy żyła moja żona, chadzałem na bagna na kaczkę — powiedział. — Nie zostało już wiele ptaków, ale podobało mi się brodzenie po wodzie o wschodzie słońca.

— Akurat coś na chore płuca — rzekłem. — Koniecznie musisz to kontynuować.

Nagle poczuliśmy się swobodnie. Galven zaczął opowiadać myśliwskie historie — opowieści przekazywane z pokolenia na pokolenie w jego rodzinie — opowieści o polowaniu na dziki; w Valone nie było już dzików od stu lat. Potem przeszliśmy do opowieści, jakie w owych czasach wciąż snuli starzy ludzie jak Minna; Poma one fascynowały i Galven opowiedział jej ponurą, niesamowitą historię o lawinach i bohaterach uzbrojonych w topory, którzy przez wieki schodzili z wysokich gór nad doliną, nawiedzając okoliczne chaty. Galven ciekawie opowiadał swoim suchym, miękkim głosem, a my słuchaliśmy, siedząc przy ogniu, odwróceny plecami do przeciągów i cieni. Kiedyś spróbowałem spisać tę opowieść i przekonałem się, że pamiętam jedynie jej fragmenty wyprane z wszelkiej poezji, słyszałem jednak, jak kiedyś Poma opowiadała swoim dzieciom słowo w słowo tak, jak opowiedział ją owego popołudnia w Ile Galven.

Po drodze do domu wydało mi się, że widzę Martina wychodzącego z lasu, ale było zbyt ciemno, żeby widzieć wyraźnie.

Przy kolacji Poma zapytała:

— Jego żona nie żyje?

— Jest rozwiedziony.

Nalała sobie herbaty i zamyśliła się.

— Martin nas unikał — odezwałem się.

— Nie podoba mu się, że przyjechałam.

— To ponurak. Ale tobie Galven się spodobał?

Poma skinęła głową i uśmiechnęła się, jakby coś sobie przypominała. Wkrótce odeszła do swego pokoju, zostawiając na krześle zaczepiony jedną nitką zwiewny różowy szal. Po kilku tygodniach odwiedził nas Galven. Pochlebiło mi to i zaskoczyło. Nigdy nie wyobrażałem go sobie z dala od Ile, stojącego jak każdy inny w naszym salonie. Kupił sobie w Mesoval konia. Był ogromnie zadowolony i poważny, wyjaśniając nam, że to naprawdę dobra klacz, tylko stara i zajeżdżona, i opowiadając, jak można poprawić formę zniszczonego konia.

— Kiedy odzyska siły, może zechce pani na niej pojeździć, panno Pomono — powiedział, ponieważ moja siostra wspominała, że bardzo lubi jeździć konno. — Jest bardzo łagodna.

Pomona natychmiast przyjęła zaproszenie; nigdy nie potrafiła odrzucić okazji przejażdżki.

— To przez moje lenistwo — zawsze mówiła. — Koń pracuje, a ja sobie tylko siedzę.

Minna cały czas obserwowała Galvena przez szparę w drzwiach. Po jego wyjściu po

raz pierwszy okazała nam cień szacunku. Przesunęliśmy się o jeden stopień wyżej w jej świecie. Wykorzystałem to, żeby zapytać ją o tego mężczyznę z Brailavy.

— Przyjeżdżał na polowania. Pan Ileskar wydawał wtedy przyjęcia. Nie takie, jak za czasów jego ojca, ale i tak przyjeżdżali do niego różni państwo. Tego interesowały polowania. Podobno oślepił batem swego konia, po czym pan Ileskar zrobił mu z tego powodu okropną awanturę i wyprosił go. Chyba jednak wrócił i mimo wszystko wystrychnął pana Ileskara na dudka.

A więc historia z koniem była prawdziwa. Przedtem nie byłem tego pewien. Galven nie kłamał, ale wydawało mi się, że w swej samotności nie panuje dostatecznie nad różnymi odmianami prawdy. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, poza tym, że kilka razy powiedział, że jego żona nie żyje. Co prawda, dla niego, jeśli nie dla innych, była martwa. W każdym razie nie spodobał mi się uśmiezek Minny — jej niemądry szacunek dla Ileskara jako “dżentelmena” i brak owego szacunku dla niego jako mężczyzny. Powiedziałem jej to. Wzruszyła szerokimi ramionami.

— No to niech mi pan powie, panie doktorze, dlaczego za nimi nie pojechał? Dlaczego go pozwolił mu tak po prostu odejść ze swoją żoną?

Miała rację.

— Nie była tego warta — powiedziałem.

Nic dziwnego, że Minna znów wzruszyła ramionami. Według kodeksu, jaki wyznawała ona oraz Galven, nie było to zgodne z poczuciem dumy.

W gruncie rzeczy było nieprawdopodobne, że się po prostu poddał. Widziałem, jak walczy z wrogiem groźniejszym od cudzołożnika... Czy może w jakiś sposób wmieszał się w sprawę Martin? Martin był głęboko wierzącym chrześcijaninem i kierował się innym kodeksem. Mimo swojej siły nie mógłby jednak powstrzymać Galvena przed zrobieniem tego, co ów chciał zrobić. Wszystko było bardzo dziwne i przez całą wiosnę zastanawiałem się nad tym w wolnych chwilach. Po prostu nie potrafiłem dopasować zaborczości Galvena do dumnego, bezpośredniego, bezkompromisowego człowieka, za jakiego go miałem. Czegoś tu brakowało.

Wiosną kilka razy zabrałem Pomę na przejażdżkę do Ile. Zima nieco ją osłabiła i zaleciłem jej ruch na świeżym powietrzu. Sprawiało to Galvenowi ogromną przyjemność. Już od dawna nie czuł się komuś potrzebny. W czerwcu, kiedy nadeszły pieniądze z plantacji Kravaya, kupił drugiego konia. Nazywał się koniem Martina i Martin jeździł na nim do Mesoval, ale kiedy Poma dosiadała starej karej klaczy, na nowym koniu jeździł Galven. Stanowili zabawną parę: Galven w każdym calu był kawalerzystą, na roslym, kościstym dereszu, a leniwa, uśmiechnięta Poma siedziała po damsku na grubej, starej klaczy. Przez całe lato przyjeżdżał z klaczą po Pomę w niedzielne popołudnia, po czym do wieczora jeździli konno po okolicy. Poma wracała z roziskrzonym wzrokiem i rumianymi policzkami, co przypisywałem ruchowi na wolnym powietrzu — nie ma

większego głupca niż młody lekarz!

Nadszedł sierpniowy wieczór, wieczór po upalnym dniu.

Zostałem wezwany do porodu, pięć godzin, dwa wcześniaki urodzone martwe, wróciłem do domu około szóstej i położyłem się w swoim pokoju. Byłem wyczerpany. Narodziny martwych płodów, obezwładniający upał, niebo szare od węglowego dymu za-
legającego nad płaską, monotonną równiną — wszystko to mnie przygnębiło.

Leżąc, usłyszałem odgłos końskich kopyt miękko stąpających w pyłe drogi, a po chwili dobiegły mnie głosy Galvena i Pomony.

Znajdowali się przy klombie różanym pod moim oknem. Pomona mówiła:

— Nie wiem, Galvenie.

— Nie możesz tam przyjechać — odparł.

Nie dosłyszałem jej słów.

— Jeżeli dach przecieka, to przecieka — powiedział. — Przybijamy w tym miejscu stare gonty. Pokrycie dachem takiego domu kosztuje. Ja nie mam pieniędzy. Nie mam zawodu. Zostałem do tego wychowany. Ludzie mojego pokroju mają ziemię, a nie pieniądze. Ja nie mam ziemi. Mam pusty dom. Tam mieszkam, taki już jestem, Pomono. Nie mogę go opuścić. Ty natomiast nie możesz w nim mieszkać. Tam nic nie ma. Nic nie ma.

Jesteś ty — odrzekła, a przynajmniej tak mi się wydawało; mówiła bardzo cicho.

— Na jedno wychodzi.

— Dlaczego?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Nie wiem — odezwał się w końcu Galven. — Zacząłem dobrze. Może to z powodu powrotu. Może dlatego, że sprowadziłem ją do tego domu. Próbowałem dać jej Ile. Taki jestem. Na nic się to jednak nie zdało, na nic się nie zda, to nie ma sensu, Pomono!

Słowa te przepęłniała udręka, i moja siostra odpowiedziała mu tylko jego imieniem. Potem już nie słyszałem, co mówili, a jedynie pomruk ich nerwowych, czułych głosów. Mimo skrępowania tym, że podsłuchuję, cudownie było słyszeć tę czułość. Wciąż jednak bałem się, odczuwałem mdłości i znużenie, które towarzyszyły mi, gdy tak niedawno pomagałem narodzić się martwym bliźniętom. Niemożliwe, żeby moja siostra kochała Galvena Ileskara. Nie chodziło o to, że jest biedny, że mieszka w na wpół zrujnowanym domu na końcu świata; to było jego dziedzictwo, jego prawo. Szczególni ludzie prowadzą szczególne życie. Jeśli Poma go kochała, miała prawo do wybrania tego wszystkiego. Nie dlatego wszystko to było niemożliwe. Chodziło o ten brakujący element. O to, czego tak bardzo brakowało Galwenowi. W jego osobowości istniała wyrwa, jakieś zapomniane miejsce, rozłam. Niezupełnie był moim bratem, jak zwykłem myśleć o wszystkich ludziach. Był obcym z innego kraju.

Tego wieczoru wciąż patrzyłem na Pomę; była piękną dziewczyną, miękką niczym słoneczny blask. Przeklinałem się, że nigdy dotąd na nią nie patrzyłem, że nie byłem dla niej dobrym bratem, że nie zabierałem jej ze sobą, nie wprowadziłem do towarzystwa, gdzie znalazłaby tuzin mężczyzn gotowych ją pokochać i poślubić. Zamiast tego zawiozłem ją do Ile.

— Tak się zastanawiam — powiedziałem następnego ranka przy śniadaniu. — Dosyć mam już tego miejsca. Chciałbym spróbować w Brailavie.

Dopóki nie zobaczyłem w jej oczach przerażenia, sądziłem, że jestem subtelny.

— Naprawdę? — zapytała słabym głosem.

— Tutaj nigdy się nie dorobimy. To nieuczciwe względem ciebie, Porno. Napiszę do Cohena, żeby rozejrzał się za jakimś współnikiem dla mnie w mieście.

— Nie powinieneś jeszcze trochę poczekać?

— Nie tutaj. To do niczego nie prowadzi.

Skinęła głową i jak najszybciej opuściła moje towarzystwo. Nie zostawiła po sobie nic — ani szala, ani chusteczki do nosa. Cały dzień chowała się w swoim pokoju. Miałem do odbycia tylko dwie wizyty. Boże, to był długi dzień!

Podlewałem po kolacji różę i Poma przyszła do mnie, w to samo miejsce, gdzie wczorajszego wieczoru rozmawiała z Galvenem.

— Chcę z tobą porozmawiać, Gilu — odezwała się.

— Zahaczyłaś suknią o krzak róży.

— Odczep ją, nie mogę tam sięgnąć.

Złamałem kolec i uwolniłem ją.

— Zakochałam się w Galvenie — rzekła.

— Rozumiem — odparłem.

— Omówiliśmy to. Uważa, że nie możemy się pobrać; jest zbyt ubogi. Chciałam jednak, żebyś o tym wiedział. Żebyś zrozumiał, dlaczego nie chcę wyjechać z Valone.

Zabrakło mi słów, a raczej słowa mnie dusiły. W końcu wydobyłem z siebie:

— Chcesz powiedzieć, że chciałybyś tu zostać, nawet jeśli...?

— Tak. Przynajmniej będę mogła go widywać.

Moja śpiąca królewna obudziła się. On ją obudził; dał jej to, czego jej brakowało, i co mogło jej dać niewielu mężczyzn: poczucie niebezpieczeństwa, które stanowi podłoże miłości. Teraz potrzebowała tego, co zawsze miała i czego nigdy nie potrzebowała — swego spokoju i siły. Patrzyłem na nią i w końcu powiedziałem:

— Chcesz z nim zamieszkać?

Zbladła śmiertelnie.

— Owszem, gdyby mnie o to poprosił — odparła. — Jak myślisz, zrobi to? — Była wściekła, a mnie zatkało.

— Porno, przepraszam, nie chciałem... Ale co ty zrobisz?

— Nie wiem — odparła, wciąż zła.

— Chcesz powiedzieć, że po prostu zamierzasz tu mieszkać, podczas gdy on mieszka tam... — Już doprowadziła mnie do tego, że o mało nie powiedziałem, żeby za niego wyszła. Teraz ja się rozżłościłem. — Dobrze, porozmawiam z nim.

— O czym? — zapytała, od razu biorąc go w obronę.

— O jego zamiarach! Jeżeli chce się z tobą ożenić, to chyba może znaleźć sobie jakąś pracę?

— Próbował — odparła. — Nie został wychowany do pracy. I, jak wiesz, chorował.

Jej godność, jej krucha godność, przeszła mi serce.

— Wiem o tym, Pomo! Wiesz, że go szanuję, że go Kocham; był najpierw moim przyjacielem, prawda? Czasami wydaje mi się, że wcale go nie znam... — Nie mogłem powiedzieć nic więcej, bo mnie nie rozumiała. Była ślepa na ciemne zakątki lasu, a może wszystkie były dla niej jasne.

Bała się o niego; ale jego nie bała się wcale.

Tak więc pojechałem tego wieczoru do Ile.

Galvena nie było w domu. Martin powiedział, że wziął klacz na przejażdżkę. Martin czyścił uprzęż w stajni przy blasku lampy i księżyca. Rozmawiałem z nim, czekając na powrót Galvena. Księżyc wyolbrzymił las Ile; brzozy i dom sprawiały wrażenie srebrnych, dęby stanowiły ścianę czerni. Martin wyszedł ze mną przed wrota stajni, żeby zapalić. Spojrzałem na jego twarz w blasku księżyca i pomyślałem, że mogę mu zaufać, jeżeli tylko on zaufa mnie.

— Martinie, chcę cię o coś zapytać. Mam do tego poważny powód.

Pociągnął z fajki i czekał.

— Czy uważasz, że Galven jest przy zdrowych zmysłach?

Milczał, pociągnął z fajki, lekko się uśmiechnął.

— Przy zdrowych zmysłach? — powtórzył. — Nie mnie o tym sądzić. Ja też wybrałem to miejsce.

— Posłuchaj, Martinie, wiesz, że jestem jego przyjacielem. On jednak i moja siostra zakochali się w sobie i mówią o małżeństwie. Jestem jej jedynym opiekunem. Chciałbym wiedzieć więcej o... — zawahałem się i w końcu powiedziałem: — O jego pierwszym małżeństwie.

Martin patrzył na dziedziniec. Jego jasne oczy pełne były księżyca.

— Nie trzeba tego poruszać, panie doktorze. Powinien pan jednak zabrać stąd siostrę.

— Dlaczego?

Żadnej odpowiedzi.

— Mam prawo wiedzieć.

— Niech pan na niego spojrzy! — wybuchnął Martin, odwracając się do mnie.

— Niech pan na niego spojrzy! Zna go pan dość dobrze, choć nigdy się pan nie dowie, kim był, kim powinien być. Co się stało, to się nie odstanie, niczego nie można naprawić, niech go pan zostawi w spokoju. Co pocznie pańska siostra, kiedy on wpadnie w ten swój czarny nastrój? Całymi dniami mieszkałem z nim w tym domu, kiedy nie mówił ani słowa, i nic, dosłownie nic nie można było dla niego zrobić. Czy to jest życie dla młodej dziewczyny? On nie może żyć z ludźmi. Nie jest przy zdrowych zmysłach, jeśli to panu odpowiada. Proszę ją stąd zabrać!

Za jego wywodem nie stała wyłącznie zazdrość, ale też i nie logika. Zaszłej nocy Galven mówił o sobie w taki sam sposób.

Byłem pewien, że od czasu poznania Pomy Galven ani razu nie wpadł w “czarny nastrój”. Czerń leżała gdzieś dalej.

— Czy rozwiódł się z żoną, Martinie?

— Ona nie żyje.

— Jesteś pewien?

Martin skinął głową.

— Dobrze; jeśli nie żyje, to sprawa jest zamknięta. Mogę z nim jedynie porozmawiać.

— Nie zrobi pan tego!

W jego głosie brzmiało nie tyle pytanie czy groźba, ile przerażenie, prawdziwe przerażenie. Rozpaczliwie trzymałem się zdrowego rozsądku, chwytając się brzytwy.

— Ktoś musi stawić czoło rzeczywistości — powiedziałem ze złością. — Jeżeli się pobiorą, będą musieli z czegoś żyć...

— Żyć, żyć, nie w tym rzecz! On nie może nikogo poślubić. Proszę ją stąd zabrać!

— Dlaczego?

— Dobrze, zapytał pan, czy jest przy zdrowych zmysłach, odpowiem więc panu: Nie. Nie, on nie jest przy zdrowych zmysłach. Zrobił coś, o czym nie wie, czego nie pamięta, a jeśli ona tu przybędzie, wszystko się powtórzy, skąd mam wiedzieć, czy się nie powtórzy?!

Poczułem zawrót głowy, tam, na nocnym wietrze, pod wznoszącą się wysoko ciemnością i srebrem drzew. W końcu wyszeptałem:

— Jego żona?

Żadnej odpowiedzi.

— Na miłość boską, Martinie!

— Dobrze — wyszeptał. — Proszę posłuchać. Natknął się na nich w lesie. Tam, wśród dębów. — Wskazał olbrzymie drzewa, stojące poważnie w blasku księżyca. — Polował. Było to w dzień po tym, jak wyprosił tego mężczyznę z Brailavy, jak powiedział mu, żeby nigdy tu nie wracał. Jego żona była za to na niego wściekła, kłócili się pół nocy i on wyszedł na bagna przed świtem. Wrócił wcześniej i zastał ich w lesie, poszedł skróttem,

natknął się na nich w biały dzień w lesie. Zastrzelił ją z miejsca, a jego uderzył kolbą, roztrzaskał mu głowę. Ponieważ strzał padł tak blisko domu, usłyszałem go i znalazłem ich. Zabrałem go do domu. Mieliśmy jeszcze dwóch gości, których delikatnie wyprosiłem, mówiąc im, że żona uciekła z domu. Tej nocy próbował popełnić samobójstwo, musiałem go pilnować, musiałem go związać. — Głos Martina drżał i załamywał się. — Całymi tygodniami nie mówił ani słowa, był jak nieme zwierzę, musiałem go zamykać na klucz. Później mu przeszło, ale kiedy znów go ogarniało, musiałem go pilnować dniem i nocą. Załamał się nie przez nią, nie przez to, że zastał ich niczym psy w rui, ale przez to, że ich zabił. Wyszedł z tego i znów zaczął być sobą, ale tylko wtedy, gdy o tym zapominał. Niczego nie pamięta. O niczym nie wie. Opowiedziałem mu historyjkę, że uciekli, wyjechali za granicę, a on w nią uwierzył. Wierzy w nią teraz. Czy chce pan tu przyprowadzić swoją siostrę?

Początkowo mogłem jedynie wykrztusić:

— Martinie, tak mi przykro, tak mi przykro. — Potem jednak wziąłem się w garść: — Co potem zrobiłeś?

— Są tam, gdzie zginęli. Chce pan ich wykopać i się przekonać? — zapytał ostrym tonem. — Są w lesie. Proszę, tu jest łopata do gnoju, którą wykopałem im grób. Jest pan lekarzem, nie uwierzy pan, że Galven mógł to zrobić drugiemu człowiekowi, z jego głowy nic nie zostało, ale... ale... — Martin nagle ukrył twarz w dłoniach i przysiadłszy na piętach, zaczął się kołysać w przód i w tył, szlochając.

Pocieszałem go, jak mogłem, ale on jedynie potrafił powiedzieć:

— Gdybym tylko mógł o tym zapomnieć, tak jak on!

Kiedy znów zaczął panować nad sobą, odjechałem, nie czekając na Galvena. Mówię, że nie czekałem — ja przed nim uciekałem. Chciałem się wydostać spod cienia tych drzew.

Całą drogę do domu przebyłem kłusem, zadowolony z pustej drogi i blasku księżyca zalewającego szeroką dolinę. Wszedłem do domu zadyszany, roztrzęsiony i zastałem Galvena Ileskara stojącego samotnie przy kominku.

— Gdzie jest moja siostra? — wrzasnąłem, a on spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Na górze — wyjąkał, a ja pognałem na piętro, przeskakując po cztery stopnie naraz. Była w swoim pokoju. Siedziała na łóżku wśród ślicznych drobiazgów, skrawków i kawałków, których nigdy nie chowała. Jej twarz nosiła ślady łez.

— Gilu! — powiedziała z takim samym zdumieniem. — Co się stało?

— Nic... nie wiem — i wyszedłem z pokoju, zostawiając biedną dziewczynę w śmiertelnym strachu. Czekala jednak na górze, kiedy zszedłem do Galvena; tak to sobie ułożyli, a zresztą zgodnie z ówczesnymi obyczajami sprawę mieli omówić mężczyźni.

Powiedział to samo:

— Co się stało, Gilu?

I co miałem odpowiedzieć? Stał w salonie, pełen napięcia, szarmancki, o czystych oczach, mój przyjaciel, gotów oznajmić mi, że kocha moją siostrę, że będzie przy niej przez całe życie i że znalazł sobie jakąś pracę, a ja miałem mu powiedzieć, co się stało? O, coś rzeczywiście było nie w porządku, ale było to zło głębsze i starsze od tego, które wyrządził. Czy miałem się temu poddać?

— Galvenie — odezwał się — Poma rozmawiała za mną. Nie wiem, co powie-
dzieć. Nie mogę zakazać wam ślubu, ale nie mogę... nie mogę... — tu się zaciąłem; nie
mogłem mówić; oślepiły mnie łzy Martina.

— Żadną miarą nie mógłbym jej skrzywdzić — rzekł bardzo cicho, jakby składał
obietnicę.

Nie wiem, czy mnie zrozumiał; nie wiem, czy, jak twierdził Martin, nie wiedział, co
zrobił. Pod pewnym względem nie miało to znaczenia. Ból i wina tkwiły w nim wtedy
i na zawsze. O tym wiedział i cierpiał bez skargi.

Jeszcze nie koniec owej historii. Nie potrafiłem wytrzymać tego, co umiał wytrzy-
mać on, po prostu nie potrafiłem i w końcu, wbrew wszelkim nakazom litości powie-
działem Pomie to, czego dowiedziałem się od Martina. Nie mogłem pozwolić, żeby po-
szła do lasu bezbronna. Wysłuchiła mnie, ale jeszcze mówiąc, wiedziałem, że ją utraci-
łem. Owszem, uwierzyła mi. Niech Bóg mają w swojej opiece, chyba wiedziała o tym już
wcześniej — znała nie fakty, lecz prawdę. Moja niedyskrecja zmusiła ją jednak do zaję-
cia stanowiska. Zajęła je. Powiedziała, że zostanie z Ileskarem. Pobrali się w paździer-
niku.

Lekarz odchrząknął i przez długą chwilę wpatrywał się w ogień, nie zauważając znie-
cierpliwienia swego młodszego współnika.

— No i co? — młodzieniec wybuchnął w końcu niczym petarda. — Co się stało?

— Co się stało? Właściwie nic. Zamieszkali w Ile. Galven dostał pracę jako zarząd-
ca u Kravaya; po kilku latach zaczął sobie dobrze radzić. Urodził im się syn, potem cór-
ka. Galven zmarł w wieku pięćdziesięciu lat; znowu zapadł na zapalenie płuc i jego ser-
ce już tego nie wytrzymało. Moja siostra wciąż mieszka w Ile. Nie widziałem jej od kil-
ku lat, mam nadzieję spędzić u niej Boże Narodzenie... Ach, ale po co panu to wszystko
opowiedziałem. Stwierdził pan, że istnieją niewybaczalne zbrodnie. Zgadza się, że po-
winno się do nich zaliczać morderstwo. A mimo to kochałem właśnie mordercę, który
w gruncie rzeczy okazał się moim bratem... Rozumie pan, co mam na myśli?

rozmowy nocą

Najlepszym wyjściem jest go ożenić.

— Ożenić?

— Ćśśś.

— Która chciałaby za niego wyjść?

— Mnóstwo dziewcząt! To wciąż rosły, silny i przystojny mężczyzna. Mnóstwo dziewcząt.

Kiedy ich spocone ręce czy uda stykały się pod prześcieradłem, odsuwali się spieszenie od siebie, a potem leżeli, wpatrując się w mrok.

— A co z jego rentą? — zapytał w końcu Albrekt. — Dostałaby ją ona.

— Zostaliby tutaj. Gdzież by indziej? Mnóstwo dziewcząt chwyciłoby taką okazję. Mieszkanie za darmo. Pomagałaby w sklepie i opiekowałaby się nim. Nie ma mowy, że-
bym oddała jego rentę po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam. Nie jest nawet moim krewnym. Mieliby pokój twojego brata, a on spałby w holu.

Ten szczegół nadał takiej realności planowi, że Albrekt zadał pytanie dopiero po dłuższym czasie, kiedy uśmierzył drapaniem swędzenie spoconych ramion.

— Masz na myśli jakąś konkretną osobę?

W holu po drugiej stronie drzwi zaskrzypiało łóżko. Sara milczała przez minutę, a potem szepnęła:

— Alitsię Benat.

— Ha! — skwitował to Albrekt z niejakim zaskoczeniem.

Cisza wydłużała się, zmieniała w niespokojny sen gorącej nocy. Nie wiedząc, że zmo-
rzył ją sen, Sara usiadła z nogami zaplątanymi w prześcieradło. Wstała i wyjrzała do
holu. Jej bratanek spał; o pierwszym brzasku skóra na jego nagich ramionach i piersi
wyglądała twardo i blado, niczym kamień.

— Dlaczego krzyczałeś?

Usiadł nagle z szeroko otwartymi oczyma.

— Co się stało?

— Mówiłeś przez sen i krzyczałeś. Muszę się wyspać.

Położył się. Kiedy Sara z powrotem ułożyła się do snu, zapanowała cisza. Leżał, wsłuchując się w nią. Wreszcie, na zewnątrz, w brzasku dnia, coś jakby głęboko westchnęło. Przepłynął nad nim powiew chłodniejszego powietrza. Mężczyzna także westchnął; obrócił się na brzuch i zapadł w sen, który był dla niego białością, jak bielejący dzień.

Poza granicą snów, poza ścianami, miasto Rakava stało nieruchomo w pierwszych chwilach świtu. Ulice, stare mury z wysokimi bramami i wieżami, wybrzuszone na zewnątrz fabryki, ogrody na wysoko położonej, południowej krawędzi miasta, cała długa, pochyła równina, na której powstało miasto, leżała blada, wysuszona, nieruchoma. Na kilku opuszczonych skwerach hałasowały fontanny. Na zachodzie, gdzie wielka równina spływała w ciemność, było jeszcze zimno. Długa chmura po wschodniej stronie nieba powoli rozplynęła się w różową mgiełkę, a potem nad krawędzią świata przechylił się brzeg słońca niczym krawędź tygła z płynną stałą, wylewając blask dnia. Niebo zrobiło się błękitne, powietrze poprzecinały cienie wież. Przy fontannach zaczęły się zbierać kobiety. Ulice pociemniały od idących do pracy ludzi, a potem nad miastem popłynęło wznoszące się i opadające wycie syreny w fabryce tekstyliów Fermana, zagłuszając powolne uderzenia katedralnego dzwonu.

Trzasnęły drzwi mieszkania. Na podwórku krzyczały dzieci. Sanzo usiadł, posiedział chwilę na krawędzi łóżka; kiedy się ubrał, poszedł do pokoju Sary i Albrekta i stanął przy oknie. Potrafił odróżnić mocne światło od ciemności, ale okno wychodziło na podwórko i nie dochodziły do niego promienie słońca. Stał wsparty rękoma o parapet, czasami przekręcając głowę i starając się uchwycić kontrast między ciemnością i jasnością, ale kiedy usłyszał, że jego ojciec już się krząta, poszedł do kuchni, żeby zrobić staruszkowi kawę.

Ciotka nie zostawiła zapalek na zwykłym miejscu z lewej strony zlewu. Rękoma sztywnymi z ostrożności i frustracji macał po blacie i na półce w poszukiwaniu cynowego pudełka. W końcu odkrył zapaliki na stole, na widoku, jeżeli mógłby cokolwiek zobaczyć. Kiedy zapalił ogień, do kuchni wszedł jego ojciec, szurając nogami.

Jak się czujesz? — zapytał Sanzo.

— Tak samo, tak samo — stary nie powiedział nic więcej, dopóki kawa nie była gotowa, po czym rzekł: — Ty nalej, dziś nie mogę niczego utrzymać w palcach.

Sanzo namacał filiżankę lewą ręką, a prawą przybliżył do niej dzbanek z kawą.

— Powiem ci, kiedy — powiedział Volf, kierując dłonią syna zeszywniałymi, zreumatyzowanymi palcami. Wspólnymi siłami napełnili obie filiżanki. Usiedli przy stole w milczeniu. Ojciec żuł kawałek chleba.

— Znowu upał — wymamrotał.

O szybę okna obijała się z bzykiem wielka, połyskliwa mucha. Jej brzęczenie oraz mlaskanie Volfa żującego chleb wypełniało świat Sanzo. Stukanie do drzwi zabrzmiało

niczym wystrzał z pistoletu. Sanzo podskoczył. Starzec nie przerywał żucia.

Otworzył drzwi.

— Kto to? — zapytał.

— Witaj, Sanzo. Lisha.

— Wejdz.

— Przyniosłam mąkę, którą mama pożyczyła w niedzielę — szepnęła.

— Jest gorąca kawa.

Rodzina Benatów mieszkała po drugiej stronie podwórka; Sanzo znał wszystkich jej członków od dziesiątego roku życia, kiedy to razem z ojcem zamieszkał u Albrekta i Sary. Nie wiedział dokładnie, jak wygląda Alitsia, ponieważ ostatni raz widział ją, kiedy miała czternaście lat. Głos miała miękki, cienki i dziecinny.

Nie weszła do kuchni. Sanzo wzruszył ramionami i wyciągnął ręce po mąkę. Umieściła torebkę na samym środku jego dłoni, żeby nie musiał nimi gmerać w powietrzu.

— Wejdz — powiedział — Właściwie już się nie widzimy.

— Tylko na minutkę. Muszę pomóc matce.

— Przy praniu? Myślałem, że pracujesz w Rebolts.

— Pod koniec zeszłego miesiąca zwolnili sześćdziesiąt osób.

Usiadła z nimi przy kuchennym stole. Rozmawiali o planowanym strajku w fabryce Fermana. Chociaż z powodu artretyzmu Volf nie pracował już od pięciu lat, miał pełno wiadomości, których dostarczali mu kumple od kieliszka, a ojciec Lishy był przewodniczącym sekcji związku zawodowego. Sanzo mówił niewiele. Po chwili zapadło milczenie.

— I cóż ty w nim widzisz? — zabrzmiał głos starca.

Krzesło Lishy skrzypnęło; ona sama nic nie powiedziała.

— Patrz, ile ci się podoba — rzekł Sanzo. — Nie pobieram opłat. — Wstał i zaczął szukać na stole filiżanek i talerzy.

— Lepiej już pójdę.

— Dobrze! — odwracając się do zlewu, źle ocenił odległość i wpadł prosto na nią.

— Przepraszam — powiedział ze złością, bo nie znosił swojej niezręczności. Przez krótką chwilę poczuł na ramieniu lekki dotyk jej dłoni; wyczuł jej oddech, kiedy mówiła:

— Dziękuję za kawę, Sanzo.

Odwrócił się do niej plecami i wstawił filiżanki do zlewu.

Wyszła, a Volf udał się za nią po minucie, powoli schodząc dwa piętra w dół na podwórko, gdzie przesiadywał większość dnia, kuśtykając za słońcem, które przesuwało się od zachodniej do wschodniej ściany, dopóki nie zawyły wieczorne syreny, i wtedy Volf ruszał do narożnego szynku na spotkanie z dawnymi kolegami z pracy. Sanzo mył naczynia i słał łóżka, potem brał laskę i wychodził. W Szpitalu Weteranów nauczył się zawodu ślepca, czyli wyplatania krzesel, a Sara tak długo molestowała miejscowych

sprzedawców używanych mebli, aż jeden z nich zgodził się dawać Sanzo do wypłatania wszystkie krzesła wymagające naprawy. Często nie było pracy, ale w tym tygodniu czekało na niego aż osiem krzeseł. Warsztat leżał w odległości jedenastu kwartałów, ale Sanzo doskonale znał swoje trasy. Sama praca w cichym pomieszczeniu za sklepem, w zapachu świeżo ściętej trzciny, pokostu, pleśni i kleju, była przyjemna, hipnotyczna; skończył po czwartej, kupił sobie w narożnej piekarni pasztecik i podążył kolejną ze swych tras do sklepu wuja: CHEKEY — MATERIAŁY PIŚMIENNE, dziury w murze, gdzie sprzedawano papier, atrament, tabele astrologiczne, sznurek, senniki, ołówki, pinneski. Pomagał w rachunkach Albrektowi, który nie miał głowy do liczb. Ostatnio jednak nie było wielu rachunków; sklep nie miał klientów, i Sanzo usłyszał, jak na zapleczu Sara wścieka się za coś na Albrekta. Zamknął drzwi, żeby zadzwonił dzwonek, sprowadzając ją do sklepu w nadziei na klienta, i wyruszył w trzecią ze swoich tras, do parku.

Z nieba lał się żar, chociaż słońce chyliło się ku zachodowi. Kiedy podniósł na nie wzrok, na oczy spłynęła mu szarawa mgiełka. Znalazł swoją zwykłą ławkę. W suchej parkowej trawie brzęczały owady, miasto mruczało basowo, mijały go w pustce bliskie i dalekie głosy. Kiedy poczuł, że zaczynają go ogarniać cienie, ruszył do domu. Rozboleła go głowa. Przez kilka kwartałów szedł za nim jakiś pies. Słyszał jego dyszący oddech i chrobotanie pazurów na chodniku. Kiedy poczuł, że pies zbyt blisko zbliża się do jego kostek, zamachnął się na niego kilka razy laską, ale go nie uderzył.

Po kolacji, zjedzonej pośpiesznie w milczeniu w gorącej kuchni, zasiadł na podwórku z ojcem, wujem i Kassem Benatem. Rozmawiali o strajku, o nowej metodzie farbowania, która będzie kosztować pracę całą kastę robotników, o brygadziście, który wczoraj zamordował swoją żonę i dzieci. Wieczór był bezwietrzny i lepki.

O dziesiątej poszli spać. Sanzo czuł się zmęczony, ale było za gorąco, za duszno na spanie. Leżał i powtarzał sobie w myślach, że powinien wstać, zejść na dół i usiąść na podwórku, gdzie będzie chłodniej. W dali bez przerwy cicho pogrzmiewało, to milknąc, to znów nasilając się, raz głośniejsze, raz ciszej. Upalna noc spowijała go lepкими zwojami, przyciskając się do niego tak, jak na sekundę przyłgnęło do niego rano ciało dziewczyny, kiedy na nią wpadł. Nagły chłodny podmuch zatrzęsł oknami, powietrze się zmieniło, głośniejsze zagrzmiało. O szyby zaczęły uderzać krople deszczu. Sanzo leżał nieruchomo. Po szarawym ruchu pod powiekami poznawał, kiedy błyskało. W studni podwórka rozniósł się ogłuszającym echem grzmot. Deszcz uderzał o szyby coraz głośniejsze. Kiedy burza złagodniała, Sanzo odprężył się, poczuł leniwą ociężałość, słodkie zadowolenie; bez strachu czy wstydu począł ścigać wspomnienie tej chwili, tego dotyku, i zapadł w sen.

Sara była dla niego miła przez trzy dni z rzędu. Nie dowierzając jej, starał się ją prowokować, lecz Sara zachowywała swoje wybuchy złości dla Volfa i Albrekta, zostawiała zapalki tam, gdzie Sanzo mógł je znaleźć, pytała go, czy nie chce kilku kronerów ze swojej renty, żeby pójść do szynku, a w końcu zapytała, czy nie chciałby, żeby od czasu

do czasu ktoś do niego przychodził mu poczytać.

— Co poczytać?

— Gazetę, cokolwiek zechcesz. Nie nudziłoby ci się tak bardzo. Mogłoby to robić jedno z dzieci Benatów, może Lisha, ona zawsze ma jakąś książkę. Kiedyś tak dużo czytałaś.

— Ale to się skończyło — odparł z głupim sarkazmem.

Sara parła dalej, opowiadając o pralni pani Benat, o tym, że Lisha straciła pracę, i dociekając, gdzie podziały się stare książki matki Sanzo, ona też bardzo lubiła czytać, zawsze miała w ręku jakąś książkę. Sanzo słuchał jednym uchem, nic nie powiedział i wcale się nie zdziwił, kiedy następnego popołudnia pojawiła się Lisha Benat, żeby mu poczytać. Sarze zwykle udawało się dopiąć swego. Wykopała nawet z szafy w pokoju Volfa trzy książki należące niegdyś do matki Sanzo, stare powieści w szkolnych wydaniach. Lisha, która sprawiała wrażenie bardzo skrępowanej, natychmiast zaczęła czytać jedną z nich, "Młodego Liyve" Karantaya. Z początku czytała nieco schrypniętym głosem i nerwowo, wkrótce jednak zainteresowała ją treść książki. Wyszła, zanim Sara i Albrekt wrócili do domu, mówiąc:

— Czy mam przyjść jutro?

Jeśli chcesz — odparł Sanzo. — Podoba mi się twój głos.

Trzeciego popołudnia ta długa, łagodna, romantyczna opowieść zupełnie ją oczarowała. Sanzo, znudzony, lecz spokojny, słuchał cierpliwie. Przychodziła mu czytać dwa lub trzy razy tygodniowo, kiedy nie potrzebowała jej matka; Sanzo zaczął przychodzić do domu przed czwartą, na wszelki wypadek, gdyby przyszła.

— Podoba ci się ten Liyve — powiedział pewnego dnia, kiedy Lisha zamknęła książkę.

Siedzieli przy stole w kuchni. Było duszno i cicho, zapadł wieczór po długim, wrześniowym dniu.

— Och, on jest taki nieszczęśliwy — odparła z takim współczuciem, że po chwili sama się z siebie roześmiała. Sanzo uśmiechnął się. Uśmiech odmienił jego przystojną, skupioną twarz, ożywił ją. Sięgnął ręką, natrafił na książkę i leżącą na niej dłoń Lishy. Przykrył ją swoją dłonią.

— Dlaczego lubisz go z tego powodu?

— Nie wiem!

Wstał gwałtownie i obszedł stół, aż stanął przy jej krześle, tak że nie mogła wstać. Na jego twarz powrócił zwykły wyraz skupienia.

— Czy jest już ciemno?

— Nie. Mamy wieczór.

— Chciałbym cię zobaczyć — powiedział i lewą ręką niepewnie dotknął jej twarzy. Dziewczyna wzdrygnęła się na ten bardzo delikatny dotyk, a potem zamarła w bezru-

chu. Sanzo ujął ją za ramiona, znów początkowo niepewnie, a potem mocniej, i postawił ją na nogi. Drżał; ona stała spokojnie w jego ramionach, przyciśnięta do niego. Ucałował jej usta i twarz, jego ręka zaczęła walczyć z guzikami jej bluzki, po czym Sanzo nagle ją puścił i odwrócił się.

Lisha zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby szlochała. Wokół nich krążył słaby wrzesniowy podmuch wiatru, wpadający przez otwarte okno w innym pokoju. Wciąż stał odwrócony tyłem i Lisha powiedziała:

— Sanzo...

— Lepiej już idź — rzekł. — Nie wiem. Przepraszam cię. Nie wiem, Lisho.

Stała przez chwilę, a potem pochyliła się i dotknęła ustami jego dłoni spoczywającej na stole. Wzięła chustę i wyszła. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, zatrzymała się na podęściu schodów. Przez moment nie było słyhać żadnego dźwięku, a po chwili dobiegło ją z mieszkania szuranie krzesła po podłodze oraz gwizdana melodia; tak bardzo przytłumiona, że Lisha nie była pewna, czy dochodzi zza tych drzwi. Ktoś wchodził po schodach i dziewczyna zbiegła na dół, lecz melodia utkwiała jej w głowie; znała słowa tej starszej piosenki. Nuciała ją, przecinając podwórko.

Dwóch żebraków na ulicy się spotkało:

Daj mi chleba, bracie, bo mam za mato!

Po dwóch dniach przyszła znowu. Żadne z nich nie miało wiele do powiedzenia, więc od razu zaczęła czytać. Dotarli do rozdziału, w którym chorego poetę Liyvego odwiedza w jego mansardzie hrabianka Luisa; rozdział nosił tytuł "Pierwsza noc". Lisha miała sucho w ustach i kilka razy słowa utknęły jej w gardle.

— Muszę się napić wody — powiedziała, ale po nią nie poszła. Kiedy wstała, Sanzo też wstał i kiedy zobaczyła, że wyciąga rękę, ujęła ją.

Tym razem w jej akceptacji była jedna niewyraźna chwila, ruch stłumiony zanim go uczyniła, zanim poznała, że się czemuś oparła.

— Dobrze — szepnął i jego ręce stały się delikatniejsze. Dziewczyna miała zamknięte oczy, a on otwarte; stali tak nie w blasku lampy, lecz w ciemności i w samotności.

Następnego dnia spróbowali czytać, ponieważ wciąż nie mogli ze sobą rozmawiać, lecz lektura skończyła się wcześniej niż poprzednio. Potem przez kilka dni Lisha była potrzebna w pralni. Przy pracy śpiewała piosenkę.

Idź do piekarza, poproś go o klucz,

Jak ci go nie da, powiedz, że czekam już.

Jej matka nachylona nad balią podjęła melodię. Lisha przestała śpiewać.

— Nie wolno mi jej śpiewać, skoro mam ją w uszach przez cały dzień?

Pani Benat zanurzyła czerwone, śliskie od mydła ręce w parującej wodzie. Lisha przepuszczała przez ręczną wyżymaczkę sztywny kombinezon.

— Spokojnie. Co się stało?

— Nie chce przejść.

— Może zahaczył się guzikiem. Dlaczego jesteś ostatnio taka nerwowa?

— Nie jestem nerwowa.

— A ja nie jestem Sanzo Chekeyem, ja cię widzę, moja droga!

Znów cisza, w której Lisha zmagала się z wyżymaczką. Pani Benat ze stęknieniem postawiła na stole kosz z wilgotnymi ubraniami, przyciskając go do piersi.

— Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł z czytaniem?

— Wymyśliła to jego ciotka.

— Sara?

— Powiedziała, że może go to rozweseli.

— Rozweseli go! Sara? Już dawno wygnałaby ich obu z Volfem, gdyby nie ich renty. Nie mogę jej za to winić. Chociaż trzeba przyznać, że chłopak dobrze sobie radzi.

— Pani Benat dźwignęła na stół kolejny ładunek, strzepnęła mydliny z obrzmiałych rąk i odwróciła się do córki. — Posłuchaj, Alitsio. Sara Chekey to kobieta godna szacunku. Masz jednak słuchać mnie, a nie jej. Rozumiesz?

— Tak, mamo.

Lisha miała tego popołudnia czas, lecz nie poszła do Chekeyów. Zabrała najmłodszą siostrę do parku na przedstawienie marionetek i wróciła dopiero wtedy, kiedy zapadł ciemny i wietrzny jesienny zmierzch. Tej nocy, leżąc w łóżku, ułożyła się na plecach, z wyprostowanymi nogami oraz rękoma wyciągniętymi po bokach, i zaczęła się zastanawiać nad tym, co powiedziała matka. Na pewno miało to związek z Sanzo. Czy Sara chciała, żeby była z Sanzo? Po co? Na pewno nie z tych samych powodów, z których ona chciała z nim być. Cóż w tym złego, że jej matka myśli, iż może się zakochać w Sanzo?

Jej myśli zatrzymały się, i po chwili Lisha stwierdziła: Ależ ja już jestem w nim zakochana. Przez ten ostatni tydzień, od chwili pierwszego pocałunku, właściwie nad niczym się nie zastanawiała; teraz umysł jej się rozjaśnił i wszystko wskoczyło na swoje miejsce, jakby zawsze tam było. Czy ona nie pojmuje? — zastanawiała się Lisha, ponieważ teraz wszystko było tak oczywiste. Matka musi zrozumieć; zawsze wszystko rozumiała szybciej od Lishy. Nie ostrzegała jej jednak przed Sanzo. Kazała jej tylko trzymać się z daleka od Sary. W porządku. Lisha nie lubiła Sary i chętnie się zgodziła: nie będzie słuchać niczego, co ona ma do powiedzenia. I właściwie cóż takiego ona ma do powiedzenia? Jej to nie dotyczy.

— Sanzo — powiedziała Lisha samymi ustami, nie głosem, tak, żeby leżąc obok w łóżku jej siostra Eva nie usłyszała; a potem odwróciła się z zadowoleniem na bok,

podkuliła nogi i zasnęła.

Następnego popołudnia poszła do Chekeyów, i kiedy jak zwykle siedzieli w kuchni przy stole, uważnie przyjrzała się Sanzo. Jego oczy wyglądały normalnie — jedynie pełen skupienia wyraz twarzy zdradzał ślepotę — ale czoło z jednej strony miał lekko zdeformowane. Blizny było widać nawet pod włosami. Jak bardzo robiło jej się przy nim nieswojo? Czy chciała od niego uciec, jak od dzieci z wodogłowiem i żebraków z olbrzymimi nozdrzami w miejscu nosa? Nie; chciała dotknąć tej blizny, bardzo delikatnie, tak jak on pierwszy raz dotknął jej twarzy; chciała dotknąć jego włosów, kącików ust, mocnych, pięknych, spokojnych dłoni spoczywających na stole, kiedy czekał, żeby zaczęła czytać albo coś powiedziała. Martwiła ją tylko bierność, nieświadome podporządkowanie się widoczne w sposobie, w jaki siedział, spokojnie czekając. Nie była to twarz ani ciało stworzone do bierności.

— Nie chcę dziś czytać — powiedziała.

— Dobrze.

— Chcesz się przejść? Mamy dzisiaj piękny dzień.

— Dobrze.

Włożył kurtkę i zszedł za Lishą po długich, ciemnych schodach. Na ulicy nie ujął jej pod ramię, chociaż nie wziął ze sobą laski. Lisha nie ośmieliła się wziąć go pod rękę.

— Do parku?

— Nie. Na Wzgórzu. Jest tam miejsce, gdzie kiedyś chodziłem. Nie potrafię tam pójść sam.

Wzgórze stanowiło górną granicę Rakavy; tamtejsze domy były stare i duże, położone w prywatnych parkach i ogrodach. Lisha nie знаła owego miejsca, chociaż leżało tylko około mili od jej dzielnicy. Wzdłuż cichych, nieznanych ulic wiał z południa silny wiatr. Rozglądała się ze zdumieniem i przyjemnością.

— Na wszystkich ulicach rosną drzewa, jak w parku — powiedziała.

— Gdzie jesteśmy, na ulicy Sovenskara?

— Nie zauważyłam.

— Na pewno. Czy po drugiej stronie ulicy przed nami jest szary mur ze szkłem na szczycie? Powinniśmy koło niego przechodzić.

Dotarli tak do dużego nie ogrodzonego, zdziczałego ogrodu, leżącego na końcu nie brukowanego podjazdu. Lisha była lekko zaniepokojona, że tak wchodzi na te milczące terytoria bogatych, lecz Sanzo szedł bez wahania, jakby był ich właścicielem. Podjazd zrobił się stromy, a ogród rozłożył się szeroko na zboczu. Jego trawniki i kolczaste zarośla pokrywały się z zarysami parku, którym niegdyś był. Na końcu podjazdu, prawie przy miejskim murze, stał kwadratowy kamienny dom o pustych oknach, zapatrzony w leżące poniżej miasto.

Usiedli na nie koszonej trawie. Zachodzące słońce paliło, strzelając promieniami po-

przez rosnący z ich lewej strony zagajnik. Nad równinami za miastem wisiał dym lub mgiełka. Pod nimi leżała cała Rakava. Tu i ówdzie wznosił się między kominami słup dymu, odcinany przez południowy wiatr. Ciszę ogrodu podkreślał głuchy, ciężki hałas miasta. Czasem gdzieś daleko zaszczekał pies lub przez chwilę słyszeli stuk końskich kopyt albo nawołujący głos, uwięziony przez echo odbijające się od ścian domów. Na północy i wschodzie miasta, gdzie zniknął mur, panoszyły się fabryki niczym olbrzymie klocki poustawiane wśród domków dla lalek.

— Czy dom wciąż jest pusty?

Lisha odwróciła się, żeby poparzyć na budynek i jego czarne, pozbawione szyb okna.

— Wygląda, jakby zawsze był pusty.

— Ogrodnik pracujący w jednym z tych domów powiedział mi, kiedy byłem dzieckiem, że stoi pusty od pięćdziesięciu lat. Wybudował go jakiś cudzoziemiec. Przyjechał tu i zbił majątek na jakichś maszynach w fabrykach. Dawno temu. Nie sprzedał domu, tylko go tak zostawił. Ogrodnik mówił, że ma czterdzieści pokoi. — Sanzo położył się na wznak z rękoma pod głową i zamkniętymi oczyma; wyglądał na odprężonego.

— Miasto dziwnie stąd wygląda. W połowie złote, a w połowie ciemne i ciasno stłoczone, jak poupychane w pudełku. Ciekawe, dlaczego jest tak ściśnięte, skoro ma tyle miejsca wokoło. Wygląda, jakby równiny ciągnęły się w nieskończoność.

— Kiedy byłem dzieckiem, często tu przychodziłem. Lubiłem patrzeć na nie z góry... Brudne miasto.

— Ale stąd wygląda naprawdę pięknie.

— Krasnoy, to dopiero piękne miasto.

Mieszkał w Krasnoy przez rok w Szpitalu Weteranów, po tym jak oślepiła go mina przeciwpiechotna.

— Widziałeś je przedtem? — zapytała Lisha, a on, zrozumiałwszy, skinął głową:

— W siedemnastym, tuż po powołaniu do wojska. Chciałem wrócić. Krasnoy tętni życiem, a tu panuje martwota.

— Wieże wyglądają dziwnie, sądy i stare więzienie wystają z cienia jak palce... Co robiłeś, kiedy tu przychodziłeś?

— Nic. Wałęsałem się. Kilka razy włamałem się do tego domu.

— Czy naprawdę jest w nim czterdzieści pokoi?

— Nigdy nie liczyłem. Robiło mi się nieswojo. Wiesz, co jest dziwnego? Myślałem, że jest jak ślepy człowiek. Z powodu tych czarnych okien.

Mówił cicho, twarz miał spokojną, oświetloną mocnym czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Lisha przez chwilę go obserwowała, a potem popatrzyła z powrotem na miasto.

— Można się domyślić, że hrabianka Luisa opuści Liyvego — powiedziała rozmarzo-

nym tonem.

Sanzo roześmiał się. W jego śmiechu brzmiało prawdziwe rozbawienie lub zadowolenie. Wyciągnął rękę ku dziewczynie. Kiedy ją ujęła, pociągnął ją, żeby położyła się obok niego. Oparła mu głowę na ramieniu. Trawa była miękka niczym materac. Tors Sanzo zasłaniał Lishy wszystko oprócz nieba i szczytów kasztanowców rosnących w zagajniku. Leżeli cicho w ciepłym blasku zachodzącego słońca i chyba po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w życiu Lisha była absolutnie szczęśliwa. Nie miała zamiaru dobrowolnie się tego pozbawiać. To on w końcu się poruszył i powiedział:

— Słońce pewnie już zaszło, robi się zimno.

Wrócili szerokimi, spokojnymi ulicami do swego świata. Tam ulice były hałaśliwe i zatłoczone ludźmi wracającymi do domu z fabryk. Sanzo trzymał Lishę za rękę, więc mogła go prowadzić, ale ilekroć ktoś go potrącił (w gruncie rzeczy nie częściej, niż potrącano ją), czuła się winna. Ponieważ był wysoki, to stawiał długie kroki i parł prosto do przodu, więc wyprzedzanie go, żeby zapobiegać zderzeniom, było trudnym zadaniem. Kiedy dotarli do swego domu, on jak zwykle miał zmarszczone brwi, a ona była zadyszana. Powiedzieli sobie obojętnie dobranoc przed jego drzwiami i Lisha stała, patrząc, jak tym samym pewnym krokiem Sanzo wchodzi na schody. Każdy krok stawiał w ciemności.

— Gdzie byłaś? — odezwał się za nią głęboki głos.

Podskoczyła.

— Spacerowałam z Sanzo Chekeyem, ojcze.

Kass Benat, niski, krępy i masywny w świetle wieczoru, powiedział:

— Sądziłem, że jest dość samodzielny.

— Owszem. — Lisha uśmiechnęła się szeroko. Jej ojciec stał przed nią, krzepki i zamysłony.

— Idź na górę — powiedział w końcu i poszedł się umyć pod pompą na podwórku.

— Kiedyś wyjdzie za męża.

— Może — odparła pani Benat.

— Jakże może? Skończyła osiemnaście lat. Są ładniejsze, ale to dobra dziewczyna. Wyjdzie za męża lada dzień.

— Nie, jeśli będzie się zadawać z tym Sanzo.

— Zabierz poduszkę na swoją stronę, włazi mi w oko. Co to znaczy, zadawać się?

— Skąd mam wiedzieć?

Kass usiadł.

— Co chcesz mi powiedzieć? — zażądał wyjaśnień chrapliwym głosem.

— Nic. Znam ją. Niektórzy jednak z naszych sąsiadów mogliby ci dużo opowiedzieć. I sobie nawzajem.

— To dlaczego pozwalasz, by tam chodziła? Żeby dostała się na języki?

Nastała chwila milczenia.

— Bo jestem głupia — rzekła ciężko w ciemność pani Benat. — Po prostu się nad tym nie zastanawiałam. Po co? On jest przecież ślepy.

Znow zapadła cisza i Kass powiedział z wahaniem:

— Sanzo nie można winić. To dobry chłopak. Był dobrym robotnikiem. Niczemu nie jest winien.

— Nie musisz mi tego mówić. Taki duży, przystojny chłopak. I taki stateczny, jak ty. To nie ma sensu, chciałabym zapytać dobrego Pana, co zamierza...

— Wszystko jedno. Co ty zamierzasz zrobić?

— Poradzę sobie z Sara. Ona sama mi w tym pomoże. Znam ją. Nie ma cierpliwości. Ale ta dziewczyna... Jeśli znowu z nią porozmawiam, to wpadnie na jeszcze więcej pomysłów!

— Porozmawiaj więc z nim.

Dłuższe milczenie. Kass na wpół zasnął, kiedy jego żona wybuchnęła:

— Co to znaczy, porozmawiaj z nim? Kass stęknął.

— Sam z nim porozmawiaj, jeśli to takie łatwe!

— Przestań, staruszko. Jestem zmęczony.

— Umywam od tego ręce — rzekła z wściekłością pani Benat.

Kass wyciągnął rękę i klepnął ją po siedzeniu. Westchnęła głęboko, z gniewem. Ułożyli się blisko siebie i zasnęli, a mroczny, nasilający się wiatr jesieni hulał po ulicach i podwórzach.

Stary Volf słyszał w swojej pozbawionej okien sypialni, jak wiatr z jękiem napiera na mury. Za ścianą cicho chrapał Albrekt, Sara chrapała głęboko i powoli. Po dłuższym czasie z kuchni dobiegły go trzaski i stuknięcia. Volf wstał, znalazł buty oraz znoszony pikowany szlafrok i poszedł, szurając nogami, do kuchni. Nie paliło się w niej światło.

— To ty, Sanzo?

— Tak.

— Zapal świecę. — Czekał, niespokojny w czarnej ciemności. Zagrzechotało pudełko, trzasnęła zapalka i świat pojawił się ponownie wokół błękitnego płomyczka.

— Zapaliła się?

— Trochę niżej. Już.

Usiedli przy stole. Volf usiłował przykryć szlafrokiem zmarznięte nogi. Sanzo był ubrany, ale koszulę miał krzywo zapiętą; wyglądał mizernie. Na stole przed nim stała butelka i szklanka. Napełnił ją i pchnął w kierunku ojca. Volf ujął ją powykręcanymi dłońmi i zaczął pić dużymi łykami, robiąc między nimi długie przerwy. Zmęczony czekaniem, Sanzo wziął sobie drugą szklankę, nalał do połowy i wypił duszkiem.

Kiedy Volf skończył, przez chwilę patrzył na syna i powiedział:

— Aleksandrze.

— O co chodzi?

Volf siedział, patrząc na niego, w końcu wstał i powtórzył imię, którym nazywała go tylko nieżyjąca od piętnastu lat matka Sanzo:

— Aleksandrze...

Dotknął ramienia syna sztywnymi palcami, powstał przez chwilę i wrócił do swego pokoju, powłócząc nogami.

Sanzo nalał sobie jeszcze raz i wypił. Stwierdził, że trudno mu się upić samemu; nie był pewien, czy już mu się to udało, czy jeszcze nie. Zupełnie jakby siedział w gęstej mgłę, która ani się nie przerzedzała, ani nie gęstniała: pustka.

— Pustka, nie ciemność — powiedział, wymierzając palec, którego nie widział, przed siebie. Słowa te miały wielkie znaczenie, lecz z jakiegoś powodu nie podobało mu się brzmienie własnego głosu. Poszukał szklanki, która przestała istnieć, i wypił z butelki. Pustka była taka, jak przedtem. — Odejdź, odejdź — powiedział. Tym razem brzmienie głosu spodobało mu się. — Nie ma cię. Nikogo tam nie ma. Ja jestem tutaj. — To przyjął z zadowoleniem, ale zaczęło mu się robić niedobrze. — Jestem tutaj, do diabła, jestem tutaj — powiedział głośno. — Nikt mu nie odpowiedział, nikt się nie obudził. Nikogo nie było. — Jestem tutaj — powtórzył. Usta mu drżały. Złożył głowę na rękach; był tak oszołomiony, że myślał, iż spada z krzesła, ale zamiast tego zasnął. Stojąca obok jego ręki świeca wypaliła się i zgasła. Spał, zgarbiony, na stole, a wiatr jęczał i ulice rozjaśniały się świtem.

— Powiedziałam tylko tyle, że ostatnio często tam chodzi.

— Tak? — rzuciła lekko pani Benat tonem, który zdradzał jednak zainteresowanie.

— I zrobiła się taka drażliwa — stwierdziła Eva, druga córka, szesnastolatka.

— Ach, tak?

— On nie może nawet pracować, dlaczego zachowuje się tak zarozumiale?

— Pracuje.

— O, tak, naprawia krzesła czy coś takiego. Zawsze jednak jest taki zarozumiały, a kiedy ją zapytałam, to ona zrobiła się nieprzystępna. Czy mam proste włosy? — Eva była ładna, tak jak jej matka w wieku szesnastu lat. Wybierała się na spacer z jednym z wielu poważnych, kościstych młodzieńców ubiegających się o ten przywilej. Żeby nań zasłużyć, musieli poddać swoje osoby i pochodzenie wnikliwej analizie państwa Benat.

Po wyjściu Evy pani Benat odłożyła cerowanie i poszła do pokoju młodszych dzieci. Lisha usypiała swoją pięcioletnią siostrzyczkę piosenką o dwóch żebrakach. Wiatr, który zerwał się zeszłej nocy, uderzał w okno.

— Zasnęła? Chodź.

Lisha poszła za matką do kuchni.

— Zrób nam po filiżance czekolady. Padam ze zmęczenia... Takie małe mieszkanie. Gdybyśmy mieli pokój, gdzie mogłybyście przesiadywać z waszymi chłopcami. Nie podobają mi się to wychodzenie z domu, tak się nie robi. Do dziewczyny powinno się zalecać w domu...

Nie powiedziała nic więcej, dopóki Lisha nie przyrządziła czekolady i nie usiadła przy stole. Wtedy odezwała się:

— Nie chcę, żebyś chodziła do Chekeyów, Lisho.

Lisha odstawiła filiżankę. Wygładziła spódnicę i podłożyła koniec paska pod sprzączkę.

— Dlaczego, mamo?

— Ludzie gadają.

— Ludzie muszą o czymś gadać.

— Nie o mojej córce.

— To on może przychodzić tutaj?

Panią Benat zaskoczył taki atak z flanki, zuchwały i niemal bezczelny. Była to ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się ze strony Lishy. Wstrząśnięta, powiedziała bez ogródek:

— Nie. Chcesz powiedzieć, że zalecacie się do siebie?

— Chyba tak.

— On jest ślepy, Alitsio!

— Wiem — odparła dziewczyna bez śladu ironii w głosie.

— On nie może... on nie może zarabiać na utrzymanie! — Jego renta wynosi dwieście pięćdziesiąt.

— Dwieście pięćdziesiąt!

— To o dwieście pięćdziesiąt więcej, niż zarabia dziś wielu ludzi — rzekła Lisha.
— Poza tym ja mogę pracować.

— Lisho, chyba nie mówisz o poślubieniu go?

— Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

— Ależ, Lisho! Nie widzisz...

Głos pani Benat zmiękł, nabrał rozpaczliwych tonów. Położyła ręce na stole. Jej krótkie, delikatne dłonie były spuchnięte od gorącej wody i szorstkiego mydła.

— Posłuchaj mnie, Lisho. Mam czterdzieści lat. Pół życia mieszkam w tym mieście, dwadzieścia lat w tym mieszkaniu, w tych czterech pokojach. Przybyłam tu, kiedy miałam tyle lat co ty. Jak wiesz, urodziłam się w Foranoy, to też jest stare miasto, ale nie taka pułapka, jak to. Twój dziadek był robotnikiem w fabryce. Mieliśmy tam dom, dom z salonem, i podwórko z krzakiem róży. Kiedy umierała twoja babcia, ty tego nie pamiętasz, ale wciąż pytała: Kiedy pojedziemy do domu? Kiedy pojedziemy do domu? Z początku podobało mi się tu, byłam młoda, poznałam twojego ojca, za kilka lat mieliśmy wrócić

na północ. Rozmawialiśmy o tym. Potem pojawiły się dzieci. A potem wojna, dobre zarobki. Teraz to wszystko przepadło, są tylko strajki i obniżki płac. W końcu, kiedy popatrzyłam za siebie, zrozumiałam, że się stąd nie wydostaniemy, że utkwiliśmy tu na dobre. Kiedy to pojęłam, złożyłam przysięgę, Lisho. Powiesz, że od lat nie chodzę do kościoła, ale poszłam do katedry i złożyłam tam przysięgę Paniencie Soveny. Powiedziałam: Święta Matko, ja tu zostanę, jeżeli dozwolisz wydostać się stąd moim dzieciom. Nigdy nic już więcej nie powiem, jeśli tylko pozwolisz im wyjechać, wydostać się stąd.

Podniosła wzrok na córkę. Mówiła jeszcze ciszej.

— Rozumiesz, do czego zmierzam, Lisho? Twój ojciec jest jeden na dziesięć tysięcy mężczyzn. Co jednak z tego ma? Nic. Nic nie zaoszczędził. Ma to samo mieszkanie, do którego wprowadziliśmy się po ślubie. Tę samą pracę. Praktycznie takie same zarobki. Tak to się dzieje w tej pułapce, w tym mieście. Widzę, jak został schwytany, ale co z tobą? Nie dopuszczę do tego! Chcę, żebyś dobrze wyszła za mąż i wyjechała! Daj mi skończyć. Jeśli wyjdiesz za Sanzo Chekeya, dwojgu uda się żyć z jego renty, ale co z dziećmi? Dla ciebie nie ma tu teraz pracy. Jeśli za niego wyjdiesz, to wiesz, dokąd pójdziesz? Na drugą stronę podwórka. Z czterech pokoi do trzech. Do Sary, Albrekta i tego starca. I będziesz pracować za darmo w tym ich podłym sklepiku. I będziesz przywiązana do człowieka, który cię znienawidzi, bo nie będzie mógł ci pomóc. O, ja znam Sanzo, zawsze był dumny, i nie myśl, że mi go nie było żal. Ale jesteś moim dzieckiem i to jest twoje życie, Lisho, całe twoje życie!

Podniosła głos, który przy tych ostatnich słowach zaczął jej drżeć. Zapłakana Lisha wyciągnęła ręce przez stół i mocno chwyciła dłonie matki.

— Posłuchaj, mamó, obiecuję... jeśli Sanzo kiedykolwiek coś powie — może nie powie, nie wiem — jeśli coś powie, a ja wciąż nie będę mogła znaleźć pracy, żebyśmy mieli dość pieniędzy na przeprowadzkę, to mu odmówię.

— Chyba nie sądzisz, że pozwoli ci na siebie zarabiać?

Chociaż Lisha miała spuchnięte oczy i mokre od łez policzki, mówiła dość spokojnie.

Jest dumny, ale nie głupi, mamó.

— Ależ Lisho, czy nie możesz sobie znaleźć prawdziwego mężczyzny?!

Dziewczyna puściła ręce matki i wyprostowała się. Milczała.

— Obiecuj mi, że nie będziesz się ^ nim spotykać.

— Nie mogę. Obiecałam ci tyle, ile mogłam, mamó.

Zapadła cisza.

— Nigdy w niczym mi się nie sprzeciwiałaś — rzekła pani Benat poważnym, pełnym rozmysłu głosem. — Zawsze byłaś dobrą córką. Jesteś już dorosła. Nie mogę cię zamknąć niby ladacznice. Kass może by się na to zgodził, aleja nie mogę. Decyzja należy do ciebie. Możesz ocalić siebie i jego. Możesz też wszystko zmarnować.

— Ocalić siebie? Dla kogo? — zapytała dziewczyna bez cienia goryczy. — Zawsze był tylko on. Nawet kiedy byłam mała, zanim poszedł do wojska. Grzechem byłoby to zmarnować... Może złożenie tej przysięgi też było grzechem, mamó.

Pani Benat wstała.

— Komu to ocenić? — zapytała ze znużeniem w głosie. — Chcę zaoszczędzić mojej córce ciężkiego życia, a ona mi mówi, że to grzech.

— Nie dla ciebie, mamó. Dla mnie. Nie mogę dotrzymywać twoich przysięg!

— A zatem niech Bóg wybaczy nam obu. I jemu. Chciałam jak najlepiej, Lisho.

Pani Benat poszła ciężkim krokiem do swego pokoju. Lisha siedziała dalej przy stole, obracając w palcach łyżeczkę. Nie czuła żadnej radości, że po raz pierwszy w życiu przeciwstawiła się matce i pokonała ją. Była tylko zmęczona i po jakimś czasie znów napłynęły jej do oczu łzy. Jedyną dobrą rzeczą w rym wszystkim było to, że już nikogo się nie bała. W końcu poszła do pokoju, który dzieliła z Eva, znalazła ołówek i skrawek papieru i napisała bardzo krótki list do Sanzo Chekeya, w którym wyznawała mu miłość. Kiedy skończyła pisać, złożyła papier kilka razy, włożyła do ciężkiego medalionika z pozłacanego mosiądzu, który dostała od matki, i zapięła łańcuszek na szyi. Następnie położyła się do łóżka i przez długi czas leżała, słuchając nie kończącego się, bezcelowego szumu wiatru.

Sara Chekey, tak jak powiedziała pani Benat, nie miała cierpliwości. Tego samego wieczoru, kiedy Volf i Albrekt byli w szynku, powiedziała do swego bratanka:

— Sanzo, czy myślałeś kiedykolwiek o małżeństwie? Nie rób takiej miny. Mówię poważnie. Myślałam już o tym, zaraz powiem ci, dlaczego. Powinieneś widzieć twarz Lishy Benat, kiedy na ciebie patrzy. Dlatego o tym pomyślałam.

Odwrócił się do Sary i powiedział chłodnym tonem:

— Co cię to obchodzi, jak na mnie patrzy?

— Mam oczy, widzę wszystko przed nosem! — Po tych słowach wstrzymała oddech, ale Sanzo roześmiał się swoim niepokojącym śmiechem.

— No to patrz — rzekł. — Tylko nie rób sobie kłopotu i nic mi nie mów.

— Posłuchaj, Sanzo, jesteś taki dumny, jakby nic na świecie nie sprawiało ci różnicy i nawet nie przychodzi ci do głowy, że cokolwiek mówię, mogłoby być na tyle sensowne, żebyś tego posłuchał. Jak myślisz, co mi dobrego przyjdzie z twojego małżeństwa? Po prostu myślałam o tobie i przypadkiem zauważyłam...

— Daruj sobie — powiedział.

Jego głos przybrał pełen napięcia, arogancki ton, który złościł Sarę. Zasypała go lawiną uzasadnień i oskarżeń.

— Dopięłaś swego — przerwał jej Sanzo. — Nigdy się już z nią nie spotkam.

Ponieważ nie mógł inaczej uciec przed Sara, wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwia-

mi. Zbiegł ze schodów. Kiedy znalazł się na ulicy bez laski, kurtki ani pieniędzy, zatrzymał się. Lisha chciała go zdobyć — tak? — a Sara chciała, żeby został zdobyty? Ułożyły sobie plan, a on dał się na niego nabrać! Kiedy straszliwe napięcie upokorzenia i wściekłości zaczęło opadać, stracił orientację i nie wiedział, w którym kierunku jest zwrócony, czy odszedł od drzwi, czy też nie. Musiał przez kilka minut macać wokół siebie rękami, żeby zorientować się, gdzie jest. Ludzie mijali go, rozmawiając; nie zwracali na niego uwagi, a może myśleli, że jest pijany. W końcu znalazł wejście, wrócił na górę, wziął dziesięć kronerów ze skarbonki ojca, wyminął protestującą Sarę i drugi raz trzasnął drzwiami.

Wrócił do domu około dziesiątej rano, rzucił się na swoje łóżko stojące w holu i przespał cały dzień. Była niedziela, i jego wuj, który kilka razy musiał mijać rozciągnięte w pościeli ciało, w końcu powiedział do Sary:

— Dlaczego znowu wypadł z domu? Volf mówi, że zabrał wszystkie jego pieniądze. Nie zachowywał się tak przez całe lato. Nie tak, jak kiedy wrócił do domu.

— Tak, nadaje się jedynie do przepijania pieniędzy, które ma z ojcem na utrzymanie.

Albrekt podrapał się po głowie i jak zwykle odpowiedział powoli i nie całkiem na temat:

— To chyba diabelnie ciężkie życie dla dwudziestosześcioletka.

Lisha przyszła następnego dnia o czwartej. Sanzo zaproponował spacer; poszli na Wzgórze, do ogrodu. Był już październik, zachmurzone niebo szykowało deszcz. Żadne z nich po drodze nic nie mówiło. Usiedli na trawie poniżej pustego domu. Lisha drżała, patrząc z góry na szare miasto, jego tysiące ulic, olbrzymie fabryki. Ponieważ nie świeciło słońce, nad ogrodem zapanowała posępna, mroczna bryła zagajnika kasztanowców. Daleko w mieście przejechał z gwizdem pociąg.

— Jak wygląda?

— Wszystko jest szare i czarne.

Usłyszała we własnym głosie dziecinną, szepczącą nutę. Zadanie jej tego pytania nie kosztowało go jednak ani krzty dumy. Ucieszyła się, podniosło ją to nieco na duchu. Gdyby tylko mogli dalej rozmawiać albo gdyby ją dotknął, i wiedział, że tam jest, wszystko byłoby w porządku. Wkrótce rzeczywiście wyciągnął ku niej rękę, a ona z radością pozwoliła mu się objąć i oparła policzek na jego ramieniu. Wyczuła w nim napięcie, jakby chciał coś powiedzieć, i już chciała go o to zapytać, kiedy uniósł dłonią jej twarz i pocałował ją. Pocałunek stawał się coraz bardziej natarczywy. Odwrócił się tak, że nieco ją przygniótł, zsuwając usta na jej szyję i piersi. Próbowwała coś powiedzieć, lecz nie mogła, próbowała go odepchnąć, lecz nie potrafiła. Przygniatał ją swoim ciężarem, ramię przesłaniało niebo. Żołądek zacisnął jej się w węzeł, nic nie widziała, ale udało się jej wykrztusić słabym szeptem:

— Puść mnie.

Nie zwrócił na to uwagi; wcisnął ją w sztywną trawę i mrok ziemi z taką siłą, że Lisha czuła jedynie słabość, taką słabość, jakby umierała. Kiedy jednak spróbował siłą rozsunąć jej nogi, zabołało ją tak mocno, że znów zaczęła się wrywać, walczyć jak dzikie zwierzątko. Wyswobodziła jedną rękę, odepchnęła jego głowę i wysliznęła się spod niego jednym konwulsyjnym ruchem. Wstała na czworakach, wyprostowała się i uciekła.

Sanzo leżał z twarzą na wpół schowaną w trawie.

Kiedy wróciła do niego, nie poruszył się. Gdy stała tak nad nim, łzy, które dopiero co opanowała, znów zaczęły jej ciec z oczu.

— No, Sanzo, wstań — powiedziała cicho.

Leżał bez ruchu.

— Wstań.

Po chwili odwrócił się i usiadł. Na jego bladej twarzy odcisnęła się sieć żdźbeł sztywnej trawy, a kiedy otworzył oczy, zwrócił je w bok, jakby patrzył na zagajnik kasztanowców.

— Chodźmy do domu, Sanzo — szepnęła do jego strasznej twarzy.

Sanzo rozciągnął wargi i powiedział:

— Odejdź. Daj mi spokój.

— Chcę iść do domu.

— No to idź! Idź, myślisz, że cię potrzebuję? Idź, odejdź stąd! — Spróbował ją odepchnąć, ale tylko uderzył ją w kolano. Lisha odeszła i zaczęła na niego z boku podjazdu na zewnątrz ogrodu. Kiedy ją mijał, wstrzymała oddech, a kiedy odszedł już dobry kawałek od niej, ruszyła za nim, starając się nie robić hałasu. Zaczęło padać — z niskich, nieruchomych chmur spadały ukosem drobne krople.

Sanzo nie miał laski. Początkowo kroczył śmiało, tak jak wtedy kiedy szedł z Lishą, ale potem zwolnił, najwyraźniej tracąc odwagę. Przez pewien czas szło mu dobrze i Lisha usłyszała, jak gwizdże przez zęby jakąś wesołą melodię. Kiedy zszedł ze Wzgórza i znalazł się na głośniejszych ulicach, gdzie nie słyszał echa, zaczął się wahać, stracił orientację i źle skręcił. Lisha szła blisko za nim. Ludzie patrzyli na nich. W końcu Sanzo zatrzymał się i Lisha usłyszała, jak rzuca w powietrze pytanie:

— Czy to ulica Bargay?

Jakiś zbliżający się do niego mężczyzna popatrzył zdziwiony i powiedział:

— Nie, odszedł pan od niej bardzo daleko.

Ujął Sanzo pod ramię i skierował go we właściwym kierunku, dając mu wskazówki i pytając, czy jest niewidomy i czy stracił wzrok w fabryce czy na wojnie. Sanzo odszedł, ale zanim dotarł do następnej przecznicy, zatrzymał się na dobre. Lisha dogoniła go i w milczeniu wzięła pod rękę. Oddychał bardzo ciężko, niczym wyczerpany biegacz.

— Lisha?

— Tak. Chodźmy.

Początkowo nie mógł ruszyć się z miejsca, nie mógł zrobić kroku.

Poszli powoli, chociaż deszcz przybierał na sile. Kiedy dotarli do domu, Sanzo wyciągnął rękę i dotknął cegieł obok drzwi; upewniwszy się, że są na miejscu, odwrócił się do Lishy i rzekł:

— Nie przychodź już więcej.

— Dobranoc, Sanzo — odparła.

— To nie ma sensu, rozumiesz? — powiedział i ruszył na górę.

Lisha poszła dalej, do swoich drzwi.

Przez kilka dni chodził do sklepu meblowego po południu i zostawał tam do późna, nie przychodząc do domu na kolację. Potem przez pewien czas nie miał żadnych napraw i zaczął chodzić późnym popołudniem do parku. Robił to dalej, kiedy zaczął wiać zimowy wschodni wiatr, przynosząc z sobą deszcz, deszcz ze śniegiem i rzadki, wilgotny, brudny śnieg. Kiedy zostawał cały dzień w mieszkaniu, wzbierała w nim nerwowa nuda; drżały mu ręce i tracił czucie w palcach, nie potrafił powiedzieć, co w nich trzyma i czy w ogóle coś ma w ręku. To wyganiało go na dwór na coraz dłuższe spacery, aż pewnego dnia wrócił z bólem głowy i kaszlem. Gorączka trzęsła nim przez tydzień i sprawiła, że ilekroć później wychodził, padał ofiarą kaszlu i kolejnej gorączki.

Ta słabość, głupota słabego zdrowia przynosiły mu ulgę. Gorzej jednak było z Sara. Teraz musiała przygotowywać śniadanie dla niego i dla Volfa oraz płacić za specyfiki na ból głowy, który czasami był tak mocny, że Sanzo aż krzyczał. Nocą budziła się, kiedy kasłał. Przez całe życie ciężko pracowała i poprawiała sobie samopoczucie zrządzeniem i narzekaniem, teraz jednak nie chodziło o pracę, tylko o jego obecność, stałą obecność skupionego, niespokojnego, niewidomego człowieka, który nic nie robi i nic nie mówi. To złościło ją do tego stopnia, że krzyczała na biednego Albrekta po drodze do sklepu:

— Nie wytrzymam, nie mogę mieszkać z nim w jednym domu!

Jedynym, który uciekł tej zimie, był stary Volf. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem wyszedł z dziesięcioma kronerami, które Sara dawała mu co miesiąc z jego renty, wrócił z butelką i wszedł na trzecie z czterech pięter. Atak serca powalił go na podeście, gdzie znaleziono go w godzinę później. Ułożony w trumnie wyglądał na większego, niż był w rzeczywistości, a jego twarz, skupiona i niewidząca, była mroczniejszą wersją twarzy jego syna. Na pogrzeb, przez który Chekeyowie się zadłużyli, przyszli wszyscy starzy przyjaciele i sąsiedzi. Byli tam i państwo Benat, ale Sanzo nie słyszał głosu Lishy.

Sanzo przeprowadził się z holu do pozbawionej okien sypialni ojca i wszystko zaczęło się toczyć jak dawniej. Sarze było trochę lżej.

W styczniu jeden z młodzieńców Ewy, farbiarz w fabryce Fermana, być może znie-

chęcony konkurencją, zaczął się rozglądać i zobaczył Lishę. Jeśli ona też go zobaczyła, to nie odczuła ani strachu, ani zainteresowania; kiedy jednak zaprosił ją na spacer, nie odmówiła. Była spokojna i uległa jak zawsze, w niczym się nie zmieniła, tyle że bardziej zaprzyjaźniła się z matką. Rozmawiały jak równe sobie i pracowały jak partnerki. Matka z pewnością widywała owego młodzieńca, ale nic na jego temat nie mówiła ani Lisha nie wspominała o nim, poza rzadkimi stwierdzeniami, że po kolacji wychodzi z Givanem.

Pewnej marcowej nocy wiatr wiejący z zamarzniętych wschodnich równin ucichł, a z południa przyszedł wilgotny powiew. Deszcz zrobił się ciepły i gęsty. Rano między kamieniami brukowymi na podwórku pojawiły się pierwsze chwasty, woda przelewała się z hałasem w miejskich fontannach, głosy na ulicach niosły się dalej, a na niebo wypłynęły błękitnawe chmurki. Tego wieczoru Lisha i Givan wybrali się na jedną z tras rakavskich kochanków: wyszli przez Wschodnią Bramę i poszli do ruin wieży strażniczej, gdzie na zimnie i w blasku gwiazd Givan poprosił, by za niego wyszła. Spojrzała na wielką ciemność Wzgórza i równin, wróciła spojrzeniem do świateł miasta na wpół ukrytego za zniszczonym murem. Nie odpowiadała przez dłuższy czas.

— Nie mogę — rzekła.

— Dlaczego?

Potrząsnęła głową.

— Byłaś w kimś zakochana, on odszedł albo już się z kimś ożenił, albo coś poszło nie tak. Poprosiłem cię, wiedząc o tym.

— Dlaczego? — zapytała z bólem w głosie.

Odpowiedział jej bez ogródek:

— Bo to już się skończyło i nadszedł mój czas.

Była wstrząśnięta i wyczuwając to, Givan powiedział z nagłą pokorą:

— Przemyśl to.

— Dobrze, ale...

— Po prostu się zastanów. To właściwa droga, Lisho. Jestem dla ciebie stworzony. I nie jestem z tych, co zmieniają zdanie.

Uśmiechnęła się, bo pomyślała o Evie, ale on mówił prawdę. Wiedziała, że Givan to nieśmiały, zdecydowany, stały człowiek. A jeśli się zgodzę? — pomyślała i od razu poczuła, że spływa na nią jego pokora, poczuła się chroniona, pewna, bezpieczna.

— Nie powinieneś mnie teraz o to prosić — powiedziała z nagłym gniewem, tak że kiedy żegnali się pod jej drzwiami, poprosił ją tylko jeszcze raz, żeby się zastanowiła. Powiedziała, że to zrobi. Dotrzymała słowa.

Upłynęło już tyle czasu, pięć miesięcy od owego dnia w zdziczałym ogrodzie na Wzgórzu, a ona wciąż budziła się nocą ze snu o tym, że sztywna, sucha trawa uwierają w plecy, a ona nie może się poruszyć ani nic powiedzieć czy cokolwiek zobaczyć. Kie-

dy budziła się z tego snu, widziała niebo i padający z niego wprost na nią deszcz. To nad tym musiała się zastanowić, tylko nad tym.

Teraz, kiedy było więcej słońca, częściej widywała Sanzo. Zawsze się do niego odzywała. Czasami siedział na podwórku przy pompie, jak miał w zwyczaju jego ojciec. Kiedy przychodziła po wodę do prania i prasowania, witała się z nim:

— Dzień dobry, Sanzo.

— Czy to ty, Lisho?

Skórę miał bladą i przywiedłą, a dłonie wyglądały na zbyt duże w porównaniu z nadgarstkami.

Pewnego dnia na początku kwietnia prasowała sama w suterenie, którą jej matka wynajmowała na pralnię. Światło wpadało przez małe okienka umieszczone wysoko pod sufitem na poziomie ziemi; tuż za zakurzonymi szybkami chwiała się w słonecznym blasku rzadka trawa i chwasty. Na koszulę, którą prasowała Lisha, padł promień słońca; uniosła się z niej para, mocno pachnąca ozonem. Lisha zaczęła śpiewać:

Dwóch żebraków na ulicy się spotkało:

Daj mi chleba, bracie, bo mam za mało!

Idź do piekarza, poproś go o klucz,

Jak ci go nie da, powiedz, że czekam już.

Musiała pójść po wodę do spryskiwania prasowanych rzeczy. Po mroku panującym w suterenie słoneczny blask wypełnił jej oczy złotymi oraz czarnymi spiralami i plamami. Wciąż nucąc, podeszła do pompy.

Sanzo właśnie wyszedł z domu.

— Dzień dobry, Lisho.

— Dzień dobry, Sanzo.

Usiadł na ławce, wyciągnął długie nogi, unosząc twarz ku słońcu. Lisha stała w milczeniu obok pompy i patrzyła na niego. Patrzyła z napięciem, taksujące.

Jesteś tu jeszcze?

Tak.

— Już cię nie widuję.

Przyjęła to w milczeniu. Po chwili podeszła i usiadła obok niego, ostrożnie postawiwszy dzbanek z wodą pod ławką.

— Lepiej się już czujesz?

— Chyba tak.

— To dzięki słońcu; zupełnie, jakbyśmy wszyscy mogli znów wyjść i odżyć. Przyszła prawdziwa wiosna. Powąchaj. — Zerwała biały kwiatek, który pojawił się między kamieniami brukowymi przy pompie i włożyła go Sanzo do ręki. — Jest za mały, żeby wy-

czuć go dotykiem. Powąchaj go. Pachnie plackami.

Upuścił kwiatek i pochylił głowę, jakby na niego patrzył.

— Co ostatnio porabiasz? Poza praniem.

— No, nie wiem. W przyszłym miesiącu Eva wychodzi za męża. Za Ventse'a Estaya. Przeprowadzą się do Brailavy na północy. On jest murarzem i znajdzie tam dużo pracy.

— A co u ciebie?

— O, ja zostaję tutaj — odparła, a potem czując w jego tonie obojętną, zimną protekcyjność, dodała: — Jestem zaręczona.

— Z kim?

— Z Givanem Fenne.

— Co on robi?

Jest farbiarzem u Fermana i sekretarzem sekcji związku.

Sanzo wstał, przeszedł przez podwórko do sklepionego przejścia, ale zatrzymał się i z pewnym wahaniem wrócił. Stanął w odległości paru metrów od niej z rękoma zwiśającymi po bokach; nie był całkiem zwrócony do niej.

— To dobrze, gratuluję! — powiedział, odwracając się, by odejść.

— Sanzo!

Stanął i czekał, co będzie dalej.

— Zostań jeszcze chwilę.

— Po co?

— Bo cię o to proszę.

Stał nieruchomo.

— Chciałam ci powiedzieć... — Urwała jednak.

Podszedł bliżej, namacał ławkę i usiadł.

— Posłuchaj, Lisho — mówił chłodniejszym tonem — to niczego nie zmienia.

— Owszem, i nawet dużo. Chciałam ci powiedzieć, że nie jestem zaręczona. Poprosił mnie, ale się nie zgodziłam.

Słuchał obojętnie.

— Dlaczego więc powiedziałaś, że się zaręczyłaś?

— Nie wiem. Żeby cię rozzłościć.

— I co?

— I to — rzekła Lisha. — I to, że chciałam ci powiedzieć, że może jesteś ślepy, ale to nie usprawiedliwia bycia głuchoniemym i głupim. Wiem, że chorowałeś, i bardzo mi przykro z tego powodu, ale gdyby ode mnie zależało, to chorowałbyś jeszcze bardziej.

Sanzo siedział bez ruchu.

— A, co mi tam — powiedział.

Lisha milczała i po dłuższej chwili Sanzo odwrócił się, wyciągnął rękę, lecz zastygł

w pół gestu i rzekł:

— Lisha?

— Jestem tu.

— Myślałem, że odeszłaś.

— Jeszcze nie skończyłam.

— No to mów. Nikt ci nie broni.

— Ty mi bronisz.

Chwila milczenia.

— Posłuchaj, Lisho, ja muszę. Nie rozumiesz tego?

— Nie. Pozwól mi wyjaśnić...

— Nie. Niczego nie wyjaśniaj. Nie jestem z kamienia.

Przez chwilę siedzieli obok siebie w cieple.

— Lepiej wyjdź za tego chłopaka.

— Nie mogę.

— Nie bądź głupia.

— Nie mogę sobie z tym poradzić. Z tobą.

Odwrócił twarz i powiedział pełnym napięcia, zduszonym głosem:

— Chciałbym przeprosić... — Wykonał nieokreślony ruch ręką.

— Nie! Nie rób tego.

Znów zapadła cisza. Sanzo wyprostował się i pełnym bólu gestem potarł dłońmi oczy i czoło.

— Posłuchaj, Lisho, to na nic. Naprawdę. Co powiedzą twoi rodzice, ale to nie jest najważniejsze, chodzi również o całą resztę, o mieszkanie z moją ciotką i wujem, nie mogę przecież... Mężczyzna musi mieć coś do zaoferowania.

— Nie bądź pokorny.

— Nie jestem i nigdy nie byłem. Wiem, kim jestem, i ta sprawa niczego nie zmienia. Nie zmienia, jeśli chodzi o mnie, ale nie o kogoś innego.

— Chcę za ciebie wyjść — rzekła Lisha. — Jeżeli chcesz się ze mną ożenić, zrób to, a jeśli nie, to nie. Nie mogę tego zrobić w pojedynkę. Pamiętaj jednak, że mnie to też dotyczy!

— Właśnie o tobie myślę.

— Nieprawda. Myślisz o sobie, o tym, że jesteś niewidomy i o całej reszcie. Pozwól, że ja o tym pomyślę, i nie wyobrażaj sobie, że tego nie robię.

Ja myślałem o tobie. Całą zimę. Cały czas. To... to nie pasuje, Lisho.

— Tutaj rzeczywiście nie.

— To gdzie pasuje? Gdzie my pasujemy? Do tego domu na Wzgórzu? Możemy go podzielić, po dwadzieścia pokoi na głowę...

— Sanzo, muszę skończyć prasowanie, ma być gotowe w południe. Jeśli cokolwiek

postanowimy, znajdziemy radę na wszystko inne. Chciałabym wyjechać z Rakavy.

— Czy... — zawahał się. — Czy przyjdiesz po południu?

— Dobrze.

Odeszła, wymachując dzbankiem z wodą. Kiedy wróciła do sutereny, stanęła obok deski do prasowania i wybuchnęła płaczem. Nie płakała od kilku miesięcy; sądziła, że jest za dorosła na łzy i że już nie będzie płakać. Płakała, nie wiedząc dlaczego, a łzy płynęły jej z oczu niczym rzeka uwolniona z lodowego uścisku zimy. Spływały po policzkach, a ona nie czuła ani radości, ani żalu, i płakała jeszcze długo po tym, jak wróciła do prasowania.

O czwartej zaczęła się wybierać do mieszkania Chekeyów, ale Sanzo czekał na nią na podwórzu. Poszli na Wzgórze do dzwiczalego ogrodu, na trawnik leżący powyżej zagajnika. Młoda trawa była rzadka i miękka. W zielonej ciemności zagajnika płonęły pierwsze żółtawobiałe świece kasztanowców. W ciepłym, zamglonym powietrzu nad miastem krążyło kilka gołębi.

— Wokół domu rośnie pełno róż. Jak myślisz, czy mogę bez pytania zerwać kilka z nich?

— A kogo miałabyś pytać?

— Dobrze, zaraz wracam.

Wróciła z bukietem małych, czerwonych, kolczastych róż. Sanzo położył się na wznak z rękoma pod głową. Usiadła przy nim. Mocny, słodko pachnący kwietniowy wiatr owiewał ich poziomymi podmuchami, jakby jego źródłem było nisko już wiszące słońce.

— No cóż — odezwał się — do niczego nie doszliśmy, prawda? — Nie wiem. Chyba nie.

— Kiedy się taka zrobiłaś? — Jaka?

— No, wiesz. Kiedyś byłaś inna. — Gdy był odprężony, w jego głosie brzmiała ciepła, głęboka nuta. — Nigdy nic nie mówiłaś... Wiesz co?

— Co?

— Nie skończyliśmy czytać tej książki.

Ziewnął i obrócił się na bok, w jej stronę. Położyła dłoń na jego ręce.

— Kiedy byłaś dzieckiem, cały czas się uśmiechałaś. Robisz to jeszcze?

— Od kiedy cię poznałam, już nie — odparła z uśmiechem.

Nie zdejmowała ręki z jego dłoni.

— Posłuchaj. Mam rentę inwalidzką, dwieście pięćdziesiąt. Możemy za to wyjechać z Rakavy. Chcesz tego?

— Tak.

Jest Krasnoy. Bezrobocie podobno nie jest tam takie duże i na pewno są tanie mieszkania, to większe miasto.

— Też o tym myślałam. Musi tam być więcej pracy, na pewno nie mają tam tylko jednego przemysłu, jak tu. Mogłabym coś dostać.

— Mógłbym trochę zarabiać wyplataniem mebli, gdyby znalazł się ktoś z pieniędzmi, kto potrzebowałby takich usług. Potrafię też naprawiać, robiłem to zeszłej jesieni. — Wydawało się, że słucha własnych słów; nagle roześmiał się tym swoim dziwnym śmiechem, który zmieniał mu twarz. — Posłuchaj, to na nic. Chcesz mnie zaprowadzić do Krasnoy za rękę? Nic z tego. Owszem, ty powinnaś wyjechać. Wyjdz za tego chłopaka i wyjedź. Rusz głową, Lisho.

Usiadł, oplótł kolana rękoma i odwrócił od niej twarz.

— Mówisz, jakbyśmy oboje byli żebrakami — powiedziała. — Jakbyśmy nie mieli sobie nic do ofiarowania i nie mieli dokąd pójść.

— Właśnie. O to chodzi. Nie mamy. Ja nie mam. Czy sądzisz, że wyjazd coś zmieni? Myślisz, że zmieni mnie? Myślisz, że jeżeli wyjdę za róg...? — Usiłował mówić z ironią, lecz udało mu się przesycić swoje słowa jedynie bólem. Lisha zacisnęła dłoń.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Nie mów, jak wszyscy inni. Wszyscy tak mówią. Nie możemy wyjechać z Rakavy, ugrzęźliśmy tu. Nie mogę wyjść za Sanzo Chekeya, bo jest niewidomy. Nie możemy robić niczego, co chcemy, bo nie mamy dość pieniędzy. To wszystko prawda, święta prawda. Ale nie cała prawda. Czy to prawda, że jeśli jest się żebrakiem, to nie wolno żebrać? A co innego się wtedy potrafi? Czy jeśli dostanie się kawałek chleba, to się go wyrzuci? Gdybyś czuł tak jak ja, Sanzo, to brałbyś to, co dostajesz, i nie wypuszczał tego z ręki!

— Lisho, o Boże, ja nie chcę wypuścić... Nic... — Wyciągnął do niej rękę, a ona przysunęła się do niego. Objęli się. Chciał coś powiedzieć, ale przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić słowa. — Wiesz, że cię pragnę, potrzebuję cię, nie istnieje dla mnie nic innego — wyjąkał, a ona zaprzeczała jego potrzebie słowami:

— Nie, nie, nie, nie — lecz przytulała się do niego z całej siły. I tak była o wiele słabsza od niego. Po chwili puścił ją i ujął za rękę, lekko głaszcząc.

— Posłuchaj — powiedział cicho — to prawda... wiesz o tym. Tylko że to taka mała szansa, Lisho.

— Nigdy nie dostaniemy większej.

— Ty mogłabyś.

— Ty jesteś moją małą szansą — rzekła z pewną dozą goryczy i głębokim przekonaniem.

Przez chwilę nie potrafił na to odpowiedzieć. W końcu zaczerpnął głęboko powietrza i bardzo cicho powiedział:

— To, co mówiłaś o żebraniu... Dwa lata temu w moim szpitalu był lekarz, który mówił: Czego się boisz, widzisz to samo, co martwi, a jednak ty żyjesz. Co masz do stracenia?

Ja wiem, co mam do stracenia — odparła Lisha. — I nie zamierzam do tego dopuścić.

— A ja wiem, co mogę zyskać. I to mnie przeraża. — Uniósł twarz, jakby patrzył nad miastem. Była to mocna twarz, twarda i skupiona. Jej widok wstrząsnął Lisha. Zamknęła oczy. Wiedziała, że to ona, jej wola, jej obecność go wyzwoliły, ale że musi pójść razem z nim do wolności, a nigdy tam jeszcze nie była. Szepnęła w ciemności:

— Dobrze, ja też się boję.

— No to się trzymaj — powiedział, obejmując ją ramieniem. — Jeżeli ty wytrzymasz, to ja też.

Siedzieli tam, niewiele rozmawiając. Słońce pogrążało się we mgle nad kwietniowymi równinami, a wieże i okna miasta żółciły się w zapadającym zmierzchu. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, zesli razem ze Wzgórza, opuszczając milczący ogród z jego pięknym, zrujnowanym domem o pustych oknach, i weszli w dym, hałas i tłok tysięcy ulic, na których już zapadła noc.

droga na wschód

Zło nie istnieje — rzekła pani Eray do pelargonii w skrzynce na oknie, a jej syn pomyślał szybko o gąsienicach, kompoście, rdzy zbożowej; lecz słońce świeciło na okrągłe, zielone liście, czerwone kwiaty i siwe włosy z olbrzymią, łagodną aprobatą i pani Eray uśmiechnęła się. Kiedy uniosła ręce, opadły rękawy jej bluzki. Kapłanka słońca przy oknie. — Dowodzi tego każdy kwiat. Cieszę się, że lubisz kwiaty, Malerze.

— Wolę drzewa — odparł, zmęczony i na krawędzi rozstroju nerwowego; słowo “krawędź” krążyło mu po głowie: na krawędzi, na ostrej krawędzi. Bardzo potrzebował wakacji.

— Nie mogłeś mi jednak przynieść na urodziny dębu! — Roześmiała się, odwracając, by spojrzeć na paździenikową wiązanekę złocistych astrów, które jej przyniósł, a on się uśmiechnął, zagłębiony w fotelu. — O, mój biedny, stary grzybie! — rzekła, podchodząc do niego. Będąc roslym, bladym, mocno zbudowanym mężczyzną, nie lubił tego przezwiska, bo czuł, że do niego pasuje. — Wyprostuj się, uśmiechnij! Taki śliczny dzień, moje urodziny, te kwiaty, słońce. Jak ludzie mogą nie chcieć cieszyć się tym światem? Dziękuję ci za kwiaty, kochanie. — Ucałowała go w czoło i wróciła energicznym krokiem do okna.

— Ihrenthal zniknął — odezwał się.

— Zniknął?

— Minał już tydzień. Przez cały tydzień nikt nawet nie wymówił jego imienia.

Był to atak frontalny, bo ona знаła Ihrenthala; siedział z nią przy stole — nieśmiały, porywczy mężczyzna o kręconych włosach — wziął sobie dokładkę zupy; nie potrafiła zdmuchnąć jego imienia, jakby nie miało znaczenia, wagi.

— Nie wiesz, co się z nim stało?

— Oczywiście, że wiem.

Powiodła palcem wskazującym po krawędzi okrągłego liścia pelargonii i powiedziała łagodnie, jakby przemawiała do rośliny:

— Niezupełnie.

— Nie wiem, czy został zastrzelony, czy po prostu aresztowany, jeśli o to ci chodzi. Cofnęła rękę i stała, patrząc na rozświetlone niebo.

— Nie wolno ci zgorzknieć, Malerze — rzekła. — Nie wiemy, co się z nim stało naprawdę, w głębszym sensie. Z nim, ze wszystkim, co przemija, znika, co jest dla nas stracone. Wiemy tak mało, tak bardzo mało. A jednak wystarczająco dużo! Słońce świeci, wszyscy kąpiemy się w jego promieniach, ono nie wydaje żadnych osądów, nie czuje goryczy. Tyle wiemy. To jest to wielkie przesłanie. Życie to dar, taki piękny dar! Nie ma w nim miejsca na gorycz. Żadnego miejsca. — Mówiła do nieba, nie zauważyła więc, że wstał.

— Jest miejsce na wszystko. Za dużo miejsca. Ihrenthal był moim przyjacielem. Czy jego śmierć to piękny dar? — Mówił jednak szybko, niewyraźnie i kobieta być może go nie słyszała. Usiadł z powrotem w fotelu, a ona poszła przygotować kolację i nakryć do stołu. Chciał zapytać: „A co by było, gdyby to mnie aresztowali zamiast Ihrenthala?”, ale nic nie powiedział. Ona nie zrozumie, pomyślał, bo żyje wewnątrz, zawsze wygląda przez okno, ale nigdy nie otwiera drzwi, nigdy nie wychodzi na zewnątrz... Łzy, których nie mógł wylać nad Ihrenthalem, znów ścisnęły go za gardło, lecz jego myśli już umykały na wschód, ku drodze. Na drodze myśli o jego przyjacielem było z nim wyobrażenie bólu i pewność rozpacz: z nim, a nie zamknięte wewnątrz niego. Na drodze mógł iść razem ze smutkiem, tak jak szedł w deszczu.

Droga prowadziła z Krasnoy na wschód wśród pól uprawnych i wiosek ku miastu otoczonemu szarymi murami, nad którym wznosiła się niczym forteca wieża starego kościoła. Wioski i miasto były na mapach. Widział je raz z pociągu: Raskofiu, Ranne, Malenne, Sorg. Były to rzeczywiste miejscowości, leżące nie dalej niż pięćdziesiąt mil od miasta. W myślach jednak szedł do nich pieszo i było to dawno temu, może na początku zeszłego wieku, bo na drodze nie było samochodów ani nawet przejazdów kolejowych. Szedł w deszczu lub słońcu wiejską drogą do Sorg, gdzie odpoczywał wieczorem. Udawał się do gospody, leżącej przy ulicy, która prowadziła od przysadzistej, sześciokątnej wieży kościoła. Czekał na tę chwilę z przyjemnością. Nigdy nie dotarł do gospody, chociaż wszedł do miasta raz czy dwa i stał pod sklepionym, rzeźbionym w kamieniu wejściem do kościoła. Tymczasem szedł bez względu na pogodę, z bagażem o różnej wadze na plecach. Tego jasnego jesiennej wieczora szedł za długo, aż do nadejścia ciemności; zrobiło się zimno, a nad ciemnymi, pustymi polami rozłożyła się mgła. Nie miał pojęcia, jak jeszcze daleko jest do Sorg, ale był głodny i bardzo zmęczony. Usiadł na nasypie pod kępą drzew i przez chwilę odpoczywał w ciszy zapadającej nocy. Zsunął rzemienie plecaka z ramion i siedział cicho; zmarznięty, zrozpaczony i zaniepokojony, a mimo to spokojny, wpatrzony w mgłę i mrok.

— Kolacja gotowa! — zawołała wesoło jego matka.

Wstał od razu i usiadł z nią do stołu.

Następnego dnia spotkał Cyganke. Tramwaj zawiózł go na wschodni brzeg rzeki, gdzie stał, czekając, aż będzie mógł przejść na drugą stronę torów. Wiatr wzbijał na długiej ulicy kłęby kurzu wśród długich cieni zmierzchu. Stojąc obok niego, powiedziała:

— Może mi pan powiedzieć, jak dojść na ulicę Geyle?

Jej głos nie był miejski. Czarne włosy, sztywne i proste, opadały na bezbarwną twarz, na skórę obciągającą delikatne kości.

— Idę w tym kierunku — powiedział po chwili Maler i ruszył na drugą stronę ulicy, nie patrząc, czy kobieta idzie za nim. Szła.

— Nigdy przedtem nie byłam w Krasnoy — rzekła.

Pochodziła z równin obcego kraju, omiotanych wiatrem równin otoczonych odległymi szczytami zlewającymi się z nocą, podczas gdy bliżej, wśród dzikiej trawy, dym z ogniska zmieniał kierunek i zawracał nad płomieniami niesiony wiatrem, a jakaś kobieta śpiewała w dziwnym języku. Muzyka ta rozpływała się w błękitnym, zastygłym zmierzchu.

— A ja nigdy właściwie z niego nie wyjeżdżałem — odparł, spojrzawszy na nią. Była mniej więcej w jego wieku, miała jaskrawą i nieporządną sukienkę, szła wyprostowana, ze spokojną twarzą. — Jaki numer? — zapytał, bo dotarli na ulicę Geyle, a Cyganke odpowiedziała:

— Trzydzieści trzy.

To był numer jego domu. Szli obok siebie w świetle lamp ulicznych, on i ta delikatna obca wędrowczyni, nie znający się nawzajem, idący razem do domu.

Wyjmując klucz, powiedział:

— Mieszkam w tym budynku — choć naprawdę niewiele to wyjaśniało.

— Lepiej zadzwonię — stwierdziła. — Mieszka tu moja znajoma, nie spodziewa się mnie. — i poszukała jej nazwiska na skrzynkach pocztowych. Nie mógł więc jej wpuścić. Odwrócił się jednak od otwartych drzwi i zapytał:

— Przepraszam, skąd pani pochodzi?

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem zaskoczenia i odparła:

— Z Sorg.

Jej matka była w kuchni. Pelargonie płonęła czerwienią na oknie, astry już zaczynały więdnąć. Na krawędzi, na krawędzi. Siedział w fotelu z zamkniętymi oczyma, nasłuchując kroków nad głową lub za ścianą, lekkich kroków, które przybyły do niego nie z obcych równin z Cyganami, lecz po znajomej drodze o zmierzchu, po drodze z Sorg prowadzącej do tego miasta, domu, pokoju. Oczywiście droga prowadziła tak na zachód, jak na wschód, tyle że nigdy o tym nie myślał. Przyszedł tak cicho, że matka go nie usłyszała i zobaczywszy go w fotelu, podskoczyła i zawołała niemal z paniką w głosie:

— Dlaczego nic nie powiedziałaś, Malerze!

Następnie zapaliła lampy i pogłaskała więdnące astry, trajkocząc przez cały czas.

Nazajutrz spotkał Provina. Nie odezwał się jeszcze do niego ani słowem, nie powiedział nawet dzień dobry, chociaż pracowali obok siebie w biurze (Projekty i Planowanie, Krasnoyskie Biuro Urzędu Stanu Architektury Cywilnej) przy tych samych planach (Domy Komunalne, Projekt Trasfiuve nr 2). Kiedy o piątej wyszedł z budynku, młodzieniec poszedł za nim.

— Chciałbym z panem porozmawiać, panie Eray.

— O czym?

— O czymkolwiek — rzekł swobodnie młody człowiek, świadom swego uroku, a jednak śmiertelnie poważny. Był przystojny i szarmancki. Pokonany, wykurzony ze swej kryjówki milczenia, Maler w końcu powiedział:

— Przykro mi, Provinie. To nie twoja wina. To przez Ihrenthala, który pracował na twoim stanowisku. To nie ma nic wspólnego z tobą. To nierozsądne. Przepraszam. — Odwrócił się.

Provin powiedział żarliwie:

— Nie może pan tak marnować się w nienawiści!

Maler zatrzymał się.

— Dobrze. Potem będę mówił panu dzień dobry. W porządku. Co za różnica? Jakie to ma dla pana znaczenie? Jakie ma znaczenie, czy ktokolwiek z nas rozmawia, czy nie? Co tu można powiedzieć?

— To ma znaczenie. Teraz nic już nam nie zostało oprócz nas samych.

Stali na ulicy naprzeciw siebie w delikatnym, jesiennym deszczu. Z obu stron mijali ich ludzie i po chwili Maler powiedział:

— Nie, nie zostało nam nawet to, Provinie — i ruszył ulicą Palazay do swojego przystanku tramwajowego. A po długiej jeździe przez centrum, po przejechaniu Starego Mostu i Trasfiuve i po przejściu pieszo w deszczu do ulicy Geyle, spotkał w drzwiach swego domu tę kobietę z Sorg. Zapytała go:

— Czy może mnie pan wpuścić?

Skinął głową i otworzył drzwi.

— Moja znajoma zapomniała dać mi klucz, a musiała wyjść. Chodziłam po okolicy, pomyślałam sobie, że może będzie pan wracał do domu o tej samej porze, co wczoraj...

— Była gotowa roześmiać się razem z nim ze swojego braku przezorności, lecz on nie potrafił się śmiać ani jej odpowiedzieć. Źle zrobił, odtrącając Provina, bardzo źle. Poszedł na współpracę z wrogiem. Teraz musi zapłacić cenę swego milczenia, to znaczy dalej milczeć, milczeć, kiedy chciałby coś powiedzieć: oto knebel. Wszedł po schodach w milczeniu za kobietą. Pochodziła z jego domu, z miasta, w którym nigdy nie był.

— Do widzenia — powiedziała na podeście schodów. Już się nie uśmiechała, a spokojną twarz odwróciła od niego.

— Do widzenia — odrzekł.

Siedział w fotelu i odchylił głowę w tył; matka była w drugim pokoju. Ogarnęła go fala znużenia. Był zbyt zmęczony, by wędrować drogą. W głowie wirowały mu i przesypywały się błahostki z całego dnia, z ulicy, z biura; niemal zasnął. Wtedy przez chwilę widział drogę i po raz pierwszy zobaczył idących nią ludzi — innych ludzi. Nie siebie samego, nie Ihrenthala, który nie żył, nie kogoś znajomego, lecz samych obcych, kilka osób o spokojnych twarzach. Szli na zachód, w jego kierunku, i mijali go. Stał w miejscu. Patrzyli na niego, lecz nic nie mówili. Jego matka odezwała się ostro:

— Malerze!

Nie poruszył się, ale ona nie chciała go minąć.

— Jesteś chory, Malerze?

Nie wierzyła w choroby, chociaż jego ojciec zmarł przed kilku laty na raka; uważała, że przyczyna leżała w jego umyśle. Sama nigdy nie chorowała, miała dwa poronienia, a poród był bezbolesny, nawet radosny. Nie istnieje ból, a jedynie strach przed nim, który można odrzucić. Wiedziała jednak, że Maler, podobnie jak jego ojciec, nie wyzbył się strachu.

— Kochanie — mruknęła — nie możesz się tak przemęczać.

— Nic mi nie jest. — Dobrze, dobrze, wszystko jest w porządku.

— Chodzi o Ihrenthala?

Wypowiedziała to imię, wspomniała o zmarłym, uznała śmierć, wpuściła ją do pokoju. Patrzył na nią w oszołomieniu, przepełniony wdzięcznością. Przywróciła mu moc mowy.

— Tak — wyjąkał — tak, o niego. Nie daję sobie rady...

— Nie możesz się tak tym zadręczać, kochanie. — Pogłaskała go po rękę. Siedział nieruchomo, łaknąc pociechy. — To nie była twoja wina — rzekła, a do jej głosu wróciła nuta miękkiej radości. — Nic nie mogłeś zrobić wtedy i nic nie możesz zrobić teraz. Był tym, kim był, może nawet tego szukał, był pełen buntu i niepokoju. Poszedł własną drogą. Musisz zostać z tym, co rzeczywiste, co zostało, Malerze. Jego los poprowadził go inną drogą niż twoja. Twoja prowadzi do domu. Kiedy odwracasz się ode mnie, kiedy nie chcesz ze mną rozmawiać, kochanie, to odrzucasz nie tylko mnie, ale i swoje prawdziwe ja. Przecież mamy tylko siebie.

Milczał, gorzko rozczarowany, przygnieciony poczuciem winy względem niej, która zależała całkowicie od niego, oraz Ihrenthala i Provina, od których usiłował uciec, idąc nierzeczywistą drogą samotnie i w milczeniu. Kiedy jednak uniosła rękę i rzekła czy też zaśpiewała:

— Nic nie jest złe, nic się nie marnuje, jeśli tylko patrzymy na świat bez strachu!
— wtedy wyrwał się i wstał.

— A więc jedynym wyjściem jest oślepnąć — powiedział i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wrócił ze śpiewem na ustach, pijany, o trzeciej nad ranem. Obudził się za późno, by się ogolić, i spóźnił się do pracy; po przerwie obiadowej nie wrócił do biura. Siedział dalej w ciemnym, zadymionym barze za pałacem Roukh, gdzie jadał z Ihrenthalem rybne obiady zapijane piwem, i kiedy o szóstej pojawił się tam Provin, znów był pijany.

— Dobry wieczór, Prowinie! Postawię ci jednego.

— Dziękuję. Givaney powiedział, że mogę pana tu znaleźć. Pili w milczeniu, jeden obok drugiego, ściśnięci w tłoku panującym przy kontuarze. Maler wyprostował się i powiedział:

— Zło nie istnieje, Prowinie.

— Nie? — zapytał Provin z uśmiechem, podnosząc na niego wzrok.

— Nie. Zupełnie. Ludzie wpadają w kłopoty dlatego, że mówią, ale kiedy zostają za to zastrzeleni, to z własnej winy, więc nie ma w tym nic złego. Albo jeśli zostają wsadzeni do więzienia, to tym lepiej, dzięki temu nie mogą już więcej mówić. Jeśli nikt nic nie mówi, to nikt nie kłamie, i, rozumiesz, nie istnieje żadne realne zło, tylko kłamstwa. Zło to kłamstwo. Trzeba milczeć, i wtedy świat jest dobry. Naprawdę dobry. Policjanci to dobrzy ludzie z żonami i rodzinami, agenci to dobrzy patrioci, żołnierze są dobrzy, rząd jest dobry, jesteśmy dobrymi obywatelami wspaniałego państwa, tylko że nie wolno nam mówić. Nie wolno nam ze sobą rozmawiać, żebyśmy nie skłamali. To wszystko by zepsuło. Z nikim nie rozmawiać. Szczególnie z kobietą. Masz matkę, Prowinie? Ja nie. Urodziłem się z dziewicy, bezboleśnie. Ból to kłamstwo, on nie istnieje; widzisz? — Przy tych słowach uderzył grzbietem dłoni w krawędź kontuaru. Rozległ się trzask, jakby pękł patyk. — Aaa!

— zawołał, a Provin też zbladł. Stojący wokół nich mężczyźni o mrocznych twarzach i w tandetnych, szarych ubraniach, spojrzeli na niego; pulsujący pomruk ich rozmów nie przycichł. Kalendarz nad kontuarem wskazywał październik roku 1956. Maler na chwilę przycisnął dłoń do boku pod marynarką, a potem w milczeniu, lewą ręką, uniósł do ust kufel z resztką piwa.

— W Budapeszcie, w środę. — Mężczyzna siedzący obok niego powtórzył cicho, zwracając się do swego sąsiada w kombinezonie tynkarza: — W środę.

— Czy to wszystko jest prawdą?

Provin skinął głową.

— To prawda.

— Pochodzisz z Sorg, Prowinie?

— Nie, z Raskofm, o kilka mil od Sorg. Wróci pan do domu ze mną, panie Eray?

— Za bardzo się upiłem.

— Mamy z żoną cały pokój dla siebie. Chciałem z panem porozmawiać. O tej sprawie. — Ruchem głowy wskazał mężczyznę w kombinezonie. — Jest szansa...

— Za późno — odparł Maler. — Za bardzo się upiłem. Posłuchaj, znasz tę drogę mię-

dzy Raskofm i Sorg?

Provin spojrział w dół.

— Pan też stamtąd pochodzi?

— Nie. Urodziłem się tutaj, w Krasnoy. Jestem mieszczuchem. Nigdy nie odwiedziłem Sorg. Będąc w wojsku, kiedyś z pociągu jadącego na wschód widziałem kościelną wieżę. Teraz chciałbym ją zobaczyć z bliska. Kiedy się tu zaczną zamieszki? — zapytał swobodnym tonem, kiedy wychodzili z baru, ale młodzieniec nie odpowiedział.

Maler wrócił piechotą przez rzekę na ulicę Ceyle — był to bardzo długi spacer. Kiedy dotarł do domu, był trzeźwy. Jego matka sprawiała wrażenie twardej i skurczonej, jak wyschnięty orzech. On był jej kłamstwem, a kłamstwa trzeba się trzymać, zwiędnąć przy nim, ale się go trzymać. Jej świat bez zła, bez nadziei, jej świat bez rewolucji zależał wyłącznie od niego.

Kiedy jadł późną kolację na zimno, zapytała go o plotki, które usłyszała na targu.

— Tak — odparł — to prawda. A Zachód im pomoże, przyśle samoloty z bronią, może wojskiem. Uda im się. — Potem roześmiał się, a ona nie śmiała go zapytać, z czego. Następnego dnia jak zwykle poszedł do pracy. Jednak w sobotę rano u jego drzwi stanęła ta kobieta z Sorg.

— Czy mógłby pan przeprowadzić mnie na drugą stronę rzeki?

Nie chcąc obudzić matki, zapytał cicho, o co jej chodzi. Wyjaśniła, że mosty są pilnowane i że straż nie chce przepuścić jej na drugą stronę, bo nie ma karty mieszkanki Krasnoy, a musi dostać się na stację kolejową, żeby wrócić do rodziny w Sorg. I tak jest już spóźniona jeden dzień, i musi wracać.

Jeśli idzie pan do pracy, a ja poszłabym z panem, to mogliby pana przepuścić...

— Moje biuro jest zamknięte — powiedział.

Milczała.

— Nie wiem, moglibyśmy spróbować — rzekł, patrząc na nią, czując się w szlafroku krępy i ciężki. — Czy tramwaje jeżdżą?

— Nie, stanęły, ludzie mówią, że wszystko stoi. Może nawet pociągi. Podobno coś się dzieje na zachodnim brzegu, w Dzielnicy Rzeczej.

Poszli razem długimi ulicami w kierunku rzeki w świetle ranka pod szarym niebem.

— Prawdopodobnie mnie zatrzymają — odezwał się. — Jestem tylko architektem. Jeśli tak się stanie, to może pani próbować jakoś dotrzeć do Grasse. Zatrzymują się tam pociągi jadące na wschód, to podmiejska stacja. Leży zaledwie pięć czy sześć mil od Krasnoy.

Skinęła głową. Miała na sobie tę samą jaskrawą, nieporządną sukienkę; było zimno i szli szybko. Kiedy zobaczyli Stary Most, zawahali się. Po jego drugiej stronie między pięknymi kamiennymi balustradami stali nie tylko znudzeni żołnierze, których się spo-

dziewali, ale i coś dużego i czarnego, zgarbionego i pochylonego, z karabinem maszynowym sterującym ku zachodowi. Któryś z żołnierzy machnął na jego dowody tożsamości i kazał wracać do domu. Wrócił razem z kobietą długimi ulicami, po których nie jeździły ani tramwaje, ani samochody i na których widzieli jedynie nielicznych przechodniów.

— Jeśli chce pani iść do Grasse, to z panią pójdę.

Sztywne czarne włosy uderzały ją w policzek. Uśmiechnęła się, oszołomiona, zagubiona kobieta z prowincji.

— Jest pan uprzejmy. Ale czy pociągi będą jeździć?

— Prawdopodobnie nie.

Bezbarwna, delikatna twarz pochyliła się w zamyśleniu; w obliczu nieprzewycięzonego kobieta uśmiechnęła się lekko.

— Ma pani w domu dzieci?

— Tak, dwoje. Przyjechałam tu, żeby dostać rekompensatę dla męża, miał wypadek w fabryce, stracił rękę...

— Do Sorg jest jakieś czterdzieści mil. Piechotą zaszłaby tam pani na jutro wieczór.

— Myślałam o tym, jednak przy tych zamieszkach będą pilnować dróg wylotowych z miasta, wszystkich dróg...

— Ale nie tych prowadzących na wschód.

— Trochę się boję — powiedziała cicho po chwili; żadna Cyganka z dzikich krain, a jedynie wieśniaczka na drogach zniszczenia, obawiająca się samotnej podróży. Nie musi iść sama. Mogliby razem wyjść z miasta na wschód, do Grasse, a potem iść między wzgórzami, od miasteczka do miasteczka na falującej równinie, mijając pola i samotne gospodarstwa, aż doszliby w jesiennym zmierzchu do szarych murów, do wysokiej wieży Sorg; teraz, z powodu zamieszek w Krasnoy, drogi będą zupełnie puste, żadnych autobusów i samochodów, jakby weszli w miniony wiek i dalej, w inne stulecia, z powrotem do swego dziedzictwa i jak najdalej od swojej śmierci.

— Powinna pani przeczekać tutaj — powiedział, kiedy skręcili w ulicę Geyle. W milczeniu podniosła wzrok na jego ciężką twarz. Na podeście schodów mruknęła:

— Dziękuję. To ładnie z pana strony, że poszedł pan ze mną.

— Chciałbym. — Odwrócił się do swoich drzwi.

Po południu szyby okien w mieszkaniu dzwoniły i dzwoniły. Jego matka siedziała z rękoma na podołku i patrzyła ponad kwiatami pelargonii na rozświetlone niebo pokryte tu i ówdzie chmurami.

— Wychodzę, mam — rzekł Maler, a ona się nie poruszyła; kiedy jednak włożył marynarkę, powiedziała:

— To niebezpieczne.

— Masz rację. To niebezpieczne.

— Zostań w domu, Malerze.

— Na dworze świeci słońce. Wszyscy kąpiemy się w jego promieniach, czyż nie? Przyda mi się dobra kąpiel.

Spojrzała na niego z przerażeniem.

— To nie dzieje się naprawdę, to szaleństwo, to całe wywoływanie zamieszania, nie wolno ci się do tego mieszać, ja się na to nie zgodzę. Nie uwierzę! — rzekła, unosząc do niego swe długie ręce, jakby rzucała czar.

Stał w miejscu — rosły, ciężki mężczyzna. Na ulicy na dole zabrzmiał przeciągły okrzyk, potem zapadła cisza, znów ktoś krzyknął; znowu zadzwoniły szyby w oknach. Opuściła ręce i zawołała:

— Ależ, Malerze, ja zostanę sama!

— No cóż, tak — odparł cicho, z namysłem, nie chcąc jej zranić — tak to już jest. — Wyszedł, zamknął za sobą drzwi, szedł po schodach na ulicę, z początku oślepi-ny przez jasne październikowe słońce, by przyłączyć się do armii nie uzbrojonych ludzi i pójść z nimi długimi ulicami prowadzącymi na zachód do rzeki — lecz nie przez nią.

bracia i siostry

Ranny kamieniarz leżał na wysokim szpitalnym łóżku. Nie odzyskał przytomności. Jego milczenie było wielkie i przytłaczające; leżał pod prześcieradłem opadającym sztywnymi fałdami, a twarz miał obojętną niczym kamień. Matka, jakby sprowokowana tym milczeniem i obojętnością, odezwała się głośno:

— Po co to zrobiłeś? Chcesz umrzeć przede mną? Spójrzcie tylko na niego, na mój cud, jastrzębia, rzekę, na mojego syna! — Jej smutek karmił się sam sobą. Kobieta z wdziękiem sprostowała sytuacji. Jego milczenie i jej okrzyk znaczyły to samo: pogodzenie się z tym, co jest nie do zniesienia. Młodszy syn stał i słuchał. Przygniatało go ich olbrzymie cierpienie. Jego brat, to ciało, nieprzytomne, nieświadome, złamane niczym kawałek kredy, przygniatało go swoim ciężarem, a on chciał uciec, by się uratować.

Mężczyzna, który się uratował, stał obok niego — drobny, zgarbiony człowiek w średnim wieku z wapiennym pyłem wżartym bielą w kostki dłoni. On też był przygnieciony.

— Ocalił mi życie — powiedział do Stefana z oczyma szeroko rozwartymi ze zdumienia. Mówił bezbarwnym, pozbawionym intonacji głosem głuchego.

— To do niego podobne — odparł Stefan. — To cały on.

Wyszedł ze szpitala na obiad. Wszyscy pytali go o brata.

— Będzie żył — odpowiadał Stefan. Poszedł do “Białego Lwa”. Wypił zbyt dużo.

— Kaleka? On? Kostant? Spadło mu kilka ton skały na twarz, no to co, nic mu nie będzie, on sam jest z kamienia. Nie urodził się, tylko został wydobyty z kamieniołomu. — Jak zwykle roześmieli się. — Wydobyty z kamieniołomu. Tak jak wy wszyscy.

Wyszedł z “Białego Lwa”, poszedł ulicą Ardure, minął cztery kwartały i wyszedł z miasta, ale szedł dalej prosto przed siebie na północny wschód, równoległe do torów kolejowych biegnących w odległości ćwierć mili. Świejące nad głową majowe słońce było małe i szarawe. Pod stopami miał pył i drobne chwasty. Karst, wapienna równina, drgała mu przed oczyma w falach upału niczym przezroczyste, wibrujące skrzydła much. Za tą drgającą szarawą mgiełką stały w oddali góry, małe i sztywne. Przez całe życie znał góry

na odległość, a dwa razy widział je z bliska, kiedy pojechał pociągiem do Brailavy, a potem z niej wracał. Wiedział, że są odziane w drzewa, jodły o korzeniach chwytających się brzegów bystrych strumieni i ciemnych gałęziach otulonych w mgiełkę, która rozsnuwała się po górskich dolinach o brzasku, kiedy pociąg przejeżdżał przez nie z turkotem kół, zostawiając za sobą welon dymu opadający na zielone zbocza. W górach rozświetlone słońcem strumienie płynęły głośno po kamieniach; tworzyły się wodospady. Tu, na karście, rzeki płynęły cicho pod ziemią, w ciemnych, kamiennych żyłach. Można było jechać konno cały dzień ze Sfaroy Kampe i jeszcze nie dotrzeć do gór, wciąż znajdować się w wapiennym pyłe; lecz pod koniec następnego dnia wjeżdżało się w cień drzew wśród strumieni. Stefan Fabbre usiadł na skraju prostej, nierzeczywistej drogi, którą szedł, i oparł głowę na rękach. Sam, o milę od miasta, ćwierć mili od torów kolejowych, sześćdziesiąt mil od gór, siedział i płakał nad bratem. Równina z pyłu i kamienia drżała i wykrzywiała się wokół niego w upale niczym twarz cierpiącego człowieka.

Z obiadu do biura Towarzystwa Chorin, gdzie pracował jako księgowy, wrócił spóźniony o godzinę. Do jego biurka podszedł szef.

— Fabbre, nie musisz zostawać po południu.

— Dlaczego?

— Może chcesz iść do szpitala...

— A co miałbym tam robić? Przecież nie mogę go zszyć, prawda?

— Jak chcesz — powiedział szef i odwrócił się.

— To nie na mnie spadła ta tona skał, prawda?

Nikt mu nie odpowiedział.

Kiedy Kostant Fabbre został ranny w lawinie skał w kamieniołomie, miał dwadzieścia sześć lat; jego brat miał ich dwadzieścia trzy, a ich siostra Rosana trzynaście. Zaczynała robić się wysoka i ponura, i zostawiała już swój ślad na ziemi. Teraz już nie biegała, a chodziła, niezgrabna i nieco zgarbiona, jakby z każdym krokiem niechętnie przekraczała jakiś próg. Mówiła głośno i głośno się śmiała. Przeciwstawiała się wszystkiemu, co ją dotykało: głosowi, wiatrowi, niezrozumiałemu słowu, wieczornej gwiazdzie. Nie nauczyła się jeszcze obojętności, znała jedynie krnąbrność. Zwykle kłócili się ze Stefanem, dotykając się tam, gdzie każde z nich było wrażliwe, niedokończone. Kiedy wieczorem wrócił do domu, matka nie przyszła jeszcze ze szpitala, a Rosana milczała w milczącym domu. Całe popołudnie myślała o bólu, o bólu i śmierci; krnąbrność ją zawiodła.

— Nie rób takiej ponurej miny — powiedział Stefan, kiedy nakładała mu na talerz fasolę. — Wyzdrowieje.

— Czy myślisz... ktoś mówił, że może zostać... no, wiesz...

— Kaleką? Nie, nic mu nie będzie.

Jak myślisz, dlaczego podbiegł, żeby odepchnąć tego człowieka?

— Nie pytaj, dlaczego, Ros. Po prostu to zrobił.

Był wzruszony, że zadała mu te pytania, i zaskoczony pewnością swoich odpowiedzi. Nie sądził, że je zna.

— To dziwne — powiedziała.

— Co takiego?

— Nie wiem. Kostant...

— Wybił zwornik z twojego sklepienia, tak? Łup! Wypada jeden kamień, sypią się wszystkie. — Nie zrozumiała go; nie poznawała miejsca, do którego dzisiaj przysła, miejsca, gdzie jak wszyscy inni przeżywała katastrofę bycia żywą. Stefan nie mógł być jej przewodnikiem. — Każde z nas leży pod własną stertą kamieni — ciągnął. — Przy najmniej wydobyli Kostanta spod jego sterty i nafaszerowali go morfiną... Pamiętasz, jak powiedziałaś, kiedy byłaś mała, że jak dorośniesz, to wyjdiesz za Kostanta?

Rosana skinęła głową.

— Jasne. A on się naprawdę rozzłościł.

— Bo mama się roześmiała.

— Siniałeś się ty i tata.

Żadne z nich nie jadło. Ciemny pokój zamknął się wokół lampy naftowej.

— Jak to było, kiedy umarł tata?

— Byłaś przy tym — odparł Stefan.

— Miałam dziewięć lat. Nie pamiętam tego. Tylko że było gorąco jak teraz i że o szkło obijało się dużo wielkich ciem. Czy to tamtej nocy umarł?

— Chyba tak.

Jak to było? — usiłowała zbadać nowy teren.

— Nie wiem. Po prostu umarł. To nie jest podobne do niczego innego.

Ich ojciec: zmarł na zapalenie płuc w wieku czterdziestu sześciu lat, po trzydziestu latach pracy w kamieniołomach. Stefan nie pamiętał jego śmierci o wiele lepiej od Rosany. Nie był on zwornikiem jego Inku.

— Mamy jakieś owoce?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Patrzyła w powietrze nad miejscem przy stole, na którym zwykle siedział starszy brat. Jej czoło i ciemne brwi były podobne do jego czoła i brwi, były jego czołem i brwiami; podobieństwo wśród rodziny jest tożsamością, brat i siostra byli tą samą osobą dzięki szczegółom tak znacznym lub tak drobnym jak zarys czoła i skroni; tak że przez chwilę po drugiej stronie stołu to Kostant w milczeniu zastanawiał się nad swoją nieobecnością.

— Są owoce?

— W spiżarni jest chyba kilka jabłek — odpowiedziała, przychodząc do siebie, ale tak cicho, że przez chwilę wydała się bratu kobietą, spokojną kobietą wypowiadającą własne myśli.

Powiedział z czułością do tej kobiety:

— Chodźmy do szpitala. Pewnie dali mu już spokój.

Do szpitala wrócił głuchy mężczyzna. Była z nim jego córka. Stefan wiedział, że pracuje u rzeźnika. Głuchy, który nie został wpuszczony na oddział, trzymał Stefana pół godziny w gorącej poczekalni z sosnową podłogą, pachnącej środkiem dezynfekującym i żywicą. Mówił, chodził, siadał, podskakiwał, dowodził czegoś głośnym, monotonnym głosem swej głuchoty.

— Nie wracam do kamieniołomu. O, nie. A gdybym tak zeszłego wieczoru powiedział, że nie idę jutro do kamieniołomu? To co by teraz było? Nie byłoby tutaj ani mnie, ani ciebie, ani jego, twojego brata. Wszyscy bylibyśmy w domu. Cali i zdrowi, rozumiesz? Nie wracam do kamieniołomu. Nie, na Boga. Idę do gospodarstwa, ot co. Wychowałem się tam, rozumiesz, na zachodzie na podgórzu, jest tam mój brat. Wrócę i będę pracował razem z nim. Nie wracam do kamieniołomu.

Córka siedziała na drewnianej ławce, wyprostowana i nieruchoma. Twarz miała wąską, a czarne włosy ściągnięte w kok.

— Nie jest ci gorąco? — zapytał ją Stefan, a ona odpowiedziała poważnie:

— Nie, wszystko w porządku. — Głos miała wyraźny. Była przyzwyczajona do mówienia do głuchego ojca. Kiedy Stefan nie powiedział nic więcej, z powrotem opuściła wzrok i siedziała z rękoma złożonymi na kolanach. Ojciec wciąż mówił. Stefan przeciągnął rękoma po spoconych włosach i spróbował mu przerwać.

— Świetnie, wygląda to na dobry plan, Sachiku. Nie marnuj reszty życia w kamieniołomie.

Głuchy nie przerywał mówienia.

— On cię nie słyszy.

— Nie mogłabyś zabrać go do domu?

— Nie udało mi się go stąd wyprowadzić nawet na kolację. Nie chce przestać mówić.

Mówiła znacznie cichszym głosem, być może zawstydzona, i Stefan zwrócił na to uwagę. Znów przecesał palcami spotniałe włosy i spojrzał na nią, myśląc z jakichś względów o dymie, wodospadach, górach.

— Idź do domu — usłyszał we własnym głosie to samo, co w jej słowach, miękkość i jasność. — Zaprowadzę go na godzinkę do “Białego Lwa”.

— To nie zobaczysz brata.

— Nie ucieknie. Idź do domu.

W “Białym Lwie” obaj dużo pili. Sachik dalej mówił o gospodarstwie na podgórzu, a Stefan o górach i roku spędzonym w szkole w mieście. Żaden z nich nie słyszał drugiego. Pijany Stefan odprowadził Sachika do jednego z szeregów ściśle przylegających do siebie domków, które Towarzystwo Chorin wybudowało w dziewięćdziesiątym piątym, kiedy powstał nowy kamieniołom. Domki stały na zachodnim skraju miasta, a za

nimi w świetle półksiężyca ciągnął się w nieskończoność karst — podziurawiony, poznaczony niczym dziobami po ospie, równy karst — odpowiadając na blask księżyca własną bladością zaczerpniętą z trzeciej ręki od słońca. Księżyc, sam z drugiej ręki, zniszczony na krawędziach, wisiał na niebie jak coś, co gospodyni zostawia na widoku, żeby nie zapomnieć, że musi to naprawić.

— Powiedz córce, że wszystko jest w porządku — rzekł Stefan, chwiejąc się przy drzwiach.

— Wszystko w porządku — powtórzył Sachik z entuzjazmem. — W porządku.

Stefan wrócił do domu pijany, tak więc dzień wypadku zlał się w jego pamięci z pozostałymi dniami roku, a jego fragmenty, które w niej pozostały — zamknięte oczy brata, patrząca na niego ciemna dziewczyna, księżyc nie patrzący na nic — nie powracały później do niego razem jako części jakiejś całości, lecz oddzielnie, w dużych odstępach.

Na karście nie ma źródeł; woda, którą się pije w Sfaroy Kampe, pochodzi ze studni głębinowych i jest czysta, bez smaku. Szorując nad zlewem żelazny rondel, Ekata Sachik wciąż miała w ustach dziwny smak źródlanej wody gospodarstwa. Szorowała rondel twardą szczotką, poświęcając na to więcej energii, niż było trzeba, pogrążona w pracy głębiej, niż sięgała granica świadomej przyjemności. Jedzenie się przypaliło i woda, którą do niego wlewała, ściekała z włosów szczotki brązem, lśniąc w świetle lampy. Żadne z nich nie wiedziało, jak gotować na wsi. Prędzej czy później nauczy się i będą mogli jeść normalnie. Lubiła domowe obowiązki, lubiła sprzątać, nachylać się z rozpaloną twarzą nad piekarnikiem kuchni na drewno, wołać innych na kolację; była to pełna życia, złożona praca, a nie nudne sprzedawanie u rzeźnika, wydawanie reszty, mówienie przez cały dzień “dzień dobry” i “do widzenia”. Wyjechała z rodziną z miasta, bo jej to obrzydło.

Rodzina mieszkająca w gospodarstwie przyjęła ich czwórkę bez uwag, jako klęskę naturalną, więcej gąb do wyżywienia, ale i więcej rąk do pracy. Było to duże, biedne gospodarstwo. Matka Ekaty, która niedomagała, snuła się za krzątającą się ciotką i kuzynką; mężczyźni — wuj, ojciec i brat Ekaty — wchodzili i wychodzili w zakurzonych buciorach; toczyły się długie dyskusje nad kupnem jeszcze jednej świni.

— Tu jest lepiej niż w mieście, w mieście nic nie ma — rzekła owdowiała kuzynka Ekaty; Ekata jej nie odpowiedziała. Nie miała na to żadnej odpowiedzi.

— Martin chyba tam wróci — powiedziała w końcu. — Nigdy nie chciał uprawiać ziemi.

I rzeczywiście, jej szesnastoletni brat wrócił w sierpniu do Sfaroy Kampe, do pracy w kamieniołomie.

Wynajął pokój w pensjonacie. Jego okno wychodziło na tylne podwórko Fabbrego

— ogrodzony kwadrat pyłu i chwastów ze smutną jodłą w jednym rogu. Gospodyni, wdowa po kamieniarzu, była ciemna i chodziła wyprostowana jak Ekata, siostra Martina. W jej towarzystwie chłopiec czuł się swobodnie, męsko. Kiedy wychodziła, rządy obejmowała jej córka i inni lokatorzy, czterej samotni mężczyźni po dwudziestce; śmieli się i klepali po plecach; urzędnik kolejowy z Brailavy wyciągał gitarę i grał piosenki z teatrów rewiowych, przewracając oczyma wyglądającymi jak rodzynki w słoninie. Córka, trzydziestoletnia i niezamężna, śmiała się i robiła dużo zamętu, koszula wychodziła jej zza paska na plecach, a ona jej nie poprawiała. Dlaczego robili tyle hałasu? Dlaczego śmieli się, klepali po plecach, grali na gitarze i śpiewali? Zaczynali wyśmiewać się z Martina. On wzruszał ramionami i burkliwie im odpowiadał. Raz odpowiedział im językiem używanym w kamieniołomie. Grający na gitarze odprowadził go na stronę i odbył z nim poważną rozmowę o właściwym zachowaniu przy damach. Martin słuchał z pochyloną, czerwoną twarzą. Był rośłym chłopcem o szerokich ramionach. Pomyślał, że może unieść tego urzędnika z Brailavy i skrócić mu kark. Nie zrobił tego. Nie miał prawa. Urzędnik i ci pozostali byli mężczyznami; rozumieli coś, czego on nie rozumiał — to, dlaczego robili tyle hałasu, przewracali oczyma, grali i śpiewali. Dopóki tego nie zrozumie, mogą mu mówić, jak się zwracać do dam. Poszedł do swego pokoju i wychylił się z okna, by zapalić papierosa. Dym zawisł w nieruchomym wieczornym powietrzu, które skupiało jodłę, dachy, świat pod wielką kopułą z twardego, granatowego kryształu. Na ogrodzone sąsiednie podwórko wyszła Rosana Fabbre, krótkim, mocnym ruchem ramion wylała wodę z rondla, a potem znieruchomiała, żeby popatrzeć w niebo, zniekształcona perspektywą jego spojrzenia z góry, z ciemną głową nad białą bluzką, uchwycona w granatowym kryształe. W promieniu sześćdziesięciu mil nic się nie poruszało z wyjątkiem ostatnich kropli wody w rondlu, które skapywały pojedynczo na ziemię, oraz dymu z papierosa Martina, odrywającego się smużkami od jego palców. Powoli cofnął rękę, żeby Rosana nie zauważyła tego dymu. Dziewczyna westchnęła, uderzyła rondlem we framugę drzwi, żeby strząsnąć ostatnie krople, które i tak już wyciekły, odwróciła się i weszła do środka; trzasnęły drzwi. Błękitne powietrze zamknęło się bez śladu w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Martin wymruczał pod adresem tego nieskazitelnego powietrza słowo, którego miał nie wypowiadać w obecności dam. Po chwili, jakby w odpowiedzi, wysoko na północnym wschodzie zaśniła czystym blaskiem gwiazda wieczorna.

Kostant Fabbre był w domu, teraz już cały dzień sam, bo o kulach potrafił przejść na drugą stronę pokoju. Nikt się nie zastanawiał, jak spędzał te rozległe, milczące dni, a już na pewno najmniej się zastanawiał on sam. Jako człowiek aktywny, najsilniejszy i najbardziej inteligentny robotnik w kamieniołomie, brygadzista od kiedy skończył dwadzieścia trzy lata, zupełnie nie miał wprawy w beczynności czy samotności. Zawsze cały czas wykorzystywał na pracę. Teraz czas musiał wykorzystać jego. Kostant obser-

wował go przy pracy nad sobą bez niepokoju czy zniecierpliwienia, robił to uważnie, jak czeladnik obserwujący mistrza. Z całych sił uczył się swego nowego zajęcia — bezczynności. Cisza, w której spędzał dni, przywarła teraz do niego tak, jak niegdyś przywierał do jego skóry wapienny pył.

Matka pracowała w sklepie bławatnym do szóstej; Stefan kończył pracę o piątej. Wieczorem bracia mieli jedną godzinę wyłącznie dla siebie. Stefan spędzał ją niegdyś na podwórku pod jodłą, głupio wzdychając i obserwując jaskółki pomykające za niewidocznymi owadami w ciemniejącym powietrzu, albo chodził do “Białego Lwa”. Teraz przychodził do domu zaraz po pracy i przynosił Kostantowi “Posłańca Brailawskiego”. Czytali go obaj, wymieniając się stronami. Stefan chciał mówić, ale tego nie robił. Na jego wargach leżał pył. Nic się nie działo. Ta sama godzina mijała w nieskończoność. Starszy brat siedział nieruchomo z przystojną, spokojną twarzą pochyloną nad gazetą. Czytał powoli; Stefan musiał czekać z wymianą stron; widział, jak oczy Kostanta przesuwają się od słowa do słowa. Potem wracała Rosana, głośno żegnając się z koleżankami na ulicy, wracała matka, trzaskały drzwi, pokoje rozbrzmiewały głosami, w kuchni pojawiał się dym, trzaskały garnki, dzwoniły talerze, godzina mijała.

Pewnego wieczoru Kostant odłożył gazetę, ledwie zaczął ją czytać. Nastąpiła długa chwila bez żadnych wydarzeń. Zaczytany Stefan udawał, że tego nie zauważa.

— Stefanie, obok ciebie leży moja fajka.

Jasne — mruknął Stefan, podał bratu fajkę, Kostant napełnił ją i zapalił, pociągnął kilka razy i odłożył. Jego prawa dłoń spoczywała na poręczy krzesła, twarda i spokojna. Stefan ukrył się za gazetą i cisza trwała nadal.

Przeczytam mu o tej koalicji związkowej, pomyślał Stefan, ale tego nie zrobił. Jego oczy z uporem szukały następnego artykułu. Dlaczego nie potrafię z nim rozmawiać?

— Ros dorasta — odezwał się Kostant.

— Radzi sobie — mruknął Stefan.

— Przydałoby jej się trochę opieki. Tak myślę. To nie jest miasto dla dorastającej dziewczyny. Nieobliczalni młodzieńcy i twardzi mężczyźni.

— Można ich znaleźć wszędzie.

— Na pewno — rzekł Kostant, przyjmując stwierdzenie Stefana bez zastrzeżeń. Kostant nigdy nie wyjeżdżał z karstu, ze Sfaroy Kampe. Znał wyłącznie wapień, ulice Ardure, Chorin i Gulhelma, odległe góry i olbrzymie niebo.

— Widzisz — powiedział, biorąc do ręki fajkę — ona jest chyba trochę samowolna.

— Chłopcy zastanowią się dwa razy, nim złączą kręcić z siostrą Fabbrego — rzeki Stefan. — W każdym razie ona cię posłucha.

— I ciebie.

— Mnie? Dlaczego miałaby słuchać mnie?

— Z tych samych powodów — odparł Kostant, lecz Stefan odzyskał już mowę:

— Za cóż miałyby mnie szanować? Ma dość własnego rozsądku. My wcale nie słuchaliśmy taty, prawda?

— Ty nie jesteś jak on. Jeżeli o to ci chodzi. Ty jesteś wykształcony.

Tak, jestem prawdziwym profesorem. Chryste! Jeden rok w szkole średniej!

— Dlaczego ci się tam nie wiodło?

Pytanie to nie zostało zadane bezmyślnie; pochodziło z jądra milczenia Kostanta, z jego surowej, zadumanej niewiedzy. Zaniepokojony tym, że podobnie jak Rosana znajduje się tak głęboko w myślach swego powściągliwego i wspaniałego brata, Stefan powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy:

— Bałem się, że zawiodę. Więc się nie uczyłem.

No i pojawiła się prawda, jasna jak szklanka wody, prawda, do której nigdy nie przyznawał się nawet przed samym sobą.

Kostant skinął głową, zastanawiając się nad tą koncepcją niepowodzenia, która z pewnością była mu obca, a następnie powiedział swoim dźwięcznym, łagodnym głosem:

— Marnujesz tu w Kampe swój czas.

— Ja? A ty?

— Ja niczego nie marnuję. Nigdy nie miałem żadnego stypendium. — Kostant uśmiechnął się, a radość tego uśmiechu rozzłościła Stefana.

— Nie, ty nigdy nie próbowałeś, poszedłeś prosto do kamieniołomu, jak skończyłeś piętnaście lat. Posłuchaj, czy ty kiedykolwiek się zastanawiałeś, czy kiedykolwiek choć przez minutę zastanawiałeś się nad pytaniem, co tu robisz, dlaczego poszedłeś do kamieniołomu, po co tu pracujesz, czy będziesz tu pracował sześć dni w tygodniu przez wszystkie tygodnie w roku przez wszystkie lata życia? Dla pieniędzy, owszem, ale są inne sposoby zarabiania na życie. Po co to wszystko? Dlaczego ktokolwiek tu zostaje, w tym zapomnianym przez Boga mieście na tym zapomnianym przez Boga kawałku skały, gdzie nic nie rośnie? Dlaczego ci wszyscy ludzie nie ruszą się i dokądś nie pójdą? I ty mówisz o marnowaniu czasu! Po co to wszystko, na Boga — czy nie ma w tym już nic więcej?

— Myślałem o tym.

— Ja od lat nie myślę o niczym innym.

— No to dlaczego nie wyjedziesz?

— Bo się boję. Byłoby jak w Brailavie, jak w szkole. Ale ty...

— Ja swoją pracę mam tutaj. Jest moja, potrafię ją wykonywać. Dokądkolwiek pójdziesz, wciąż możesz pytać, po co to wszystko.

— Wiem. — Stefan wstał; drobny mężczyzna niespokojnie poruszający się i mówiący, nie kończący gestów ani słów. — Wiem. Człowiek wszędzie z sobą zabiera siebie. To jednak oznacza jedno dla mnie, a coś innego dla ciebie. Ty się tu marnujesz, Kostancie.

To to samo, co to całe bohaterstwo, to poświęcenie się dla tego Sachika, który nawet nie widział spadającej na niego lawiny kamieni...

— On jej nie słyszał — wtrącił Kostant, ale Stefan już się rozpędził.

— Nie o to chodzi; chodzi o to, żeby taki ktoś sam się sobą zajmował, kim on dla ciebie jest, czym jest dla ciebie jego życie? Dlaczego poszedłeś za nim, kiedy zobaczyłeś lawinę? Z tego samego powodu, z którego poszedłeś do kamieniołomu, z tej samej przyczyny, dla której wciąż tam pracujesz. Czyli bez powodu. Bo lawina po prostu nadeszła. Stało się. Pozwalasz, żeby różne rzeczy ci się przytrafiały, bierzesz to, co ci się daje, kiedy mógłbyś wszystko wziąć w swoje ręce i zrobić z tym, co tylko zechcesz!

Nie to chciał powiedzieć, wcale nie to chciał powiedzieć. Chciał, żeby mówił Kostant. Słowa jednak wypadały mu z ust i podskakiwały wokół niego niczym kulki gradu. Kostant siedział w milczeniu, z mocno zaciśniętą, silną dłońią; w końcu odparł:

— Uważasz mnie za kogoś, kim nie jestem. — To nie była skromność. Nie miał jej. Jego cierpliwość brała się z dumy. Rozumiał tęsknotę Stefana, lecz jej nie podzielał, bo nic mu nie brakło; był nienaruszony. Będzie szedł na spotkanie wszystkiego, co spotka na swej drodze, z tą samą wspaniałą, kruchą niepodzielnością ciała i umysłu, niczym król na wygnaniu w kraju kamienia, trzymając całe swoje królestwo — miasta, drzewa, ludzi, góry, pola i stada ptaków na wiosnę — w zamkniętej dłoni, jak ziarno na siew; a ponieważ nie było nikogo, do kogo mógłby przemówić w swoim języku, będzie szedł, milcząc.

Ale posłuchaj, powiedziałeś, że o tym myślisz, po co to wszystko, czy tylko o to chodzi w życiu — jeśli o tym myślałeś, to musiałeś szukać odpowiedzi!

Po długim milczeniu Kostant odparł:

— Prawie ją znalazłem. W maju.

Stefan przestał się kręcić, w milczeniu wyjrzał przez frontowe okno. Był przestraszony.

— To... to nie jest odpowiedź — wymamrotał.

— Wydaje się, że powinna istnieć lepsza — zgodził się Kostant.

— Siedząc tu, nabierasz niezdrowych myśli... Potrzebujesz kobiety — rzekł Stefan, kręcąc się nerwowo, niewyraźnie wymawiając słowa, wpatrując się we wczesnojesienne zmiernie wstający z kamiennych płyt chodnika, nie przesłonięty drzewami czy nawet dymem, czysty i pusty. — To prawda — powiedział Stefan głosem przepełnionym goryczą, zanim jego brat się roześmiał.

— Możliwe. A ty?

— Siedzą na schodach u wdowy Katalny. Pewnie znowu ma nocny dyżur w szpitalu. Słyszysz gitarę? To ten gość z Brailavy, pracuje w biurze kolei, ugania się za wszystkim, co nosi spódnicę. Nawet za Noną Katalny. Mieszka tam teraz dzieciak Sachika. Ktoś powiedział, że pracuje w Nowym Kamieniołomie. Może w twojej brygadzie.

— Jaki dzieciak?

— Sachika.

— Myślałem, że wyjechał z miasta.

— Owszem, pojechał do jakiegoś gospodarstwa na zachodnim pogórze. To jego dzieciak, pewnie został, żeby pracować.

— A gdzie jest dziewczyna?

— O ile wiem, pojechała z ojcem.

Tym razem cisza przedłużała się, rozciągnęła się wokół nich jak staw, w którym pływały ich ostatnie słowa, chaotyczne, niejasne, zanikające. Pokój był pełen zmierzchu. Kostant przeciągnął się i westchnął. Stefan poczuł napływ spokoju, równie nieuchwytnego i rzeczywistego, jak nadejście ciemności. Rozmawiali i do niczego nie doszli; nie był to ostatni krok, następny nadejdzie w swoim czasie. Przez chwilę jednak był pogodzony ze swoim bratem i ze sobą.

— Wieczory stają się krótsze — odezwał się cicho Kostant.

— Widziałem ją kilka razy. W soboty. Przyjeżdża wozem ze wsi.

— Gdzie jest to gospodarstwo?

— Na zachodzie, wśród wzgórz, Sachik nie powiedział nic więcej.

— Może tam pojedę, jak będę mógł — powiedział Kostant. Zapalił zapalkę. Jej blask w przejrzystym mroku panującym w pokoju także był przepełniony spokojem; kiedy Stefan spojrział w okno, wieczór wydawał się ciemniejszy. Gitara ucichła, a na schodach sąsiedniego domu rozbrzmiewał teraz śmiech.

— Jeśli w sobotę ją zobaczę, to poproszę, żeby wpadła.

Kostant nic nie powiedział. Stefan nie chciał żadnej odpowiedzi. Po raz pierwszy w jego życiu zdarzyło się, że brat poprosił go o pomoc.

Weszła matka — wysoka, głośna, zmęczona. Pod jej krokami podłoga skrzypiała i wołała, kuchnia hałasowała i dymiała, w jej obecności wszystko zachowywało się hałaśliwie, oprócz jej dwóch synów: Stefana, który jej umykał, i Kostanta, który był jej panem.

Stefan w sobotę kończył pracę w południe. Szedł powoli ulicą Ardure, wypatrując wozu ze wsi i deresza. Nie było ich w mieście, poszedł więc do "Białego Lwa", znudzony i pełen ulgi.

Minęła następna sobota, potem trzecia. Nastał październik, popołudnia zrobiły się krótsze. Ulicą Gulhelma szedł przed nim Martin Sachik; dogonił go i powiedział:

— Dobry wieczór, Sachik.

Chłopiec spojrział na niego pustymi, szarymi oczyma; jego twarz, dłonie i ubranie były szare od kamiennego pyłu, a szedł tak powoli i równo, jak pięćdziesięcioletni mężczyzna.

— W której jesteś brygadzie?

— W piątej. — Mówił wyraźnie, jak jego siostra.

— To brygada mojego brata.

— Wiem. — Szli w nogę. — Podobno ma wrócić do kopalni w przyszłym miesiącu. Stefan potrząsnął głową.

— Twoja rodzina wciąż jest w tym gospodarstwie? — zapytał.

Martin skinął głową. Zatrzymali się przed domem wdowy Katalny. Ożywił się — był w domu i czekała go kolacja. Pochlebiali mu, że rozmawia z nim Stefan Fabbre, ale nie czuł się onieśmielony. Stefan był bystry, ale mówiło się, że jest kapryśny i zmiennego usposobienia, że jest połową człowieka, podczas gdy jego brat to półtora człowieka.

— W pobliżu Verre — rzekł Martin. — Piekielne miejsce. Nie mogłem go znieść.

— A twoja siostra?

— Uważa, że musi zostać z mamą. Powinna wrócić. To piekielne miejsce.

— Tu też nie jest raj — rzekł Stefan.

— Zapracowują się na śmierć i nie dostają za to żadnych pieniędzy, oni w tych gospodarstwach są stuknięci. Tata do nich bardzo pasuje. — Mówiąc lekceważąco o ojcu, Martin czuł się mężczyzną. Stefan Fabbre spojrział na niego bez szacunku i powiedział:

— Być może. Do widzenia, Sachik.

Martin wszedł do budynku pokonany. Kiedy zostanie mężczyzną i nikt nie będzie mu już robił wymówek? Dlaczego ważne jest to, że Stefan Fabbre spojrział na niego i odwrócił się? Następnego dnia spotkał na ulicy Rosanę Fabbre. Szła z koleżanką, a on z kolegą z pracy; wszyscy zeszłego roku razem chodzili do szkoły.

— Jak się masz, Ros? — odezwał się głośno Martin, szturchając kolegę łokciem. Dziewczęta minęły ich, wyniosłe niczym żurawie. — Ta jest niezła — rzekł Martin.

— Ona? To jeszcze dziecko — odpowiedział kolega.

— Zdziwiłbyś się — oznajmił Martin z gardłowym śmiechem, po czym podniósł wzrok i zobaczył, że przez ulicę przechodzi Stefan Fabbre. Przez chwilę czuł, że jest otoczony, że nie ma ucieczki.

Stefan szedł do „Białego Lwa”, ale mijając miejski hotel i stajnię, zobaczył na podwórzu deresza. Wszedł do środka i usiadł w brązowym salonie hotelu pachnącym olejem do uprząży i wysuszonymi pajakami. Siedział tam dwie godziny. Weszła wyprostowana, w czarnej chustce na głowie, tak długo oczekiwana i będąca tak w pełni sobą, że patrzył na nią z czystą przyjemnością i ocknął się dopiero wtedy, kiedy zaczęła wchodzić po schodach.

— Panno Sachik — powiedział.

Zatrzymała się, zaskoczona.

— Chciałbym poprosić panią o przysługę. — Głos Stefana brzmiał grubo po tym dziwnym, beczasowym oczekiwaniu. — Zatrzymała się tu pani na noc?

— Tak.

— Kostant o panią pytał. Chciał się dowiedzieć o zdrowie pani ojca. Wciąż siedzi w domu, nie bardzo może chodzić.

— Ojciec czuje się dobrze.

— Zastanawiałem się, czy...

— Mogłabym wpaść. Miałam odwiedzić Martina. Mieszkacie po sąsiedzku, prawda?

— O, świetnie. To znaczy... zaczekam.

Ekata pobiegła do swego pokoju, umyła zakurzoną twarz i ręce, a następnie ozdobiła szarą sukienkę koronkowym kołnierzykiem, który chciała włożyć nazajutrz do kościoła. Zaraz go jednak zdjęła. Znowu przykryła czarne włosy czarną chustką, zeszła na dół i przeszła ze Stefanem w bladym, październikowym słońcu sześć kwartałów, dzielących jego dom od hotelu. Kiedy zobaczyła Kostanta Fabbre, była oszołomiona. Nigdy nie widziała go z bliska poza tym jednym razem w szpitalu, gdzie był zniekształcony przez gips, bandaże, upał, ból, gadanie jej ojca. Zobaczyła go dopiero teraz.

Zaczęli rozmawiać bez skrępowania. Gdyby nie jego nadzwyczajna uroda, która ją rozpraszała, czułaby się w jego towarzystwie zupełnie swobodnie. Jego głos i to, co mówił, było poważne, proste, kojące. Z młodszym bratem działo się odwrotnie: nie należał do specjalnie urodziwych, lecz w jego towarzystwie czuła się skrępowana, zagubiona. Kostant był uspokajający; Stefan przypominał podmuchy jesiennego wiatru, ostre i kapryśne.

— Jak tam jest? — zapytał Kostant, a ona odpowiedziała:

— Dobrze. Trochę ponuro.

— Podobno uprawa ziemi to bardzo ciężka praca.

— Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy, nie podoba mi się tylko gnój.

— Jest w pobliżu jakaś wioska?

— Właściwie nie ma, bo gospodarstwo leży w połowie drogi między Verre i Lotimą. Ale są sąsiedzi; wszyscy w promieniu dwudziestu mil znają się nawzajem.

— Według tych kryteriów wciąż jesteśmy waszymi sąsiadami — wtrącił Stefan. Jego głos rozpląnął się w połowie zdania. Czuł, że nie liczy się dla tych dwojga.

Kostant siedział odprężony, z wyciągniętą chorą nogą i dłońmi splecionymi na drugim kolanie, naprzeciw Ekaty, która wyprostowana trzymała dłonie na podołku. Nie wyglądali podobnie, ale mogliby być rodzeństwem. Stefan wstał, mrucząc przeprosiny, i wyszedł tylnymi drzwiami. Wiał północny wiatr. W pyle pod jodłą i wśród placzków zachwaszczonej trawy skakały wróble. Na sznurze rozciągniętym między dwiema żelaznymi tyczkami trzepotały, zwisały i furkotały koszule, bielizna i dwa prześcieradła. Powietrze pachniało ozonem. Stefan przeskoczył przez płot, przeciął podwórko wdowy Katalny, wyszedł na ulicę i ruszył ku zachodowi. Po kilku przecznicach ulica znikła. Dalej prowadziła ścieżka do kamieniołomu, porzuconego przed dwudziestu laty,

kiedy natrafiono na wodę; było jej tam teraz dwadzieścia stóp. Latem kąpali się w niej chłopcy. Stefan też tam się kąpał, przerażony, bo nigdy nie nauczył się dobrze pływać, a nie miał gruntu, woda była głęboka i przenikliwie zimna. Przed trzema laty utonął tam chłopiec, a zeszłego roku mężczyzna — kamieniarz tracący wzrok od odprysków skał w oczach. Wciąż nazywało się to miejsce Zachodnim Kamieniołomem. Pracował w nim ojciec Stefana, kiedy był chłopcem. Stefan usiadł przy brzegu i obserwował, jak wiatr schwytyany wśród czterech skalnych ścian faluje z drzeniem nad wodą, która niczego nie odbija.

— Muszę odwiedzić Martina — powiedziała Ekata. Kiedy wstawała, Kostant wyciągnął rękę po kule, lecz po chwili zrezygnował.

— Wstawanie zajmuje mi za dużo czasu — rzekł. — Jaką masz swobodę poruszania się o kulach?

— Stąd dotąd — odparł, pokazując na kuchnię. — Noga jest już w porządku. To plecy goją się powoli.

— Pozbędziesz się kul?...

— Lekarz mówi, że przed Wielkanocą. Pobiegnę do Zachodniego Kamieniołomu i tam je wrzucę... — Oboje uśmiechnęli się. Ogarnęła ją czułość dla niego i duma, że go zna.

— Będziesz przyjeżdżała do Kampe, kiedy nastanie brzydka pogoda?

— Nie wiem, w jakim stanie będą drogi.

Jeśli przyjedziesz, odwiedź mnie — zaproponował. — Jeżeli masz ochotę.

— Dobrze.

Zauważyli wtedy, że nie ma Stefana.

— Nie wiem, dokąd poszedł — rzekł Kostant. — Stefan przychodzi i odchodzi. Podobno twój brat, Martin, dobrze się spisuje w naszej brygadzie.

— Jest młody — odparła Ekata.

— Na początku jest trudno. Ja zacząłem, mając piętnaście lat. Potem, kiedy nabiera się siły i lepiej zna się pracę, idzie łatwo. Wszystkiego najlepszego dla twojej rodziny. — Ujęła jego dużą, twardą, ciepłą dłoń i wyszła. Na progu stanęła twarzą w twarz ze Stefanem. Poczzerwieniał. Widok rumieniącego się mężczyzny wstrząsnął nią. Odezwał się, jak zwykle od razu zmierzając do sedna sprawy:

— Była pani w szkole o rok niżej ode mnie, prawda?

— Tak.

— Przyjaźniła się pani z Rosą Bayenin. Następnego roku zdobyła to samo stypendium, co ja.

— Uczy teraz w szkole w Valone.

— Skorzystała ze stypendium lepiej, niż ja to mogłem zrobić. Myślę sobie, jakie to dziwne, że żyje się w takim miejscu, znając wszystkich, a potem gdy spotyka się kogoś

z dawnych znajomych, wydaje się, że to obca osoba.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pożegnał się i wszedł do domu; ona poszła dalej, zawiązując mocniej chustkę, bo wiatr przybierał na sile.

Rosana i jej matka weszły do domu minutę po Stefanie.

— Z kim rozmawiałeś na progu? — zapytała ostro matka. — To na pewno nie była Nona Katalny.

— Masz rację — odparł Stefan.

— Dobrze, ale uważaj na nią, z przyjemnością schwyciłaby cię w swoje szpony. Ładnie by wyglądało, gdyby zabawiała lokatorów swojej mamy, a ty wyprowadzałbyś jej szczeniaka. — Obie z Rosana roześmiały się swoim głośnym, mrocznym śmiechem. — Z kim więc rozmawiałeś?

— Co cię to obchodzi? — odkrzyknął. Ich śmiech go rozwścieczał; zupełnie jakby obrzucały go twardymi kamieniami, zbyt gęsto, żeby mógł się uchylić.

— Pytasz, co mnie to obchodzi, mnie, która stoję na własnym progu, powiem ci, co mnie to obchodzi... — Słowa rzuciły się na spotkanie jej gniewu, jak rzucały się na spotkanie wszystkich jej emocji. — Cały czas puszysz się, bo poszedłeś do szkoły średniej, ale szybciotko wróciłeś do domu, co? I wiesz, że chcę wiedzieć, kto przychodzi do tego domu...

Rosana krzyczała:

— Ja wiem, kto to był, to była siostra Martina Sachika!

Nagle obok całej trójki pojawił się wsparty na kulach Kostant, zgarbiony i wysoki.

— Przestańcie — powiedział.

Zamilkli.

Ani wtedy, ani później bracia nie powiedzieli matce o odwiedzinach Ekaty Sachik ani nie rozmawiali o nich między sobą.

Martin zabrał siostrę na kolację do "Dzwonu", kawiarni, w której jadali urzędnicy Towarzystwa Chorin oraz przyjezdni. Był z siebie dumny, że pomyślał o zaproszeniu jej na kolację, szczyił się białymi obrusami, widelcami i łyżkami do zupy, był przerażony kelnerem. On w swojej za małej niedzielnej marynarce, a jego siostra w swojej szarej sukience — jakże wspaniale się zachowywali, jakże byli dorośli. Ekata spokojnie spojrzała na menu i jej twarz w najmniejszym stopniu nie zmieniła wyrazu, kiedy mruknęła do brata:

— Ale tu są dwie zupy.

— Tak — odparł wytwornie.

— Trzeba jedną wybrać?

— Chyba tak.

— Trzeba, bo człowiek by się napchał, zanimby dotarł do mięsa... — Zachichotali. Ekacie trzęsły się ramiona; ukryła twarz w olbrzymiej serwetce — Martinie, patrz, dali

mi prześcieradło... — Oboje siedzieli, parszkając i trzęsąc się ze śmiechu, a zarazem przeżeni, podczas gdy zbliżał się do nich nieubłagany kelner z kolejnym prześcieradłem na ramieniu.

Kolacja została zamówiona bardzo cicho i zjedzona z zachowaniem wszelkiej etykiety, z łokciami mocno przyciśniętymi do boków. Na deser był budyń z mączki kasztanowej i Ekata powiedziała, lekko rozstawiając łokcie z zadowolenia:

— Rosa Bayenin napisała, że miasto, w którym mieszka, leży tuż obok lasu kasztanowców, wszyscy jesienią zbierają tam kasztany, napisała, że drzewa rosną gęsto jak noc i schodzą do samego brzegu rzeki. — Miasto po półtoramiesięcznym pobycie na wsi, rozmowa z Kostantem i Stefanem, kolacja w restauracji podekscytowały ją. — To jest niesamowicie dobre — powiedziała, ale nie potrafiła powiedzieć, co widzi, a był to blask słońca zapalający złociste błyski na rzece między nie kończącymi się drzewami o ciemnym listowiu, wiatr wiejący w górę rzeki wśród cieni, zapach liści, wody i budyń z mączki kasztanowej, świat lasów, rzek, obcych ludzi, blask słoneczny zalewający świat.

— Widziałem, jak rozmawiałaś ze Stefanem Fabbre — powiedział Martin.

— Byłam u nich w domu.

— Po co?

— Zaprosili mnie.

— Po co?

— Żeby się dowiedzieć, jak nam się wiedzie.

— Mnie nigdy nie zapraszali.

— Ty nie jesteś na wsi, głupku. Jesteś przecież w jego brygadzie, prawda? Mógłbyś czasem do nich zajrzeć. To wspaniały człowiek, polubiłbyś go.

Martin stęknął. Nie podobała mu się wizyta Ekaty u rodziny Fabbre, choć nie wiedział, dlaczego. Wydawało się, że w jakiś sposób komplikuje to sprawy. Prawdopodobnie była tam Rosana. Nie chciał, żeby jego siostra wiedziała o Rosanie. A co miałyby o niej wiedzieć? Poddał się, marszcząc brew.

— Ten młodszy brat, Stefan, pracuje w biurze Chorin, prawda?

— Prowadzi księgi czy coś takiego. Miał być geniuszem i pójść do szkoły średniej, ale z niej wyleciał.

— Wiem. — Skończyła budyń z lubością. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Nie lubię go — powiedział Martin.

— Dlaczego?

— Bo nie. — Wyładowanie złego humoru na Stefanie przyniosło mu ulgę. — Chcesz kawy?

— Och, nie.

— Daj spokój. Ja chcę. — Zamówił władczo kawę dla obojga. Ekata patrzyła na nie-

go z podziwem i z przyjemnością wypija kawe.

— Jakie to szczęście mieć brata — powiedziała.

Następnego ranka, w niedzielę, Martin spotkał się z nią w hotelu, skąd razem poszli do kościoła; śpiewając luterańskie psalmy, słyszeli nawzajem swoje mocne, czyste głosy. Byli zadowoleni i chciało im się śmiać. Stefan Fabbre też był na nabożeństwie.

— Czy on zwykle przychodzi? — Ekata zapytała Martina, kiedy wychodzili z kościoła.

— Nie — odparł Martin, chociaż nie miał o tym pojęcia, ponieważ sam nie chodził do kościoła od maja. Po długim kazaniu czuł się otępiały i zły. — On za tobą chodzi.

Milczała.

— Powiedziałas, że czekał na ciebie w hotelu. On mówi, że chce, żebyś odwiedziła jego brata. Rozmawia z tobą na ulicy. Pokazuje się w kościele. — Argumenty te podsuwała mu po kolei samoobrona, a wypowiedzenie ich na głos przekonało go do nich.

— Martinie, nie znoszę pewnego rodzaju ludzi: wścibskich.

— Gdybyś nie była moją siostrą...

— Gdybym nie była twoją siostrą, nie miałabym do czynienia z twoją głupotą. Poproś stajennego, żeby zaprzęgał. — Rozstali się z lekką wzajemną urazą, która wkrótce rozplynęła się w odległości i czasie.

Pod koniec listopada, kiedy Ekata przyjechała do Sfaroy Kampe, znów poszła do domu rodziny Fabbre. Chciała to zrobić, zresztą obiecała Kostantowi, a jednak musiała się do odwiedzin zmusić; kiedy jednak okazało się, że w domu są Kostant i Rosana, a Stefan wyszedł, poczuła się znacznie swobodniej. Martin zmartwił ją swoim głupim wtrącaniem się. Tak czy owak, chciała się zobaczyć z Kostantem.

Kostant chciał jednak rozmawiać o Stefanie.

— Zawsze gdzieś się wałęsa albo idzie do "Lwa". Nie usiedzi w miejscu. Marnuje czas. Kiedy raz rozmawialiśmy, powiedział mi, że boi się wyjechać z Kampe. Zastanawiałem się nad tym. Czego się boi?

— Tutaj są wszyscy jego znajomi.

— Nie ma ich za wielu. Wśród kamieniarzy odgrywa urzędnika, a wśród urzędników kamieniarza. Widziałem go, kiedy przychodzili do mnie koledzy. Dlaczego nie może być tym, kim jest?

— Może nie bardzo wie, kim jest.

— Nie dowie się tego z wałęsania się i picia w "Lwie" — rzekł Kostant, twardy i pewny w swej własnej bezczynności — ani z wywoływania kłótni. W tym miesiącu bił się trzy razy. Biedak za każdym razem przegrał — tu Kostant się roześmiał.

Ekate zaskoczyła niewinność śmiechu na jego poważnej twarzy. Był uprzejmy; szczerze troszczył się o Stefana, w jego śmiechu nie brzmiało szyderstwo, a jedynie dobroduszość. Podobnie jak Stefan zastanawiała się nad nim, nad jego urodą i siłą, ale nie

uważała, że Kostant się marnuje. Pan utrzymuje dom i zna swoje sługi. Jeśli posłał tego niewinnego i wspaniałego mężczyznę, by żył w ukryciu na kamiennej równinie, to należało to do utrzymywania domu, do dziwnej równowagi kamienia i róży, rzek, które nie wysychały, tygrysa, oceanu, robaka i wcale nie wiecznych gwiazd.

Rosana siedziała przy kominku i słuchała ich rozmowy. Siedziała w milczeniu, ze zgarbionymi ramionami, chociaż ostatnio znów uczyła się trzymać je prosto, jak w dzieciństwie, rok temu. Podobno człowiek się przyzwyczaja do bycia milionerem; podobnie po kilku latach człowiek zaczyna się przyzwyczajać do bycia kobietą. Rosana uczyła się nosić bogatą i ciężką szatę swego dziedzictwa. Teraz słuchała, a robiła to rzadko. Nigdy nie słyszała, żeby dorośli ludzie rozmawiali tak, jak tych dwoje. Nigdy nie słyszała prawdziwej rozmowy. Kiedy minęło prawie dwadzieścia minut, wymknęła się cicho z pokoju. Dowiedziała się zbyt dużo, i potrzebowała czasu, żeby to wchłonąć i przećwiczyć. Zaczęła ćwiczyć od razu. Ruszyła ulicą wyprostowana, nie powoli i nie szybko, z twarzą spokojną jak u Ekaty Sachik.

— Śniesz na jawie, Ros? — zaczepił ją z drwiną Martin Sachik z podwórka wdowy Katalny.

Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

— Witaj, Martinie.

Stał wpatrzony w nią szeroko rozwartymi oczyma.

— Dokąd idziesz? — zapytał ostrożnie.

— Donikąd, po prostu spaceruję. Jest u nas twoja siostra.

— Tak? — zabrzmiało to niezwykle głupio i wojowniczo, lecz Rosana nie przerywała ćwiczeń:

— Tak — odparła grzecznie. — Przyszła odwiedzić mojego brata. — Którego?

— Kostanta, dlaczego miałaby odwiedzać Stefana? — odrzekła, na chwilę zapominając o swej nowej osobowości i szeroko się uśmiechnęła.

— Dlaczego wałęsasz się zupełnie sama?

— A czemu nie? — zapytała, ugodzona tym “wałęsasz się” i dlatego przybrała niezwykle łagodny ton.

— Pójdę z tobą.

— Czemu nie?

Szli ulicą Gulhelma, aż zmieniła się w ścieżkę wśród chwastów.

— Chcesz iść do Zachodniego Kamieniołomu?

— Czemu nie? — Rosanie spodobał się ten zwrot; tchnął doświadczeniem.

Szli po cienkiej kamiennej nawierzchni między ciągnącą się całymi milami uschlą trawą, która była zbyt krótka, by kłonić się od podmuchów północnozachodniego wiatru. Nad ich głowami płynęły do tyłu olbrzymie masy chmur, zaś im wydawało się, że idą bardzo szybko, a szara równina posuwa się razem z nimi.

— Od chmur kręci się w głowie — powiedział Martin — tak samo jak od patrzenia w górę masztu.

Szli z podniesionymi twarzami, nie widząc niczego oprócz wiatru. Rosana zdała sobie sprawę, że choć stopy stawiają na ziemi, sami wznoszą się do nieba, idą po niebie, tak jak ptaki po nim latają. Spojrzała na idącego po niebie Martina.

Doszli do opuszczonego kamieniołomu i zatrzymali się, patrząc na wodę, zmatowioną podmuchami uwięzionego wiatru.

— Chcesz popływać?

— Czemu nie?

— Tam jest ścieżka dla mułów. Śmiesznie wygląda, nie, że tak schodzi do samej wody.

— Tam jest zimno.

— Zejdźmy ścieżką. Niżej, między skałami, prawie nie ma wiatru. To stamtąd skoczył Penik, a wyciągnęli go tutaj.

Rosana stała na krawędzi kamieniołomu. Owiewał ją szary wiatr.

— Myślisz, że chciał to zrobić? To znaczy był ślepy, może spadł...

— Trochę widział. Miał pojechać do Brailavy na operację. Chodź.

Poszła za nim do początku ścieżki prowadzącej w dół. Z góry wyglądała na bardzo stromą. Od zeszłego roku Rosana zrobiła się bojaźliwa. Szła powoli za Martinem po zniszczonym, podziurawionym spadającymi głazami szlaku prowadzącym do kamieniołomu.

— Masz, trzymaj się — powiedział, przystanawszy przed ostrym spadkiem; ujął ją za rękę i sprowadził za sobą. Natychmiast rozłączyli dłonie i Martin podszedł do miejsca, gdzie woda przegradzała ścieżkę, która prowadziła dalej w dół, do ukrytego dna kamieniołomu. Woda była ciemna niczym ołów, niepokojąca. Lekki wiaterek bezustannie ocierał nią o ściany i mącił jej powierzchnię tysiącami warkoczyków, kół i kólek. — Mam iść dalej? — szepnął głośno w ciszy Martin.

— Czemu nie?

Poszedł dalej. Rosana zawołała:

— Stój!

Wszedł już do wody po kolana; odwrócił się, stracił równowagę i zatoczył się z powrotem na ścieżkę, ochlapując dziewczynę wodą i budząc wśród kamiennych ścian głośnie echo.

— Oszalałeś, po co to zrobiłeś?

Martin usiadł na ziemi, zdjął swoje duże buty, żeby wylać z nich wodę i roześmiał się bezgłośnie śmiechem, wstrząsany dreszczami.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Miałem ochotę — odparł. Chwyił ją za rękę, przyciągnął do siebie, aż uklęknęła

obok niego, i pocałował. Pocałunek przedłużał się. Rosanie udało się wyrwać i odsunąć od chłopaka. Prawie tego nie zauważył. Leżał na skałach nad brzegiem wody i śmiał się; był tak silny jak ziemia, a nie mógł unieść ręki... Usiadł z otwartymi ustami i zamglonym wzrokiem. Po chwili włożył mokre, ciężkie buty i ruszył ścieżką pod górę. Rosana stała na jej szczycie, omiatane wiatrem maźnięcie ciemności na tle przepastnego, ruchomego nieba.

— Chodź! — zawołała, a wiatr sprawiał, że jej głos był cienki niczym ostrze noża.
— Na pewno mnie nie złapiesz!

Kiedy zbliżył się do szczytu, zaczęła biec. Martin podążał za nią z trudnością, obciążony mokrymi butami i spodniami. Złapał ją sto metrów od kamieniołomu i spróbował uwięzić jej ręce. Na chwilę jej rozplamieniona twarz znalazła się obok jego twarzy. Wyrwała mu się i znów ruszyła biegiem, a on pobiegł za nią do miasta truchtem, bo już nie mógł biec szybciej. Kiedy zaczęła się ulica Gulhelma, Rosana zatrzymała się i poczekała na Martina. Szli chodnikiem obok siebie.

— Wyglądasz jak utopiony kot — wyszeptła z kpina, ledwo chwytając powietrze.

— I kto to mówi — odpowiedział w ten sam sposób. — Popatrz na swoją spódnicę. Przed pensjonatem zatrzymali się, popatrzyli na siebie i Martin się roześmiał.

— Dobranoc, Ros — powiedział.

Chciała go ugryźć.

— Dobranoc — odpowiedziała i przeszła kilka metrów do własnych drzwi, nie pozwoli i nie szybko, czując na plecach jego spojrzenie niczym dłoń.

Nie znalazłszy brata w pensjonacie, Ekata wróciła do hotelu, żeby poczekać na niego — znowu mieli zjeść kolację w "Dzwonie". Poprosiła recepcjonistę, żeby przysłał Martina na górę, kiedy tylko się pojawi. Po kilku minutach usłyszała stukanie do drzwi i otworzyła je. Zobaczyła Stefana Fabbre. Jego twarz miała kolor owsianki i wyglądała nieświeżo jak nie posłane łóżko.

— Chciałem cię zaprosić... — język mu się plątał — ...zjeść kolację — mruknął, patrząc ponad jej ramieniem na pokój.

— Przychodzi po mnie brat. O, już jest.

To jednak wchodził po schodach dyrektor hotelu.

— Przepraszam panienkę — powiedział głośno. — Na dole jest salon. — Ekata patrzyła na niego, nie rozumiejąc. — Proszę posłuchać, panienko, kazała pani przysłać na górę pani brata, a recepcjonista nie zna go z widzenia, aleja tak. To moja praca. Na dole jest przytulny salon do przyjmowania gości. W porządku? Jeżeli chce pani przyjeżdżać do szacownego hotelu, to muszę pilnować, żeby był szacowny, rozumie pani?

Stefan przepchnął się obok niego i zbiegł po schodach.

— On jest pijany, panienko — powiedział dyrektor.

— Proszę odejść — rzekła Ekata i zamknęła mu drzwi przed nosem. Usiadła na łóżku z zaciśniętymi pięściami, ale nie potrafiła usiedzieć spokojnie. Zerwała się, wzięła płaszcz, chustkę i nie wkładając ich, zbiegła na dół. Rzuciła klucz na biurko, za którym stał dyrektor z szeroko otwartymi oczyma i wybiegła z hotelu. Ulica Ardure była ciemna między plamami światła padającego od latarni i wiał wzdłuż niej zimowy wiatr. Przeszła dwa ostatnie kwartały, kierując się ku zachodowi i wróciła drugą stroną ulicy. Przeszła wszystkie osiem kwartałów, mijając “Białego Lwa”, ale wstawiono już zimowe drzwi i Ekata nie mogła zajrzeć do wnętrza. Było zimno, wiatr gonił ulicami niczym wartka rzeka. Poszła do ulicy Gulhelma i spotkała Martina wychodzącego z pensjonatu. Poszli na kolację do “Dzwonu”. Oboje byli zamyśleni i skrepowani. Mówili mało i łagodnie, wdzięczni sobie nawzajem za towarzystwo.

Następnego ranka poszła sama do kościoła. Kiedy upewniła się, że Stefan nie przyszedł, z ulgą opuściła wzrok. Kamienne mury kościoła i surowe słowa nabożeństwa otaczały ją mocnym pierścieniem. Odpoczywała niczym statek w porcie. Kiedy pastor powiedział: “Podniosę mój wzrok na wzgórza, skąd nadchodzi pomoc”, zadrżała i jeszcze raz powoli, ukradkiem rozejrzała się po kościele, szukając Stefana. Nie dochodziły do niej słowa kazania. Kiedy jednak nabożeństwo skończyło się, nie chciała wyjść. Zrobiła to jako jedna z ostatnich. Pastor zatrzymał ją, pytając o matkę. Zobaczyła Stefana czekającego przy schodach.

Podeszła do niego.

— Chciałem przeprosić za wczorajszy wieczór — wypowiedział całość za jednym zamachem.

— Nic się nie stało.

Nie miał nakrycia głowy i wiatr wpychał mu do oczu jasne, wyglądające na zakurzone włosy. Stefan zamrugał i spróbował je przygładzić.

— Byłem pijany.

— Wiem.

Ruszyli razem sprzed kościoła.

— Martwiłam się o ciebie — rzekła Ekata.

— Dlaczego? Nie byłem aż tak pijany.

— Nie wiem.

Przeszli przez ulicę w milczeniu.

— Kostant lubi z tobą rozmawiać. Powiedział mi. — Mówił nieprzyjemnym tonem.

Ekata powiedziała sucho:

— Ja lubię rozmawiać z nim.

— Wszyscy lubią. Wyświadcza im wielką łaskę.

Nie odpowiedziała.

— Mówię poważnie.

Wiedziała, co chciał powiedzieć, ale wciąż milczała. Znaleźli się blisko hotelu. Stefan zatrzymał się.

— Nie będę kończył dzieła zniszczenia twojej reputacji.

— Nie musisz się przy tym uśmiechać.

— Nie uśmiecham się. Chcę powiedzieć, że nie pójdę z tobą do hotelu, żeby cię nie krępować.

— Nie mam się czym krępować.

— A ja tak. Przepraszam cię, Ekato.

— Nie chciałam, żebyś mnie jeszcze raz przeproszał. — Jej głos zmatowiał i Stefan znowu pomyślał o mgłę, zmierzchu, lasach.

Już nie będę. — Roześmiał się. — Zaraz wyjeżdżasz?

— Muszę. Teraz tak wcześnie robi się ciemno.

Oboje zawahali się.

— Mógłbyś wyświadczyć mi przysługę — odezwała się.

— Chętnie.

— Gdybyś mógł dopilnować zaprzęgnięcia mojego konia, ostatnim razem musiałam zatrzymać się po przejechaniu mili i wszystko podociągać. Gdybyś to zrobił, ja mogłabym się przygotować.

Kiedy wyszła z hotelu, wóz stał przed wejściem, a Stefan siedział na koźle.

— Podwiozę cię kilka mil, dobrze?

Skinęła głową. Podał jej rękę, a kiedy usiadła, pojechali ulicą Ardure na zachód, na równinę.

— Ten przeklęty dyrektor hotelu — rzekła Ekata. — Uśmiechnięty rano i taki przy-
milny...

Stefan roześmiał się, ale nic nie powiedział. Był ostrożny, zamyślony; wiał zimny wiatr, stary deresz spokojnie stukał kopytami; po chwili chłopak odezwał się:

— Nigdy jeszcze nie powoziłem.

— Ja powoziłam tylko tym koniem. Nie sprawia żadnych kłopotów.

Wiatr ze świstem przeczesywał całe mile martwej trawy, szarpał czarną chustką Ekaty, wpychał Stefanowi włosy do oczu.

— Spójrz — powiedział. — Kilka cali ziemi, a pod nią skała. Można jechać w każdym kierunku przez cały dzień i zawsze znajdzie się skałę przykrytą kilkoma calami ziemi. Wiesz, ile jest w Kampe drzew? Pięćdziesiąt cztery. Policzyłem je. I ani jednego więcej aż do samych gór. — Jego głos, kiedy tak mówił jakby do siebie, brzmiał sucho i śpiewnie. — Kiedy pojechałem pociągiem do Brailavy, wypatrywałem pierwszego nowego drzewa. Pięćdziesiątego piątego drzewa. Był to duży dąb rosnący przy gospodarstwie wśród wzgórz. A potem nagle drzewa pojawiły się wszędzie, we wszystkich dolinach. Nie można ich było policzyć. Chciałbym jednak spróbować.

— Masz dosyć tego miejsca.

— Nie wiem. Na pewno mam czegoś dosyć. Czuję się, jakbym był mrówką, mniejszy od mrówki, tak mały, że ledwo mnie widać, jak pełzam po tej olbrzymiej podłodze. Do nikąd nie dochodzę, bo gdzie tu można dojść. Spójrz na nas, jak pełzamy po podłodze, tam jest sufit... Wygląda, jakby na północy padał śnieg.

— Mam nadzieję, że nie spadnie przed zapadnięciem zmroku.

— Jak tam jest na wsi?

Przed chwilę się zastanawiała, a potem powiedziała cicho:

— Samotnie.

— Twojemu ojcu to się podoba?

— Chyba nigdy nie czuł się swobodnie w Kampe.

— Niektórzy ludzie są zrobieni z ziemi, z gleby — powiedział tym swoim głosem, który tak łatwo zmieniał się w niesłyszalny monolog — a inni a kamienia. Ludzie, którym się wiedzie w Kampe, są z kamienia. — Nie powiedział: „jak mój brat”, ale ona to usłyszała.

— To czemu nie wyjedziesz?

— To samo powiedział Kostant. To wydaje się takie łatwe. Ale widzisz, gdyby wyjechał, zabrałby siebie ze sobą. Ja zabrałbym siebie... Czy ma to znaczenie, dokąd się wyjeżdża? Ma się tylko to, czym się jest. Albo z czym się styka.

Zatrzymał konia.

— Lepiej już wróć, pewnie przejechaliśmy kilka mil. Patrz, mrowisko. — Odwróciwszy się na wysokim koźle, zobaczyli na bladej równinie plamę ciemności, cieniutką wieżę, iskierki w miejscu, gdzie zimowe słońce padało na okna czy dachówki, a daleko za miastem rysujące się wyraźnie pod wysokimi, ciężkimi, ciemnoszarymi chmurami — góry.

Podał je lejce.

— Dzięki za podwiezienie — powiedział i zeskoczył na ziemię.

— Dzięki za towarzystwo, Stefanie.

Uniósł na pożegnanie rękę; Ekata pojechała dalej. Zostawienie go samego na równinie wydawało się okrucieństwem. Kiedy obejrzała się, zobaczyła, że jest już bardzo daleko i oddala się od niej jeszcze bardziej, idąc między wąskimi koleinami pod olbrzymim niebem.

Zanim dotarła wieczorem do gospodarstwa, spadło trochę śniegu, po raz pierwszy tej wczesnej zimy. Przez cały miesiąc patrzyła z okna kuchni na zatarte deszczem wzgórze. W grudniu w słoneczne dni po opadach śniegu, patrząc z okna swojej sypialni, widziała po wschodniej stronie równiny lśniąca bladeść: góry. Nie jeździła już do Sfaroy Kampe. Kiedy potrzebowali czegoś z targu, wuj jeździł do Verre lub Lotimy, ponurych wiosek, rozpadających się niczym karton w deszczu. Mówił, że w śniegu czy ulew-

nym deszczu bardzo łatwo jest zgubić koleiny przecinające karst — “i gdzie wtedy byś była?”

— Przede wszystkim, gdzie ty jesteś? — odpowiadała Ekata miękkim głosem Stefana. Wuj jej nie słuchał.

Na Boże Narodzenie przyjechał Martin na wypożyczonym koniu. Po kilku godzinach zmarkotniał i nie odstępował Ekaty na krok.

— Co takiego ciotka powiesiła sobie na szyi?

— Cebulę przebitą gwoździem. Przeciwno reumatyzmowi.

— Chryste Wszchemogący!

Ekata roześmiała się.

— Wszystko śmierdzi cebulą i flanelą, nie możecie tego wywietrzyć?

— Nie. W zimne dni zatykają nawet przewody kominowe. Wolą dym niż zimno.

— Powinnaś wrócić ze mną do miasta, Ekato.

— Mama nie czuje się zbyt dobrze.

— Nic na to nie poradzisz.

— Nie. Ale zostawiając ją bez ważnego powodu, czułabym się podle. Wszystko po kolei. — Ekata straciła na wadze; wystawały jej kości policzkowe, a oczy wydawały się ciemniejsze. — A co u ciebie? — zapytała.

— Wszystko w porządku. Z powodu śniegu na razie nie pracujemy.

— Rosniesz — rzekła Ekata.

— Wiem.

Siedział na sztywnej sofie w wiejskim salonie z męską zwalistością, z męskim spokojem.

— Chodzisz z kimś?

— Nie. — Oboje roześmieli się. — Widziałem się z Fabbre, który prosił, żeby złożyć ci życzenia. Lepiej się czuje. Teraz już wychodzi, z laską.

Przez pokój przeszła ich kuzynka. Żeby nie było jej zimno chodzić po śniegu i błocie na podwórzu, na nogach miała stare męskie buty wypchane słomą. Martin powiódł za nią wzrokiem z niesmakiem.

— Rozmawiałem z nim. Parę tygodni temu. Mam nadzieję, że wróci do kamieniołomu przed Wielkanocą, przynajmniej takie krążą plotki. Jest moim brygadzystą.

Patrząc na niego, Ekata domyśliła się, w kim jest zakochany.

— Cieszę się, że go lubisz.

— Nikt w Kampe nie dorasta mu do pięt. Ty też go lubiłaś, prawda?

— Oczywiście.

— Bo widzisz, kiedy zapytał o ciebie, pomyślałem...

— To się myliłeś — wpadła mu w słowo Ekata. — Przestań się wtrącać, Martinie, dobrze?

— Nic nie powiedziałem — zaczął się słabo bronić; siostra wciąż potrafiła go onieśmielić. Przypomniawszy sobie, że Rosana Fabbre roześmiała się, kiedy powiedział jej coś o Kostancie i Ekacie. Przed kilkoma dniami mroźnego zimowego poranka wieszła pościel na podwórku za domem, a on przechylił się przez płot, żeby porozmawiać.

— O Boże, zwariowałaś? — zapytała szyderczo. Wilgotne prześcieradła wiszące na sznurze wydymały jej się w twarz, a wiatr plątał włosy. — Ci dwoje? Nigdy w życiu! — Próbował dowodzić swoich racji, ale ona nie chciała go słuchać. — On się nie ożeni z nikim stąd. To będzie jakaś kobieta z bardzo daleka, może z Krasnoy, żona dyrektora, królowa, jakaś piękność ze służbą i w ogóle. I pewnego dnia będzie dumnie kroczyła ulicą Ardure i zobaczy Kostanta, jak idzie z wysoko podniesioną głową i — trzask! — będzie po wszystkim.

— To znaczy po czym? — zapytał, zafascynowany jej wieszczą pewnością siebie.

— Nie wiem! — odparła i podniosła kolejne prześcieradło. — Może razem uciekną. Może zrobią coś innego. Wiem tylko, że Kostant wie, co go spotka, i że będzie na to czekał.

— Dobra, jeśli tyle wiesz, to co czeka ciebie?

Szeroko się uśmiechnęła, błyskając ku niemu ciemnymi oczyma.

— Mężczyźni! — fuknęła niczym kotka, a wokół niej trzepotały i wydymały się prześcieradła i koszule, bielejące w rozbłyskach słońca.

Minał styczeń, pokrywszy monotonną równinę śniegiem, luty z szarym niebem przesuającym się powoli nad równiną z północy na południe dzień po dniu; była to długa i ostra zima. Kostant Fabbre czasami podjeżdżał na wozie do kamieniołomów Chorin leżących na północ od miasta i stał, obserwując pracę, zespoły ludzi i szeregi wozów, przetaczające się wagoniki, biel śniegu i brudną biel świeżo wykutego wapnia. Do wysokiego mężczyzny wspartego na lasce podchodzili znajomi, pytając o zdrowie i kiedy wraca do pracy.

— Jeszcze kilka tygodni — odpowiadał.

Zgodnie z żądaniem towarzystwa ubezpieczeniowego, firma dała mu zwolnienie do kwietnia. On sam czuł się zdrowy, potrafił wrócić do miasta bez pomocy laski, bezczynność okrutnie go mierzyla. Wracał do "Białego Lwa" i siedział tam w pełnym dymu mroku i ciepła, dopóki nie przychodzili kamieniarze, zwalniani do domów o czwartej z powodu śniegu i ciemności. Ciepło ciał tych rosnących, silnych mężczyzn sprawiało, że aż pociły się szyby, a cała sala rozbrzmiewała pomrukiem ich głosów. O piątej przychodził Stefan, drobny chłopak w białej koszuli i lekkich butach, stanowiąc wśród kamieniarzy dziwną postać. Zwykle podchodził do stolika Kostanta, ale ostatnio nie byli ze sobą w dobrych stosunkach. Każdy z niecierpliwością czekał na ruch tego drugiego.

— Dobry wieczór — powiedział z uśmiechem Martin Sachik, zmęczony, krzepki młodzieniec. — Dobry wieczór, Stefanie.

— Dla ciebie, chłopcze, jestem panem Fabbre — rzekł Stefan swoim miękkim głosem, który jednak wybijał się na tle spokojnego pomruku męskich głosów przypominających brzęczenie pszczoł. Martin, który już minął ich stolik, postanowił nie zwracać na niego uwagi.

— Dlaczego tak go traktujesz? — rzucił Kostant.

— Bo nie zamierzam być po imieniu z synem każdego gościa, który pracuje w kamieniołomach. Ani z każdym gościem. Masz mnie za miejscowego idiotę?

— Czasami tak się zachowujesz — rzekł Kostant, opróżniając kufel.

— Dostyc już mam twoich rad.

— A ja twojego zarozumiałstwa. Jeśli tutejsze towarzystwo ci nie odpowiada, idź do “Dzwonu”.

Stefan wstał, rzucił na stół pieniądze i wyszedł.

Był pierwszy marca; na północy niebo wiszące nad miastem wydawało się ciężkie, pozbawione światła; jednak w pewnym miejscu chmury kończyły się krawędzią srebrzystego błękitu i dalej aż po horyzont powietrze było błękitne i puste, tylko nad zachodnimi wzgórzami wisiał sierp księżycy, a tuż obok niego gwiazda wieczorna. Stefan szedł w ciszy, mając za plecami milczący wiatr. Wtedy, w domu, ściany zamknęły jego wściekłość, która stała się czymś kwadratowym, ciemnym i zatęchłym, pełnym kantów stołów i krzeseł, i podświetlonym na żółto przez lampę naftową. Jej szkło wymknęło mu się z ręki niczym żywe zwierzątko i rozbiło z przenikliwym brzękiem o kant stołu. Zbierał na czworakach kawałki szkła, kiedy wszedł jego brat.

— Dlaczego szedłeś za mną?

— Przyszedłem do własnego domu.

— Czy muszę więc wrócić do “Lwa”?

— Idź, gdzie ci się żywnie podoba. — Kostant usiadł i wziął do ręki gazetę z poprzedniego dnia. Stefan, wciąż klęcząc z kawałkami szkła na dłoni, odezwał się:

— Posłuchaj. Wiem, dlaczego chcesz, żebym głaskał młodego Sachika po głowie. Po pierwsze, on uważa cię za Boga Wszechmogącego, i to jest miłe. Po drugie ma siostrę. A ty chcesz, żeby jedli ci z ręki, tak? Jak wszyscy inni? Otóż jest ktoś, kto nie będzie tego robił, i może ci popsuć całą zabawę. — Wstał, wyszedł do kuchni i wrzucił szkło z rozbitej lampy do kosza na śmieci, stojącego obok sterty brudnych ubrań z całego tygodnia. Przez chwilę przypatrywał się swej dłoni: ze zgięcia środkowego palca sterczała szklana drzazga. Widocznie, mówiąc do Kostanta, zacisnął dłoń. Wyjął szkło i przytknął krwawiący palec do ust. Do kuchni wszedł Kostant.

— Kto i jaką ma mi popsuć zabawę, Stefanie? — zapytał.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Powiedz, kogo i co masz na myśli.

— Ekatę. Do czego ci ona jest w ogóle potrzebna? Nie potrzebujesz jej. Nie potrzebu-

jesz niczego. Jesteś wielkim, cynowym bogiem.

— Zamknij się.

— Nie rozkazuj mi! Na Boga, ja też potrafię wydawać rozkazy. Trzymaj się od niej z daleka. Jaja dostanę, a nie ty, sprzątnę ci ją sprzed nosa... — wielkie ręce Kostanta chwyciły Stefana za ramiona i potrząsnęły nim tak, że głowa zatańczyła mu w przód i w tył. Stefan wyrwał się i zamachnął pięścią prosto w twarz Kostanta, lecz jednocześnie poczuł taki wstrząs, jak przy doczepianiu wagonu do składu pociągu. Upadł na plecy na stos brudnych ubrań.

Głową uderzył o podłogę z głuchym trzaskiem, niczym upuszczony arbuz.

Kostant stał wparty plecami w kuchenkę. Popatrzył na kostki u prawej ręki, a potem na twarz Stefana — była śmiertelnie blada i dziwnie spokojna. Kostant wziął ze sterty ubrań poszewkę na poduszkę, zmoczył ją pod kranem i ukląkł przy bracie. Trudno mu było to zrobić, ponieważ prawą nogę wciąż miał sztywną. Wytarł cienką, ciemną strużkę krwi, która wyciekła z ust Stefana. Jego twarz drgnęła, chłopak westchnął, zamrugał oczyma i spojrzał na Kostanta, patrząc na niego z niejasnym zainteresowaniem, niczym niemowlę.

— Tak lepiej — rzekł Kostant. Był bardzo blady.

Stefan podparł się ręką.

— Upadłem — powiedział słabym, pełnym zaskoczenia głosem. Znow spojrzał na Kostanta i rysy twarzy zaczęły mu twardnieć.

— Stefanie...

Stefan wstał na czworaki, a potem stanął na nogach. Kostant spróbował ująć go za ramię, lecz Stefan podszedł chwiejnie do drzwi, chwilę mocował się z zamkiem, i wypadł na dwór. Kostant patrzył, jak przeskakuje płot, przecina podwórko wdowy Katalny i długimi, twardymi susami sady ulicą Gulhelma. Starszy brat stał w drzwiach kilka minut ze stężałą w smutku twarzą. Następnie odwrócił się, podszedł do drzwi frontowych, wyszedł z domu i ruszył ulicą Gulhelma najszybciej jak potrafił. Czarne chmury pokryły prawie całe niebo, jedynie na południu zostawiając wąski pasek błękitno-zielonego przestworu; księżyc i gwiazdy zniknęły. Kostant poszedł ścieżką do Zachodniego Kamieniołomu. Przed sobą nikogo nie widział. Dotarł do krawędzi kamieniołomu i zobaczył, że woda jest spokojna i ciemna, odbijając śnieg, który jeszcze nie spadł. Zawołał raz brata po imieniu. Od wysiłku, jakiego wymagał bieg, paliło go w płucach i wyschło mu gardło. Nie było odpowiedzi. To nie imię jego brata powinno zostać wykrzyczane tu, na skraju zniszczonego kamieniołomu. To było niewłaściwe imię, nieodpowiedni czas. Kostant odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku ulicy Gulhelma, idąc powoli i nieco utykając.

— Muszę pojechać do Kolie — powiedział Stefan.

Właściciel stajni wpatrywał się w jego zakrwawiony podbródek.

Jest ciemno. Drogi są oblodzone.

— Chyba ma pan jakiegoś konia podkutego na ostro. Zapłacę podwójnie.

— Nnnooo...

Stefan wyjechał z podwórza stajni, lecz zamiast w lewo w kierunku Kolie, skręcił w prawo, w ulicę Ardure prowadzącą do Verre. Stajenny coś za nim krzyczał. Stefan ścisnął konia łydkami. Wierzchowiec zakłusował, a kiedy skończyła się bita ulica, ruszył ciężkim galopem. Pasma błękitnej zieleni na południowym zachodzie zachwiało się i odpłynęło, Stefan pomyślał, że spada, chwycił się łąku siodła, ale nie ściągnął wodzy. Kiedy koń zmęczył się i przeszedł do stępa, była już noc, ziemię i niebo okryła ciemność. Koń parsknął, siodło skrzypiało, wiatr syczał w zamarzniętej trawie. Stefan zsiadł i starannie przepatrzył grunt. Koń trzymał się drogi i stał w odległości trzech kroków od kolein. Ruszyli dalej, koń i człowiek; siedząc w siodle, człowiek nie widział kolein; pozwolił koniowi iść drogą przez równinę, samemu nie idąc żadną drogą.

Po długim czasie w kołyszącej się ciemności coś lekko dotknęło jego twarzy.

Uniół rękę do policzka. Prawa strona szczęki napuchła i zeszywniała, a prawą dłoń, w której trzymał wodze, zimno ścisnęło tak mocno, że kiedy spróbował zmienić chwyt, nie wiedział, czy w ogóle udało mu się poruszyć palcami. Był bez rękawiczek, chociaż miał na sobie zimowy płaszcz, którego nie zdjął po przyjściu do domu, kiedy stłukła się lampa, dawno temu. Przełożył wodze do lewej dłoni, a prawą włożył pod płaszcz, żeby ją ogrzać. Koń kłusował cierpliwie ze zwieszoną głową. Znowu coś bardzo delikatnie dotknęło twarzy Stefana, muskając jego policzek, rozpaloną, rozbitą wargę. Nie widział płatków. Były miękkie i nie sprawiały wrażenia zimnych. Czekał na delikatny, nieprzewidywalny dotyk śniegu. Znowu zmienił ręce na wodzach i wsunął lewą dłoń pod szorstką, wilgotną grzywę konia, dotykając ciepłej sierści. Dotyk ten sprawiał przyjemność im obu. Wyteżając wzrok, Stefan widział, gdzie styka się niebo i horyzont, albo tak mu się wydawało, lecz równina zniknęła. Zniknął sufit nieba. Koń stąpał po ciemności, pod ciemnością, przez ciemność.

W pewnej chwili w mroku niczym zapalka zapłonęło słowo “zabłądzić” i Stefan spróbował zatrzymać konia, żeby zsiąść i poszukać kolein, lecz zwierzę szło dalej. Stefan oparł na łąku siodła zdrewniałą rękę, w której trzymał wodze i poddał się ruchowi wierzchowca.

Po chwili koń uniół głowę i zmienił rytm kroków. Stefan schwycił wilgotną grzywę, uniół chwiejnie głowę, mruganiem usiłował rozpędzić splątaną pajęczynę światła. Przez zasłaniające widok kryształki lodu na powiekach zobaczył, że światło robi się kwadratowe i żółtawe: to okno. Jakież dom stoi tu samotnie na bezkresnej równinie? Po obu stronach Stefana wyrosły niewyraźne bryły — wystawy sklepowe, ulica. Przyjechał do Verre. Koń zatrzymał się i westchnął tak głęboko, że aż zaskrzypiał popręg. Stefan nie pamiętał, żeby wyjeżdżał ze Sfaroy Kampe. Siedział na spoconym koniu na jakiejś

ciemnej ulicy. Na pierwszym piętrze świeciło się w oknie. Śnieg padał rzadkimi zlepkami płatków, jakby ktoś go ciskał garściami. Nie było go wiele, topił się natychmiast po zetknięciu z ziemią. Stefan podjechał do domu z oświetlonym oknem i zawołał:

— Którędy do Lotimy?

Otworzyły się drzwi, w snopie światła zawirował lśniący śnieg.

— Jest pan lekarzem?

— Nie. Którędy do Lotimy?

— Na następnym zakręcie w prawo. Jeżeli spotka pan lekarza, proszę mu powiedzieć, żeby się pośpieszył!

Koń opuścił wioskę niechętnie, kulejąc na jedną, a potem na drugą nogę. Stefan nie opuszczał głowy, wyglądając świtu, który chyba musiał być już blisko. Jechał teraz na północ, śnieg wiał mu w twarz, oślepiając go, choć i tak było ciemno. Droga prowadziła w górę, w dół, znów pod górę. Koń zatrzymał się, a kiedy Stefan nie zareagował, skręcił na lewo, postawił kilka chwiejnych kroków, znów zatrzymał się i zarżał. Stefan zsiadł i upadł na czworaki, ponieważ nogi miał zbyt sztywne, żeby utrzymały jego ciężar. Nad dziurą w bocznej drodze leżało kilka drągów, zagradzających przejście bydłu. Stefan zostawił konia i na oślep poszedł drogą do domu, który nagle wzniósł się przed nim ciemną ścianą i ośnieżonym dachem. Znalazł drzwi, zapukał, odczekał, znów zapukał; stuknęło okno i nad jego głową odezwał się śmiertelnie przestraszony kobiecy głos:

— Kto tam?

— Czy to gospodarstwo Sachików?

— Nie! Kto tam?

— Czy minąłem Sachików?

— Jest pan lekarzem?

— Tak.

— Przedostatnie gospodarstwo po lewej. Chce pan lampę, panie doktorze?

Zeszła na dół i dała mu lampę i zapalki; sama trzymała świecę, która oślepiła go na tyle, że nie widział jej twarzy.

Szedł teraz przy głowie konia, trzymając lampę w lewej ręce, a wodze w prawej tuż przy pysku. Posłuszny, cierpliwy, utykający koń i wilgotna ciemność jego oka w blasku latarni sprawiały Stefanowi wielką przykrość. Szli bardzo powoli. Stefan wyglądał świtu.

Dom zamajaczył po jego lewej ręce, kiedy już prawie go minął; to śnieg, ubity przez wiatr na jego północnej ścianie, odbił światło lampy. Zawrócił konia. Zaskrzypiały zawiasy bramy. Wokół zaczerniły się zabudowania gospodarskie. Stefan zastukał, zaczekał, znów zastukał. W domu zamigotało światło, otworzyły się drzwi, znowu oślepiła go świeca trzymana na poziomie oczu.

— Kto to?

- To ty, Ekato — powiedział.
- Kto to? Stefan?
- Chyba przeoczyłem drugie gospodarstwo, to pośrodku.
- Wejdz...
- Koń. Czy to stajnia?
- Tam, na lewo...

Dobrze się czuł, kiedy znalazł koniowi stanowisko, obrabował deresza Sachików z siana i wody, znalazł jakiś worek i trochę wytarł swego konia; sądził, że wszystko to dobrze mu poszło, ale gdy wrócił do domu, kolana się pod nim ugięły i Stefan ledwo widział pokój czy Ekate, która wciągnęła go za rękę do środka. Na coś białego — koszulę nocną — narzuciła płaszcz.

— Och, chłopcze — rzekła — przyjechałeś z Kampe?

— Biedny stary koń — powiedział i uśmiechnął się. Jego głos wypowiedział te słowa w chwilę potem, kiedy pomyślał, że je wypowiedział. Usiadł na kanapie.

— Zaczekaj tu — zarządziła. Wydawało się, że na chwilę wyszła z pokoju, a potem wkłada mu do rąk napełniony kubek. Wypił; płyn był gorący; pieczenie winiaku obudziło go na tyle, że patrzył, jak Ekata rozgrzebuje żar i kładzie nań drewno.

— Chciałem z tobą porozmawiać, wiesz? — odezwał się i zasnął.

Zdjęła mu buty, ułożyła jego nogi na kanapie, wyjęła koc i nakryła nim Stefana, ożywiła leniwy ogień. Stefan ani drgnął. Zgasiła lampę i po ciemku wymknęła się z powrotem na górę. Jej łóżko stało przy oknie w pokoju na poddaszu i Ekata widziała lub wyczuwała, że w ciemności na zewnątrz miękko pada gęsty śnieg.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Usiadła, widząc na ścianach i suficie równy blask śniegu. Do pokoju zajrzał jej wuj. Miał na sobie żółtawobiałą wełnianą bieliznę, a jego włosy sterczały niczym druty wokół placka łysiny. Białka oczu miał tego samego koloru, co bieliznę.

— Kto jest na dole?

Nieco później Ekata wyjaśniła Stefanowi, że jechał do Lotimy w interesach Towarzystwa Chorin, że wyjechał z Kampe w południe, że zatrzymał go kamień pod podkową konia, a potem śnieg.

— Dlaczego? — zapytał, najwyraźniej niewiele rozumiejąc. Jego twarz, zmęczona i rozszpana, wyglądała bardzo dziecinnie.

— Musiałam im coś powiedzieć.

Podrapał się w głowę.

— O której przyjechałem?

— Koło drugiej nad ranem.

Przypomniał sobie, jak wyglądał świtu, który miał nastać dopiero za kilka godzin.

— Po co przyjechałeś? — zapytała Ekata. Sprzątała ze stołu po śniadaniu; miała su-

rową twarz, chociaż mówiła cicho.

— Pobiliśmy się z Kostantem — odparł Stefan.

Znieruchomiała z dwoma talerzami w rękach i spojrzała na mego.

— Chyba nie myślisz, że coś mu zrobiłem? — Roześmiał się. Kręciło mu się w głowie, był zmęczony, spokojny. — Przewrócił mnie. Chyba nie sądzisz, że mógłbym go pobić?

— Nie wiem — rzekła Ekata z bólem.

— Zawsze przegrywam w bójkach. I uciekam.

Przez pokój przeszedł głuchy mężczyzna, ubrany w grube buty i stary płaszcz z kóców; wciąż padało.

— Nie pojedzie pan dzisiaj, panie Stefanie — odezwał się z zadowoleniem swoim głośnym, monotonnym głosem. — Tomas mówi, że koń okulał na cztery nogi.

Była o tym mowa przy śniadaniu, lecz głuchy mężczyzna tego nie słyszał. Nie zapytał o zdrowie Kostanta, a kiedy zrobił to później, w jego zadowolonym głosie brzmiała ta sama złośliwość:

— A pański brat na pewno wrócił do kamieniołomu, co? — Nawet nie usiłował dośłyszeć odpowiedzi.

Stefan spędził większość dnia śpiąc przy ogniu. Tylko kuzynka Ekaty była go ciekawa. Kiedy przygotowywały z Ekatą kolację, zapytała:

— Podobno ma przystojnego brata.

— Kostant to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego znam. — Ekata uśmiechnęła się, nie przerywając siekania cebuli.

— Nie wiem, czy tego nazwałabym przystojnym — ciągnęła kuzynka nieśmiało.

Ekacie chciało się płakać przez cebulę; roześmiała się, wytarła nos, potrząsnęła głową.

— O, nie — odparła.

Po kolacji Stefan spotkał ją, kiedy wracała do kuchni, zaniósłszy świniom obierki i pomyje. Miała na sobie płaszcz ojca, na buty włożyła drewniaki, a na głowę swoją czarną chustkę. Razem z nią wpadł do kuchni lodowaty wiatr, z którym przez chwilę się mocowała, zamykając drzwi.

— Przejaśnia się — powiedziała. — Wiatr wieje z południa.

— Ekato, czy wiesz, po co tu przyjechałem...

— A czy ty wiesz? — zapytała, podnosząc na niego wzrok i stawiając wiadro na podłodze.

— Wiem.

— To ja chyba też.

— Nigdzie nie ma miejsca — powiedział z wściekłością, słysząc zbliżające się ciężkie kroki wuja.

— Jest mój pokój — rzekła niecierpliwie. Ściany były jednak cienkie, kuzynka spa-

ła w sąsiednim pomieszczeniu, a jej rodzice po drugiej stronie schodów; Ekata zmarszczyła gniewnie czoło i rzekła: — Nie. Zaczekaj do rana.

Wczesnie rano kuzynka wybrała się drogą na spacer. Wróciła po półgodzinie, rozpryskując butami wypchanymi słomą topniejący śnieg i błoto. Żona gospodarza z sąsiedniego domu oznajmiła:

— Powiedział, że jest lekarzem, zapytałam, kto u was zachorował. Dałam mu lampę, było tak ciemno, że nie widziałam jego twarzy, myślałam, że to lekarz, tak mówił.

Kuzynka z radością przeżuwała te słowa, zastanawiając się, czy przedstawić je Stefanowi, Ekacie, czy może im obojgu w obecności świadków, kiedy zza zakrętu po ośnieżonej, oświetlonej słońcem pochyłości drogi wyjechały kłusem dwa konie: ten wynajęty ze stajni i stary deresz. Jechali na nich Stefan i Ekata; oboje się śmiali.

— Dokąd jedziecie? — zawołała kuzynka, drżąc.

— Uciekamy! — odkrzyknął młodzieniec. Minęli ją, rozpryskując kałuże w kawałki brylantów na marcowym słońcu, i zniknęli.

tydzień na wsi

Pewnego słonecznego poranka 1962 roku w Cleveland w stanie Ohio w Krasnoy padało, a ulice między szarymi ścianami były pełne ludzi.

— Pada mi za kołnierz — poskarżył się Kasimir, lecz jego przyjaciel w sąsiednim stanowisku ulicznej toalety nie usłyszał go, bo sam mówił:

— Konieczność historyczna to sołecyzm, bo czymże jest historia, jeśli nie tym, co musiało się stać? Nie można tego jednak rozszerzać. Co będzie dalej? Bóg jeden wie!

Kasimir wyszedł za nim, zapinając guziki spodni, i spojrzał na małego chłopca, który patrzył na trzymetrową czarną trumnę, wspartą o toaletę.

— Co w niej jest? — zapytał chłopiec.

— Ciało mojej stryjecznej babki — wyjaśnił Kasimir. Podniósł trumnę i ruszył ze Stefanem Fabbre szybkim krokiem przez deszcz.

— Farsa, determinizm to farsa. Wszystko, byle tylko uniknąć nabożnego zdumienia. Pokaż mi nasienie — rzekł Stefan Fabbre, zatrzymując się i pokazując palcem na Kasimira. — Tak, mogę ci powiedzieć, co to jest, nasienie jabłka. Ale czy mogę ci powiedzieć, że wyrośnie z niego jabłko? Nie! Bo nie istnieje wolność, sądzimy, że istnieje prawo. Nie ma jednak żadnego prawa. Jest wzrost i śmierć, zachwyty i przerażenie, otchłany, a resztę wymyślamy sami. Spóźnimy się na pociąg. — Dalej przepychali się ulicą Tiypontiy, zaczęło bardziej padać. Stefan Fabbre szedł, wymachując teczką. Mocno zacisnął usta, a jego blada twarz lśniła wilgocią.

— Dlaczego nie grasz na pikolo? Daj mi to na chwilę — powiedział, gdy Kasimir zaplątał się w urzędnika biegnącego do autobusu.

— Nauka dźwigająca brzemień Sztuki — rzekł Kasimir. — Ciężkie, co?

Jego przyjaciel dźwignął futerał i poniósł go dalej, marszcząc brwi. Zanim dotarli do Dworca Zachodniego, dyszał. Na peronie zalewanym deszczem i spowitym kłębamipary biegli jak wszyscy inni, słyszeli przenikliwe gwizdanie i bardzo ważne komunikaty w sanskrycie dobiegające z głośników. Wpadli do pierwszego wagonu. Byli wyczerpani. Wszystkie przedziały były puste. Odjeżdżał inny pociąg, zatłoczony pociąg podmiejski.

Siedzieli spokojnie przez dziesięć minut.

— Czy w tym pociągu nie ma nikogo oprócz nas? — zapytał z przygnębieniem w głosie Stefan Fabbre, stojąc przy oknie. Wtem do wtóru wysokiego gwizdu ściany cofnęły się. Krople deszczu na szybie zadrżały i zlały się ze sobą, tory spłotły się na wiadukcie, dwaj młodzi mężczyźni patrzyli w okna sypialni i na ceglane ściany z namalowanymi olbrzymimi literami. Nagle w ciemnym od deszczu wieczorze odpływającym w tył, ku wschodowi, nie zostało nic oprócz linii wzgórz malującej się czernią na tle bezbarwnego, przejaśniającego się nieba.

— Wieś — odezwał się Stefan Fabbre.

Wyjął spomiędzy skarpetek i podkoszulków upakowanych do teczki czasopismo biochemiczne, włożył okulary w ciemnej oprawce i zaczął czytać. Kasimir odgarnął z czoła wilgotne, czarne włosy, przeczytał tabliczkę na ramie okna NIE WYCHYLAĆ SIĘ, popatrzył na trzęsące się ściany i deszcz drgający na szybie, zasnął. Śniło mu się, że wokół niego wałęsają się ściany. Obudził się ze strachu, kiedy wyjeżdżali z Okats. Stefan wyglądał przez okno. Jego blada twarz i czarne włosy potwierdzały izolację i katastrofę snu Kasimira.

— Nic nie widać — rzekł. — Noc. Wieś to jedyne miejsce, gdzie ostała się jeszcze noc.

Patrzył poprzez odbicie własnej twarzy w noc, która napełniała mu oczy błogosławioną ciemnością.

— A więc siedzimy w pociągu jadącym do Aisnar — powiedział Kasimir — ale nie wiemy, czy on jedzie do Aisnar. Równie dobrze mógłby jechać do Pekinu.

— Mógłby się wykoleić, a my wszyscy zginęlibyśmy. A jeśli przyjedziemy do Aisnar? Co to jest Aisnar? Zaledwie pogłoska.

— To chorobliwe — rzekł Kasimir, znów widząc wałęsające się ściany.

— Nie, radosne — odparł jego przyjaciel. — Jeśli spojrzeć na sprawę z tej strony, to utrzymanie świata wymaga wiele wysiłku. Ale warto go podjąć. Budować miasta, podtrzymywać dachy przez akt wierności. Nie wiary. Wierności. — Patrzył w okno przez odbicie własnych oczu. Kasimir poczęstował go kawałkiem czekolady podobnej do błota. Przyjechali do Aisnar.

Na wyłożone złotem, źle oświetlone ulice padał deszcz, a na Placu Południowym pod ociekającymi sykomorami czekał na pasażerów autobus do Vermare i Prevne. Futerał jechał na tylnym siedzeniu. Między fotelami chodziło kurczę na sznurku, grzebiąc nogami w poszukiwaniu ziarna. Drugi koniec sznurka trzymała kobieta o nastroszonych włosach. Pijany robotnik rolny mówił coś głośno do kierowcy, a rozklekotany autobus wyjechał z Aisnar na południe w wiejską noc, tę samą noc, błogosławioną ciemność.

— Więc mówię do niego, mówię, że nie wiadomo, co się zdarzy jutro...

— Posłuchaj — powiedział Kasimir — jeśli wszechświat jest nieskończony, czy zna-

czy to, że wszystko, co może się zdarzyć, ma gdzieś miejsce o jakiejś porze?

— W sobotę, mówi, że w sobotę.

— Nie wiem. Pewnie tak. Ale my nie wiemy, co jest możliwe. Dzięki Bogu. Gdybyśmy wiedzieli, to strzeliłbym sobie w łeb.

— Przyjdź w sobotę, mówi, a ja mu odpowiadam, niech diabli porwą sobotę, mówię.

W Vermare deszcz padał na ruiny Twierdzy, a pijak wysiadł, zostawiając za sobą ciżbę. Stefan Fabbre wyglądał ponuro, powiedział, że boli go gardło, i zapadł w szybki, znużony sen. Głowa podskakiwała mu za każdym razem, kiedy autobus trafiał na koleiny i wyboje podgórskiej drogi. Jechali na zachód, przebijając reflektorami tunel w nieprzeniknionej czerni. Nagle nad autobusem pochyliło się wielkie drzewo, dąb, by go osłonić. Otworzyły się drzwi, wpuszczając świeże powietrze, błyski latarek, wysokie buty i czapki. Kasimir odgarnął do tyłu jasne włosy i powiedział cicho:

— Tak jest zawsze. Jesteśmy zaledwie sześć mil od granicy. — Pomacali w kieszeniach na piersi, podali to, co z nich wyjęli.

— Fabbre Stefan, zamieszkały przy ulicy Tome 136, Krasnoy, student, MR 64100282A. Augeskar Kasimir, zamieszkały przy ulicy Sorden 4, Krasnoy, student, MR 80104944A. Dokąd jedziecie?

— Do Prevne.

— Obaj? W interesach?

— Na wakacje. Tydzień na wsi.

— Co to takiego?

— Futerał na wiolonczelę.

— Co w nim jest?

— Wiolonczela.

Futerał został postawiony, otwarty, zamknięty z powrotem, wyciągnięty na zewnątrz, położony na ziemi, znów otworzony i wśród błysków latarek, nad błotem, wysokimi butami, sprzączkami u psów i czapkami stanęła olbrzymia wiolonczela, krucha i wspaniała.

— Nie stawiajcie jej na ziemi! — odezwał się ostrym tonem Kasimir, a Stefan stanął przed nim. Obmacywali ją, potrząsali.

— Ej, Kasi, czy to się odkręca?

— Nie, nie można jej rozebrać.

Gruby klepnął wspaniałą, lśniąca krzywizną drewna, mówiąc coś o swojej żonie; Stefan się roześmiał, lecz wiolonczela, trzymana przez inne ręce, przechyliła się, zazgrzytał kołek i na tle szumu deszczu i pomruku silnika autobusu na wolnych obrotach rozniosło się dźwięczne brzęknięcie, które natychmiast się urwało niczym struna wiolonczeli. Stefan chwycił Kasimira za ramię. Kiedy autobus znowu ruszył, usiedli obok sie-

bie w ciepłej, śmierdzącej ciemności. Kasimir powiedział:

— Przepraszam cię. Dzięki.

— Potrafisz to naprawić?

— Tak, pękł tylko kołek. Da się naprawić.

— Cholerny ból gardła. — Stefan przeciągnął dłonią po głowie i zatrzymał rękę na oczach. — Przeziębilem się. Cholerny deszcz.

— Jesteśmy już blisko Prevne.

W Prevne drobniutki deszczyk spływał na ulicę między dwiema latarniami. Za dachami coś majaczyło — drzewa, wzgórze? Nikt nie wyszedł im na spotkanie, ponieważ Kasimir zapomniał napisać, kiedy przyjadą. Wróciwszy od jedyne publicznego telefonu, przysiadł się do Stefana i futerału na wiolonczelę, tkwiących za stolikiem w Barze Pocztwo-Telefonicznym.

— Ojciec pojechał samochodem do pacjenta. Możemy iść piechotą albo czekać tutaj. Przepraszam. — Jego pociągła, uczciwa twarz pełna była zniechęcenia i skruchy. — To tylko kilka mil.

Wyruszyli. Szli w milczeniu wiejską drogą między polami w deszczu i ciemności. Pachniało wilgotną ziemią. Kasimir zaczął gwizdać, ale zaraz przestał, bo deszcz moczył mu wargi. Było tak ciemno, że szli powoli, nie widząc, gdzie stawiają nogi ani czy droga jest wyboista, czy równa. Było tak cicho, że słyszeli poszept deszczu na polach. Szli pod górę. Przed nimi zamajaczyło wzgórze, ciemniejsza ciemność. Stefan zatrzymał się, żeby postawić wilgotny kołnierz płaszcza oraz dlatego, że zakręciło mu się w głowie. Kiedy znów ruszył w chłodnej, szepczącej wiejskiej ciszy, usłyszał cichy, czysty dźwięk — śmiech dziewczyny dobiegający zza wzgórza. Na jego szczyt wyskoczyły lśniące, rozbiegane światełka.

— Co to? — zapytał i zatrzymał się z niepokojem w przerwanej ciemności.

Jakieś dziecko zawołało:

— Tu są!

Światła nad nimi zatańczyły i zeszyły na dół, otoczyły ich lampy, latarki, okrzyki, twarze i ręce to oświetlone, to znów znikające w nocy; jeszcze raz tuż obok niego rozległ się ten słodki śmiech.

— Ojciec nie wracał, ty nie przychodziłeś, więc wyszliśmy ci wszyscy na spotkanie.

— Przyprowadziłeś przyjaciela, gdzie on jest?

— Cześć, Kasi! — Jasna głowa Kasimira pochyliła się ku innej głowie, oświetlonej blaskiem lampy.

— Gdzie twoje skrzypki, nie przywiozłeś ich?

— Pada tak cały tydzień.

— Zostawiłem u pana Praspayetsa w Pocztwo-Telefonicznym.

— Chodźmy po nie, to śliczny spacer.

— Jestem Bendika, a ty Stefan? — Roześmiała się, kiedy nawzajem szukali swoich rąk w ciemności, żeby je sobie podać; odwróciła lampę i okazało się, że ma ciemne włosy i dorównuje wzrostem bratu. Była jedyną osobą z nich wszystkich, którą zobaczył wyraźnie, zanim zawrócili i zaczęli schodzić z dół, rozmawiając, śmiejąc się, oświetlając latarkami drogę i przydrożne chwasty albo gęste od deszczu powietrze. Widział ich wszystkich przez chwilę w barze, kiedy Kasimir odbierał swoje przerośnięte skrzypce: dwóch chłopców, mężczyznę, wysoką Bendikę, młodą blondynkę, która ucałowała Kasimira, jeszcze jedną, młodszą od niej, zobaczył wszystkich naraz, a potem znów znaleźli się na drodze i Stefan się zastanawiał, która z trzech dziewcząt, a może było ich cztery, roześmiała się, zanim się spotkali. Chłodny deszcz padał mu na rozpaloną twarz. Mężczyzna szedł obok niego, oświetlając latarką drogę.

— Jestem Joachim Bret — przedstawił się.

— Enzymy — odparł Stefan chrapliwie.

— Tak, a w czym pan się specjalizuje?

— W genetyce molekularnej.

— Nie! To fantastyczne! Pracuje więc pan z Metorem? Proszę mi powiedzieć, co nowego, dobrze? Macie dostęp do amerykańskich czasopism? — Przez pół mili rozmawiali o helisach, Bret ze swadą, Stefan lakonicznie, ponieważ wciąż kręciło mu się w głowie i wciąż czekał na ten śmiech; śmieli się jednak wszyscy i wciąż nie miał pewności. Po chwili zamilkli, tylko dwóch chłopców pobiegło naprzód, coś krzycząc.

— O, jest dom — rzekła idąca obok niego wysoka Bendika, pokazując ręką na żółtawy blask.

Jesteś jeszcze z nami, Stefanie? — zawołał gdzieś z ciemności Kasimir. Mruknął, że tak, mając im za złe tę niemądrą radość, bieganie, krzyki i śmiech, bocząc się na entuzjastycznego, rozgestykulowanego Breta, żółte okna, które oznaczały dom dla nich wszystkich, lecz nie dla niego. W domu pozbyli się wilgotnych płaszczy, rozbiegali się, mnożyli i powtórnie zebrali wokół stołu w wysokim, mrocznym pokoju przetykanym hałasem i światłem lamp — na kawę i ciasto wniesione przez matkę Kasimira. Poruszała się szybkim, spokojnym krokiem pod siwociemnobrązową koroną z warkoczy. Będąc matką siedmiorga dzieci i mając kształty wiolonczeli, wtopiła Stefana w resztę młodzieży, którą rozróżniała tylko po imionach. A byli to Valeria, Bendika, Antony, Bruna, Kasimir, Joachim, Paul. Żartowali i gawędzili; mała, czarnowłosa dziewczynka kwiczała ze śmiechu, jasne włosy Kasimira wpadały mu do oczu, dwaj jedenastoletni chłopcy sprzeczały się, chudy uśmiechnięty mężczyzna usiadł z gitarą, na której zaraz zaczął grać, nachylając nad instrumentem twarz o ostrych rysach; podobny był do wrony. Prawą dłoń uderzającą w struny miał lekko okaleczoną czy też zdeformowaną. Śpiewali wszyscy oprócz Stefana, który nie znał tych piosenek, którego bolało gardło i który nie chciał śpiewać, siedząc naburmuszony wśród śpiewaków. Wszedł doktor Augeskar. Potrząsnął ręką Ka-

simira, witając go i usuwając w cień, niczym wysoki król mający drobnego, nieprawdopodobnego następcę.

— Gdzie twój przyjaciel? Przepraszam, że nie mogłem po was wyjechać, miałem nagłe wezwanie. Wycięcie wyrostka robaczkowego na stole w jadalni. Zupełnie jakbym kroił gęś na Boże Narodzenie. Idź do łóżka, Antony. Bendiko, przynieś mi kieliszek. Joachimie? Pan, panie Fabbre? — Nalał czerwonego wina i usiadł z nimi przy wielkim, okrągłym stole. Znów śpiewali. Augeskar poddawał piosenki, prowadził inne głosy; wypełniał sobą pokój. Jasnowłosa córka flirtowała z nim, czarnowłose maleństwo głośno się zaśmiewało, Bendika droczyła się z Kasimirem, Bret zaśpiewał piosenkę miłosną po szwedzku; była dopiero jedenasta. Doktor Augeskar miał szare, przejrzyste oczy i jasne brwi. Stefan napotkał jego spojrzenie.

— Jest pan przeziębiony?

— Tak.

— To proszę iść do łóżka. Diano! Gdzie śpi pan Fabbre? Skruszony Kasimir zerwał się z krzesła, zaprowadził Stefana na górę przez korytarze i pokoje pachnące sianem i deszczem.

— Kiedy jest śniadanie?

— O każdej porze. — Kasimir nigdy nie wiedział, co się kiedy dzieje. — Dobranoc, Stefanie.

Była to jednak zła noc, podczas której okaleczona ręka Breta cały czas zrywała po kolei z dźwięcznym brzękiem wielkie, wijące się struny, a on sam wyjaśniał z uśmiechem: “Tak postępuje się z nimi na końcu”. Rano Stefan nie mógł wstać. Oświetlone słońcem ściany pochylały się nad jego łóżkiem, a niebo rozciągało się w oknach niczym wielki, błękitny balon. Leżał. Zakrył dłońmi sztywne jak druty włosy i jęknął. Do pokoju wszedł wysoki, złocistosiwý mężczyzna i oznajmił z niezachwianą pewnością:

— Jesteś chory, mój chłopcze. — To było jak balsam. Chory, jest chory, ściany i niebo są na miejscu. — Masz bardzo złą gorączkę — rzekł lekarz i Stefan, bliski łez, uśmiechnął się, czując się osobą złą, skapaną w obojętnej czułości tego rosnącego człowieka, który był równie królewski, pewny siebie i nieczuły, jak słońce na niebie. Do lasów, grot i małych, ciasnych pokojów jego gorączki nie docierał jednak żaden promień słońca, a po pewnym czasie nie docierała nawet i woda.

Dom stał cichy we wrześnie słońcu i ciemności.

Tej nocy pani Augeskar z kłębkem wełny, igłą i skarpetką, na chwilę znieruchomiały mi w jej rękach, uniosła zwieńczoną warkoczami głowę, nasłuchując tak, jak nasłuchiwała wiele lat temu płaczu pierwszego syna, Kasimira, który spał w kołysce na górze.

— Biedne dziecko — szepnęła. Bruna też uniosła swą jasną głowę, nasłuchując pierwszy raz, słysząc samotny krzyk dobiegający z lasów, w których nigdy nie była. Dom stał w milczeniu. Drugiego dnia chłopcy bawili się na dworze, dopóki nie spadł deszcz i nie

zapadła noc. Kasimir stał w kuchni, z kamienną twarzą, piłując na swoich przerośniętych skrzypcach, przy szyjce instrumentu. Nie przerwał gry, gdy do kuchni weszli inni, by przysiąść na stołkach, oprzeć się o zlew i rozmawiać, no bo przecież było ich siedmioro młodzieży na wakacjach i nie mogli milczeć. Pod warstwą ich głosów płynął głęboki, słaby, śpiewny, lecz pozbawiony słów głos wiolonczeli Kasimira niczym wołanie z głębi lasu, tak że Bruna, nagle straciwszy cierpliwość i uniezależniwszy się, samotnie, nie trzecia córka, nie czwarte dziecko ani jedna z młodzieży, wymknęła się i poszła na górę, żeby zobaczyć, jak wygląda ta ciężka choroba, ta śmiertelność.

Nie były do niczego podobne. Młodzieniec spał. Miał bladą twarz, włosy czarne na białym lnieniu: wyraźne jak wydrukowane słowa, lecz w obcym języku.

Zeszła na dół i powiedziała matce, że zajrzała do gościa, który spokojnie śpi; była to prawda, lecz nie cała. Przekonała się na górze, iż jest już gotowa odkryć drogę prowadzącą przez las; dojrzała i potrafi już umrzeć.

On był jej przewodnikiem, ten młody mężczyzna, który przyszedł z deszczu z zapaleniem płuc. Po południu piątego dnia znów poszła do jego pokoju. Leżał, wracając do zdrowia, słaby i zadowolony, rozmyślając o pewnym poranku przed dziesięciu laty, kiedy z ojcem i dziadkiem poszedł na spacer za kamieniołomy; o kwietniowym poranku na suchej równinie skąpanej w blasku słońca i niebieskich kwiatów. Kiedy minęli kamieniołomy Towarzystwa Chorin, zaczęli nagle mówić o polityce i Stefan zrozumiał, że wyszli z miasta na pustą równinę po to, by mogli pewne rzeczy powiedzieć na głos, by on mógł usłyszeć, co mówi ojciec:

— Zawsze wystarczy mrówek do zapełnienia wszystkich mrowisk — mrówek robotnic i mrówek żołnierzy.

Dziadek, kostyczny, zgorzkniały, kapryśny człowiek, w wieku siedemdziesięciu lat bardziej gniewny i łagodniejszy od swego syna i równie wrażliwy jak jego trzynastoletni wnuk, powiedział:

— To wyjedź, Kosta, dlaczego nie wyjedziesz?

Tylko się z nim droczył. Żaden z nich nie uciekłby ani nie wyjechał. Stefan, będąc już mężczyzną, szedł z dwoma innymi mężczyznami po nagiej równinie, niebieskiej od kwiatów krótkiego kwietnia; dzielili się z nim swoim gniewem, swoim jałowym, bezradnym uporem i krótkotrwałym błękitnym płomieniem swego gniewu. Rozmawiając pod otwartym niebem, dali mu klucz do domu męskości, więzienia, w którym żyli i w którym będzie żył on. Oni jednak znali inne domy. On nie. W pewnej chwili dziad, Stefan Fabbre, położył dłoń na ramieniu młodego Stefana, mówiąc do syna:

— Co zrobilibyśmy z wolnością, Kosta, gdybyśmy ją mieli? Co z nią zrobił Zachód? Zjadł ją. Wrzucił do brzucha. Zachód to wielki, cudowny brzuch. Z mądrą głową na górze, z głową człowieka, z umysłem i oczyma człowieka, ale reszta to wyłącznie brzuch. On już nie potrafi chodzić. Siedzi przy stole i bez końca je, wymyślając maszyny, któ-

re przynosiłyby mu coraz więcej jedzenia. Rzuca jedzenie czarnożółtym szczurom pod stołem, żeby nie podgryzały otaczających go ścian. On siedzi sobie tam, a my jesteśmy tu, nie mając w żołądkach nic oprócz powietrza, powietrza i raka, powietrza i wściekłości. Potrafimy jeszcze chodzić. Zostaliśmy więc ujarzmieni. Zaprzęgnięto nas do obcego pług. Kiedy czujemy jedzenie, ryczymy i kopujemy. Czy mimo to jesteśmy ludźmi, Kosta? Wątpię. — Przez cały czas nie zdejmował z ramienia wnuka czulej dłoni, spoczywającej tam niemal z szacunkiem, ponieważ chłopiec nigdy nie widział swojego dziedzictwa, bo urodził się w więzieniu, gdzie nic nie ma sensu, ani gniew, ani zrozumienie czy duma, nic nie ma sensu oprócz upor i wierności. One pozostają, mówił ciężar dłoni starca na jego ramieniu. Kiedy więc do jego pokoju, gdzie leżał słaby i zadowolony, przyszła blondynka, spojrzął na nią z owej skąpanej w słońcu, jałowej kwietniowej równiny z zaufaniem i otwartością, nie pamiętając w tej chwili, że jego deportowany dziadek zmarł w pociągu, a ojca zastrzelono razem z innymi czterdziestoma dwoma mężczyznami na równinie pod miastem na fali odwetu w roku 1956.

Jak się czujesz? — zapytała, a on odpowiedział:

— Dobrze.

— Przynieść ci coś?

Potrząsnął głową, tą samą czarnobiałą głową, która niedawno była dla niej wyraźna i niezrozumiała jak greckie słowa na białej kartce, teraz jednak miał otwarte oczy i mówił w jej języku. Ten sam głos, którego kilka nocy temu słabe wołanie dobiegało z czarnych lasów gorączki, z sąsiedztwa śmierci, teraz powiedział:

— Nie pamiętam twego imienia.

Miły człowiek z tego Stefana Fabbre, który jest skrupowany tym, że leży chory i zadowolony z jej odwiedzin.

— Jestem Bruna, uodziłam się po Kasim. Chciałbyś może poczytać? Może ci się nudzi?

— Nudzi? Nie. Nie wiesz, jak dobrze jest tak leżeć i nic nie robić, nigdy mi się to nie zdarzyło. Twój rodzice są tacy uprzejmi, a ten wielki dom, te pola... leżę sobie, myśląc: Boże, to ja? Wśród tego spokoju, wśród tej przestrzeni, w pokoju, który mam wyłącznie dla siebie, i nic nie robię?

Roześmiała się i po tym ją poznał: to ona śmiała się w deszczu i w ciemności, zanim na szczycie wzgórza pojawiły się światła. Jej jasne włosy były przedzielone pośrodku przedziałkiem i spadały w delikatnych splotach prawie do jasnych, gęstych brwi; jej oczy miały nieokreślony kolor, były szarobrazowe lub szare. Stefan słyszał teraz ten delikatny, radosny śmiech w domu, w blasku dnia. "O, piękności, o, piękna, dumna i nieokiełznana źrebico, przestraszona i niespokojna, delikatna roześmiana dziewczyno..."

Chcąc ją zatrzymać, zapytał:

— Zawsze tu mieszkasz? — A ona odpowiedziała:

— Tak, w lecie — i spojrzała na niego swymi nieokreślonymi, lśnącymi oczyma spod jasnych włosów. — A ty gdzie się wychowywałeś?

— W Sfaroy Kampe, na północy.

— Twoja rodzina jeszcze tam mieszka?

— Tak, siostra. — Pytała o rodzinę. Musi być bardzo niewinna, nawet bardziej nieuchwytna i nienaruszona od Kasimira, który umieścił swoją rzeczywistość poza zasięgiem czyichkolwiek rąk czy pytań o tożsamość. Nadal chcąc zatrzymać ją przy sobie, powiedział:

— Leżę tu i rozmyślam. Przemyslałem dzisiaj więcej spraw niż w ciągu ostatnich trzech lat.

— A o czym myślisz?

— O tym węgierskim szlachcicu, znasz tę historię? O tym, którego wzięli do niewoli Turcy i sprzedali jako niewolnika. To było w szesnastym wieku. Kupił go pewien Turek, zaprzął do pług jak wolu i orał nim pole, poganiając batem. Rodzinie Węgra w końcu udało się go wykupić. Wrócił do domu, chwycił za miecz i udał się na pole bitwy. Tam wziął do niewoli Turka, który go kupił, który był jego właścicielem. Zabrał go do swojej posiadłości. Zdjął z niego łańcuchy i kazał wyprowadzić na dwór. Biedny Turek rozglądał się za palem albo smołą, którą go nasmarują i podpalą, za psami albo przynajmniej za batem. Nie było jednak niczego. Tylko ten Węgier, człowiek, którego kupił i sprzedał. I Węgier powiedział: "Wracaj do domu..."

— Wrócił?

— Nie, został i przyjął chrześcijaństwo. Ale nie dlatego o tym myślę.

— A dlaczego?

— Chciałbym być szlachcicem — rzekł z uśmiechem Stefan Fabbre. Był to twardy, mocny człowiek, leżący w łóżku prawie pokonany, lecz nie pokonany. Uśmiechnął się, oczy zalśniły mu czernią; w wieku dwudziestu pięciu lat nie miał w sobie niewinności, żadnej pewności siebie, żadnej nadziei na zysk. Świadczył o tym ten czarny błysk, chłód jego spojrzenia. Leżał jednak, przyjmując to, co mu niósł los, człowiek drobny, lecz twardy, mający znaczenie i wagę. Dziewczyna spojrzała na jego mocne, krótkie dłonie leżące na kocu, a potem na rozświetlone słońcem okna i pomyślała o nim jako o szlachcicu, a także o jedynej rzeczy, jaką o nim wiedziała od Kasimira, który rzadko wspominał o faktach: że mieszka w Krasnoy w wynajętym pokoju z pięcioma innymi studentami i że mieszczą się w nim tylko trzy łóżka. Pokój o trzech wysokich oknach dźwięczał ciszą wrześnieowego popołudnia na wsi. Gdzieś daleko wśród pól rozległ się chłopięcy głos.

— W naszych czasach są na to małe szanse — rzekła przytłumionym, miękkim głosem, patrząc w dół, nie mając nic na myśli, całkowicie przygnębiona, zmęczona, bez czułości czy radości. Wyzdrowieje, wróci do miasta z tygodniowym opóźnieniem, do

trzech łóżek i pięciu współlokatorów, butów na podłodze, rdzy i włosów w umywalce, do sal wykładowych, laboratoriów, a potem do posady inspektora sanitarnego w państwowych gospodarstwach rolnych na północy i północnym wschodzie, do dwupokojowego mieszkania kwaterunkowego na przedmieściach miasta w pobliżu państwowych odlewni, do czarnowłosej żony, która uczy w trzeciej klasie z podręczników zaaprobowanych przez państwo, do jednego dziecka, dwóch legalnych aborcji i bomby wodorowej. O, czy nie ma żadnej drogi ucieczki, żadnej ucieczki? — Czy jesteś bardzo mądry?

— Jestem bardzo dobry w tym, co robię.

— Zajmujesz się nauką, prawda?

— Biologią. Badaniami.

Potem laboratoria zwyciężają; dwa pokoje zmienia się może w cztery na przedmieściach Krasnoy; dwoje dzieci, żadnych aborcji, dwutygodniowe letnie wakacje w górach, a potem bomba wodorowa. A może nie. Bez różnicy.

— Jakimi badaniami?

— Nad pewnymi molekułami. Nad molekularną strukturą życia. To było dziwne — struktura życia. Oczywiście zniżał się do jej poziomu; jej ojciec powiedział, że jeśli chodzi o życie, trudno cokolwiek opisać krótko. A zatem był dobry w odkrywaniu molekularnej struktury życia — ten mężczyzna, którego krzyk usłyszała, bezgłośny krzyk dobywający się z zajętych płuc, z mrocznego sąsiedztwa jego śmierci; on zawołał, jej matka szepnęła: “Biedne dziecko”, ale to ona odpowiedziała, ona poszła za nim. A teraz on przywracał ją do życia.

— Nie rozumiem — rzekła, wciąż nie podnosząc głowy. — Jestem głupia.

— Dlaczego dali ci na imię Bruna, skoro jesteś blondynką? Zaskoczona, podniosła wzrok i roześmiała się.

— Do dziesiątego miesiąca życia nie miałam włosów — Spojrzała, dostrzegając go po raz wtóry, i niech diabli wezmą przyszłość, skoro wszystkie możliwe przyszłości, jakie można sobie wyobrazić, to zardzewiałe zlewozmywaki, dwutygodniowe wakacje i bomby lub zbiorowe braterstwo albo harfy i hurysy — bez końca, obskurnie ponure, bo wszelka radość należy do terażniejszości i jej przeszłości, podobnie jak prawda oraz cała wierność słowu, ciału, obecnej chwili: bowiem przyszłość, jakkolwiek by na nią patrzeć, zawiera tylko jeden pewnik, a jest nim śmierć. Chwila jest jednak nieprzewidywalna. Po prostu nie można powiedzieć, co się zdarzy. Wszedł Kasimir z pękiem czerwonych i niebieskich kwiatów, mówiąc:

— Mama pyta, czy będziesz chciał na kolację grzankę z masłem w gorącym mleku.

— Placki owsiane, placki owsiane — zanuciła Bruna, układając chabry i maki w szklance Stefana. Owsiankę jadło się tutaj trzy razy dziennie, a także trochę drobiu, rzepy, ziemniaków; ich mały braciszek Antony hodował sałatę, matka gotowała, córki

sprzątały wielki dom; od narodzin Bruny nie było już mąki pszennej, wołowiny, mleka ani pokojówki. Rozbijali obóz w swoim wielkim wiejskim domu, mieszkali jak cyganie, mawiała matka — córka profesora urodzona w klasie średniej, wychowana i wydana za mąż w klasie średniej, poświęciła porządek, obfitość i swobodę bez słowa skargi, lecz nie pozbyła się ani odrobiny wnikliwości, której miała szczęście się nauczyć. Tak więc mimo całej swej łagodności Kasimir wciąż mógł uznawać się za nietkniętego. Podobnie Bruna wciąż myślała o sobie jako o drugiej po Kasimirze i pytała rozmówców o ich rodzinę. Stefan widział, że jest tu w fortocy, w rodzinie, w domu. Razem z Kasimirem i Bruna głośno się śmieli, kiedy do pokoju wszedł ojciec.

— Wynocha — zarządził doktor Augeskar, stojąc bohatercko i nieubłaganie w drzwiach, królsłońce czy też mit solarny; jego syn i córka wyszli, śmiejąc się i jak dzieci dając Stefanowi porozumiewawcze znaki za jego plecami. — Co za dużo, to niezdrowo — rzekł Augeskar, osłuchując Stefana, który leżał z poczuciem winy, uśmiechając się jak dziecko.

Siódmy dzień, kiedy Stefan i Kasimir powinni wrócić autobusem i pociągiem do Krasnoy, gdzie zaczynał pracę uniwersytet, był gorący. Po nim przyszła ciepła ciemność, otwarte okna, cały dom otwarty na chóry żab nad rzeką i chóry świerszczy w brzdach, a południowo-zachodni wiatr niósł nad suchymi, jesiennymi wzgórzami woń lasu. Między wydymającymi się i opadającymi zasłonami płonęło sześć gwiazd, tak jasnych na suchym, ciemnym niebie, że zasłony mogłyby się od nich zająć. Bruna siedziała na podłodze przy łóżku Stefana, Kasimir leżał w jego nogach niczym olbrzymi kłos pszenicy, a Bendika, której mąż pojechał do Krasnoy, karmiła piersią swego pięciomiesięcznego pierworodnego, siedząc na krześle przy zimnym kominku. Joachim Bret przysiadł na parapecie okna. Podwinął rękawy koszuli, odsłaniając na szczupłej ręce sinawe cyfry OA46992. Akompaniował sobie na gitarze do słów angielskiej pieśni skomponowanej na lutnię.

Bądź prawym i stałym, Miłość cud spłodzić może
Na kształt mrozu latem czy grzmotu w zimy porze:
Kto po kres życia dochowa swej lubej miłości,
Najbardziej ze wszystkich jest godzien zazdrości.

A potem, ponieważ lubił wychwalać i ganić miłość we wszystkich znanych sobie i nieznanych językach, zaczął brząkać "Plaisir d'Amour". Nie wyszła mu jednak zmiana tonacji, a w tej samej chwili Bendika osiągnęła sukces i niemowlęciu głośno się odbiło, co wywołało ogólną wesołość. Kasimir podrzucił niemowlę wysoko w górę do wtóru cichych protestów Bendiki:

— On jest najedzony, Kasi, uleje mu się.

— Jestem twoim wujem. Jestem wuj Kasimir, kieszenie mam pełne miętówek i od-pustów. Spójrz na mnie, szczeniaku! Nie waż się zwymiotować na wuja. Ani mi się waż. Zwymiotuj na ciotkę.

Dziecko popatrzyło bez zmrużenia oka na Brunę i zamachało rączkami; między ka-ftanikiem i pieluszką było widać jego tłusty, jedwabisty brzuszek. Dziewczyna oddała mu spojrzenie z równym spokojem

“Kim jesteś?” — mówiło niemowlę.

“Kim jesteś?” — odparła bez słów zdumiona panna. Między oświetlonym pokojem i ciemną, suchą, jesienną nocą szlochały radośnie ciche akordy w tonacji A wygrywane na gitarze przez Breta. Wysoka młoda matka zniosła niemowlę do łóżeczka, Kasimir zgasił światło. Teraz jesienna noc weszła do pokoju, a ich głosy odzywały się na tle chó-rów świerszczy i żab na polach, nad strumieniami.

— Bardzo sprytnie postąpiłeś, chorując — rzekł Kasimir, znów układając się w no-gach łóżka. Jego długie ręce świeciły w mroku bielą. — Choruj dalej, a będziemy tu mo-gli zostać całą zimę.

— Cały rok. Kilka lat. Naprawiłeś swoje skrzypczki?

— O, tak. Ćwiczyłem Schuberta. Pa, pa, pum, pa.

— Kiedy koncert?

— Kiedyś w październiku. Mnóstwo czasu. Pum, pum — pływaj sobie, pstrążku. A! — Długie, białe ręce niewyraźnie piłowały wiolonczelę zmierzchu.

— Dlaczego wybrałeś wiolonczelę, Kasimirze? — odezwał się spośród żab i świersz-czy, płynąc znad moczarów i bruzd, z parapetu, głos Breta.

— Bo jest nieśmiały — dał się słyszeć głos Bruny, niczym wiejski wiatr.

— Bo jest wrogiem tego, co wykonalne — odparł mroczny, suchy głos Stefana.

Cisza.

— Bo byłem niezwykle obiecującym młodym wiolonczelistą — odezwał się głos Ka-simira — i dlatego zmuszono mnie do zastanowienia się, czy chcę zagrać koncert Dvo-raka przed entuzjastyczną publicznością i zdobyć nagrodę Artysty Ludowego, czy nie? Wybrałem ciche mruczenie w tle. Pum, pa, pum. A kiedy umrę, złożcie moje ciało w fu-terale na wiolonczelę, zamroźcie je i wyślijcie ekspresem poleconym do Pabla Casalsa z karteczką “Ciało wielkiego środkowoeuropejskiego wiolonczelisty”.

W ciemności wiał gorący wiatr. Kasimir czuł się zmęczony, Bruna i Stefan byli goto-wi odejść, ale Joachim Bret nie. Opowiadał o człowieku, który pomagał przerzucać lu-dzi przez granicę; tu, na południowym zachodzie, krążyło o nim mnóstwo plotek; Bret powiedział, że jest młody, że siedział w więzieniu, uciekł, dotarł do Anglii i wrócił; wy-toczył trasę ucieczki, w ciągu dziesięciu miesięcy przerzucił ponad sto osób i został za-uważony dopiero teraz. Ściga go tajna policja.

— Walczy z wiatrakami? Zdrajca? Bohater? — zapytał Bret.

— Ukrywa się na strychu — rzekł Kasimir, a Stefan dodał:

— Ma już dość grzanek z masłem w mleku.

Robili uniki i nie chcieli wydać osądu; zdrada i wierność znaczyły dla nich bardzo wiele i wcale nie można ich było zważyć lepiej niż funt ciała, ich własnego ciała. Tylko Bret, który urodził się poza murami więzienia, był podekscytowany i uparty. Mówił, że w Preven aż się roi od agentów, którzy sprawdzają tożsamość człowieka, nawet jeśli szedł kupić gazetę.

— Już łatwiej mieć wytatuowany identyfikator, jak ty — rzekł Kasimir. — Przesuń nogę, Stefanie.

— To przesuń swój tłusty zadek.

— O, moje numery są niemieckie, przeterminowane. Jeszcze kilka wojen i zabraknie mi miejsca na skórze.

— To ją zrzucić, jak wąż.

— Nie, one sięgają aż do kości.

— To pozbądź się kości — rzekł Stefan. — Bądź meduzą. Amebą. Kiedy mnie przyspila, pączkuję. Dwóch małych, bezkręgowych Stefanów w miejscu, gdzie według nich był jeden MR 64100282A. Czterech, ośmiu, szesnastu, trzydziestu dwóch, sześćdziesięciu czterech, stu dwudziestu ośmiu. Gdyby nie moi naturalni wrogowie, pokryłbym cały ziemski glob.

Łóżko zatrzęsło się, Bruna wybuchnęła śmiechem w ciemności.

— Zagraj jeszcze raz tę angielską piosenkę, Joachimie — poprosiła.

Bądź prawym i stałym, Miłość cud spłodzić może...

— Stefanie — powiedziała w popołudniowym blasku czternastego dnia, siedząc na zielonym pagórku nad rzecznyymi mokradłami ciągnącymi się na południe od domu. Stefan leżał z głową na jej podołku. Otworzył oczy.

— Musimy już iść?

— Nie — odparła.

Zamknął z powrotem oczy, mówiąc:

— Bruna. — Usiadł i popatrzył na nią. — Bruna, o Boże! Jaka szkoda, że jesteś dziewczyną. — Roześmiała się i obserwowała go czujnie i z ciekawością, bezbronna. — Gdyby tylko... tutaj, teraz... Pojutrze muszę wyjechać!

— Ale nie tuż pod oknami kuchni — rzekła z czułością. Siedzieli w odległości trzydziestu metrów od domu. Stefan rzucił się na ziemię obok niej, chowając twarz w zgięciu jej łokcia i ustami dotykając delikatnej skóry przedramienia. Pogłaskała go po głowie i karku.

— Możemy się pobrać? Chcesz wyjść za mąż?

— Tak, chcę wyjść za ciebie, Stefanie.

Jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, po czym znów usiadł, tym razem powoli, i spojrzał ponad szuwarami i nieruchomą, zalaną słońcem rzeką na wzgórze i leżące za nimi góry.

— W przyszłym roku skończę studia.

— A ja za półtora roku dostanę zaświadczenie nauczycielskie.

Przez chwilę milczeli.

— Mogłabym rzucić szkołę i pójść do pracy. Będziemy musieli złożyć podanie o mieszkanie... — Wokół nich wzniosły się niezniszczalne ściany wynajmowanego pokoju wychodzącego na podwórko zawieszono praniem powalonym sadzą.

— Dobrze — powiedział. — Tylko że nie chciałbym marnować tego. — Przeniósł wzrok z lśniącej słońcem wody na góry. Owiewał ich ciepły wieczorny wiatr. — Dobrze. Tylko czy rozumiesz, Bruna... — Że wszystko to jest dla mnie nowe, że nigdy nie budziłem się przed świtem w pokoju o wysokich oknach i nie leżałem, słysząc idealną ciszę, że nigdy nie chodziłem po polach w jasny październikowy ranek, że nigdy nie siadałem do stołu z jasnowłosymi, roześmianymi braćmi i siostrami, nigdy nie rozmawiałem wczesnym wieczorem nad rzeką z dziewczyną, która mnie kocha, że wiedziałem, iż musi istnieć porządek, spokój i czułość, lecz nigdy nie miałem nadziei na doświadczenie ich, a co dopiero na ich posiadanie? A pojutrze muszę wyjechać. Nie, nie rozumiała. Była jedynie wiejską ciszą i błogosławioną ciemnością, jasnym strumieniem, wiatrem, wzgórzami, chłodnym domem; wszystko to było jej i było nią; nie mogła rozumieć. Przyjęła go jednak do siebie, obcego człowieka w deszczową noc, który ją zniszczy. Siedziała obok niego i powiedziała cicho:

— Myślę, że warto to zrobić, Stefanie.

— Tak. Pożyczmy pieniądze. Będziemy żebrać, kraść, defraudować. Przecież ja zostanę wielkim naukowcem. Stworzę życie w probówce. Po trudnych początkach kariery Fabbre zyskał nagłą sławę. Będziemy jeździć na konferencje do Wiednia. Do Paryża. Pal sześć życie w probówce! Zrobię coś lepszego, w ciągu pięciu minut uczynię cię ciężarną, o, moja piękności, śmiejesz się, tak? Pokażę ci, ty źrebico, ty mały pstrążku, moja najdroższa... — Pod oknami domu, z którego drugiej strony rozkrzyczani chłopcy grali w tenisa, i u podnóża gór wciąż jeszcze oświetlonych blaskiem słońca leżała miękka, piękna, ciężka w jego ramionach, bezgranicznie czysta, a jej ciało i duch splatały się w jednym czystym akcie woli: pozwolić mu przyjść, pozwolić mu wejść.

Nie teraz, nie tutaj. Jego wola była pełna sprzeczności i uparta. Odtoczył się na bok i leżał w trawie na plecach, czarnym błyskiem oczu patrząc w niebo. Ona usiadła, przykrywając dłonią jego dłoń. Spokój nie opuścił jej ani na chwilę. Patrzyła na niego tak, jak patrzyła na dziecko Bendiki, spokojnie, z pełnym namysłu uznaniem. Nie chwaliła go, nie miała względem niego żadnych zastrzeżeń, nie osądzała go. Oto jest; oto on.

— Będzie nam ciężko, Bruna. Ciężko i biednie.

— Chyba tak — odparta, patrząc na niego.

Wstał i otrzepał spodnie z trawy.

— Kocham Brunę! — zawołał, unosząc rękę, a od oświetlonych zboczy po drugiej stronie rozlewisk, gdzie wstawał zmierzch, dobiegł niejasny krótki dźwięk, nie jej imię, nie jego głos.

— Widzisz? — powiedział z uśmiechem, stając nad nią. — Nawet echo. Wstań, zachodzi słońce, chcesz bym znowu miał zapalenie płuc? — Wyciągnęła rękę, a on pomógł jej wstać. — Będę bardzo lojalny, Bruna — powiedział. Był drobnym mężczyzną i kiedy stali tak razem, ona nie podnosiła na niego wzroku, lecz patrzyła mu prosto w oczy. — To mogę ci dać, tylko tyle mam. Może ci to kiedyś zbrzydnąć.

Jej nieprzejrzyste oczy, szarobrązowe lub szare, obserwowały go spokojnie. Stefan w milczeniu uniośł rękę, by na chwilę, powściągliwie i z czułością, dotknąć jej jasnych włosów. Wrócili do domu, mijając po drodze kort, gdzie Kasimir po jednej stronie siatki, a dwóch chłopców po drugiej machali rakietami, nie trafiali, podskakiwali i krzyczeli. Pod dębami siedział Bret i śpiewał jakąś piosenkę, akompaniując sobie na gitarze.

— Po jakimu śpiewasz? — zapytała bezbrzeżnie szczęśliwa Bruna, tworząc w cieniu jasną plamę. Bret przechylił głowę, żeby jej odpowiedzieć, a okaleczoną prawą dłoń położył na strunach.

— Po grecku. Wziąłem ją z książki; jej słowa znaczą: “O, młodzi kochankowie, którzy przechodzicie pod moim oknem, czy nie widzicie, że pada deszcz?”

Bruna roześmiała się głośno. Stał przy niej Stefan, który odwrócił się, żeby popatrzeć na biegającą i zastygającą w bezruchu trójkę graczy. Cienie sięgały coraz wyżej, a piłka raz po raz wlatywała w sferę złocistego światła.

Nazajutrz poszedł z Kasimirem do Preвне, żeby kupić bilety. Kasimir chciał zobaczyć cotygodniowy targ; lubił targi, kiermasze, aukcje, gwar kupujących i sprzedających, taczki pełne białej i fioletowej rzepy, półki pełne starych butów, sterty drukowanej bawełny, piramidy sera z niebieską skórką, zapach cebuli, świeżej lawendy, potu, kurzu. Droga, która owej nocy, kiedy przybyli, była długa, teraz, w ciepłe poranka, okazała się krótka.

— Bret mówi, że wciąż szukają tego gościa, który przerzuca ludzi za granicę — powiedział Kasimir. Wysoki, delikatny, spokojny, szedł u boku przyjaciela. Jego odkryta głowa jaśniała w słońcu.

— Bruna i ja chcemy się pobrać — rzekł Stefan.

— Naprawdę?

— Tak.

Kasimir na chwilę zmienił rytm długich kroków; ruszył dalej z rękoma w kieszeniach. Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

— Naprawdę?

— Tak.

Kasimir zatrzymał się, wyjął prawą rękę z kieszeni i uściśnął Stefanowi dłoń.

— Dobra robota — powiedział. Lekko się zaczerwienił. — To coś rzeczywistego — ciągnął z rękoma w kieszeniach; Stefan zerknął na jego pociągłą, spokojną, młodą twarz. — To absolut. Rzeczywistość. — Po chwili dodał: — To nawet lepsze od Schuberta.

— Głównym problemem jest oczywiście znalezienie mieszkania, ale na początek mogę trochę pożyczyć. Metor nadal chce, żebym z nim współpracował; chcielibyśmy od razu zacząć, oczywiście jeśli zgodzą się twoi rodzice.

Kasimir z fascynacją słuchał tych warunków i okoliczności potwierdzających główny fakt, tak jak z fascynacją obserwował kupujących i sprzedawców, buty i rzepę, półki i wozy na targu, który potwierdzał ludzką potrzebę jedzenia oraz wspólnoty.

— Uda się — rzekł. — Znajdziecie mieszkanie.

— Jasne — odparł Stefan bez cienia wątpliwości. Podniósł kamień, podrzucił go, złapał i cisnął białą przez słoneczny blask daleko w ciągnące się po lewej stronie bruzdy. — Gdybyś wiedział, jaki jestem szczęśliwy...

— Trochę się domyślam — odpowiedział przyjaciel. — Uściśnijmy sobie dłonie jeszcze raz. — Zatrzymali się, żeby to zrobić.

— Wprowadź się do nas, co, Kasi?

— Dobrze, załatwcie mi składane łóżko.

Wchodzili do miasta. Główną ulicą Preвне między sklepami popstrzonymi przez muchy i starymi domami wymalowanymi w dawno zblakłe girlandy jechała ciężarówka koloru khaki; nad dachami wznosiły się wysokie, żółte wzgórza. Plac targowy pod lipami był zakurzony i pokryty plamkami słońca; kilka straganów i wozów, beznosy sprzedawca lizaków, trzy psy bojaźliwie, lecz niestrudzenie podążające za białą suką, stare kobiety w czarnych szalach, starzy mężczyźni w czarnych kamizelkach, kościsty właściciel Baru Pocztwo-Telefonicznego opierający się o drzwi i spluwający na ziemię, dwaj grubi mężczyźni targujący się przyciszonymi głosami o paczkę papierosów.

— Kiedyś był większy — rzekł Kasimir. — Za czasów mojego dzieciństwa. Mnóstwo sera z Portacheyki, warzywa, całe sterty warzyw. Wszyscy tu przychodzili. — Chodzili między straganami, zadowoleni, świadomi braterstwa. Stefan chciał coś kupić Brunie, cokolwiek, szalik; były pozbawione guzików kombinezony koloru błota i popękane buty.

— Kup jej kapustę — zaproponował Kasimir i Stefan kupił dużą czerwoną główkę. Weszli do Baru Pocztwo-Telefonicznego, żeby kupić bilety do Aisnar.

— Dwa na Południowo-Zachodni do Aisnar, panie Praspayets.

— Z powrotem do pracy, co?

— Właśnie.

Do lady podeszło trzech mężczyzn, dwóch od strony Kasimira, jeden od strony Stefana. Młodzieńcy podali im dokumenty.

— Fabbre Stefan, zamieszkały przy ulicy Tonie 136, Krasnoy, student, MR 64100282A. Augeskar Kasimir, zamieszkały przy ulicy Sorden 4, Krasnoy, student, MR 80104944. Interesy w Aisnar?

— Przesiadamy się na pociąg do Krasnoy.

Mężczyźni wrócili do stolika.

— Siedzą tu cały dzień, już ponad dziesięć dni — wymamrotał cicho właściciel. — Kładą mi interes. Jeszcze sto kronerów, panie Kasimirze; usiłuje mnie pan naciągnąć?

Obaj mężczyźni — jeden przysadzisty, drugi szczupły, z wojskową kaburą pod kurtką — znów znaleźli się przy nich. Uśmiechnięty właściciel nagle przybrał maskę obojętności niczym wyłączony telewizor. Patrzył, jak agenci obszukują młodzieńców; kiedy wrócili do stolika, bez słowa wydał Kasimirowi resztę. Wyszli w milczeniu. Kasimir zatrzymał się i popatrzył na złociste lipy i złociste plamki światła na ziemi, gdzie trzy psy wciąż bojaźliwie i ochoczo biegały za białą suką, gruba gospodyni domowa śmiała się ze skrzekliwym staruszkim, dwaj chłopcy biegali z krzykiem między wozami, a osiołek zwiesił szarą głowę i zastrzygł uchem.

— No, nic — odezwał się Stefan. Kasimir milczał. — Wypączkowałem. Chodź, Kasi. Ruszyli powoli.

— Dobrze — powiedział Kasimir, nieco się prostując.

— To przecież nieważne — rzekł Stefan. — Czy właściciel naprawdę nazywa się Praspayets?

— Evander Praspayets. Jego brat, Belisarius Praspayets, prowadzi tu wytwórnę win.

Stefan wyszczerzył zęby w uśmiechu, Kasimir uśmiechnął się lekko. Stali na skraju targowiska i mieli przejść przez ulicę.

— Niech to, zostawiłem w barze kapustę — powiedział Stefan, odwracając się, i zobaczył kilku mężczyzn biegnących przez plac między wozami i straganami. Rozległ się głośny trzask. Kasimir z jakiegoś powodu chciał chwycić Stefana za ramię, ale go nie dosięgnął! i stał z rozpostartymi rękoma, wydając z siebie dziwny, kaszlący głos. Nagle rozwarł ręce jeszcze szerzej i upadł na plecy, Stefanowi pod nogi. Miał otwarte oczy, otwarte i pełne krwi usta. Stefan stał. Rozejrzał się. Padł na kolana obok Kasimira, który na niego nie spojrział. Następnie ktoś go pociągnął za ramię i postawił na nogi; wokół niego byli jacyś ludzie, a jeden z nich czymś wymachiwał, jakimś papierem, i głośno mówił:

— To on, to ten zdrajca, oto, co spotyka zdrajców. To są jego sfałszowane dokumenty. To on.

Stefan chciał podejść do Kasimira, ale mu nie pozwolono; widział plecy mężczyzn,

psa, pod złocistymi lipami czerwoną twarz kobiety z wytrzeszczonymi oczyma. Myślał, że ktoś mu pomaga ustać na nogach, bo kolana miał jak z waty, ale kiedy zmusili go, żeby się odwrócił i gdzieś szedł, spróbował się wyrwać i zawołał:

— Kasimirze!

Leżał na brzuchu na łóżku, które nie było łóżkiem w pokoju o wysokich oknach w domu Augeskarów. Wiedział o tym, ale wyobrażał sobie, że tak jest, że słyszy chłopców krzyczących na korcie. Potem, domyśliwszy się, że to jego pokój w Krasnoy i że jego współlokatorzy śpią, przez długi czas leżał bez ruchu mimo potężnego bólu głowy. W końcu usiadł i rozejrzał się po ścianach z sosnowych desek, zobaczył kratę w drzwiach, kamienną posadzkę z niedopałkami papierosów i plamami wyschniętego moczu. Strażnik, który przyniósł mu śniadanie, był tym przysadzistym agentem z Baru Pocztowo-Telefonicznego i nic nie mówił. Pod paznokciami obu rąk Stefan miał sosnowe drzazgi; wyjęcie ich zajęło mu dużo czasu.

Trzeciego dnia przyszedł inny strażnik, gruby gość z ciemnym zarostem na policzkach, śmierdzący potem i cebulą niczym targowisko pod lipami.

— W jakim jestem mieście?

— W Prevne.

Strażnik zamknął drzwi, wsunął przez kratę papierosa, a potem zapaloną zapalniczkę.

— Czy mój przyjaciel nie żyje? Dlaczego go zastrzelili?

— Ten, którego szukali, uciekł — odparł strażnik. — Trzeba ci czegoś? Jutro wyjdiesz.

— Zabili go?

Strażnik mruknął twierdząco i odszedł. Po chwili przez kratę wpadło pół paczki papierosów i pudełko zapalek. Upadły przy nogach siedzącego na pryczy Stefana. Wypuścili go następnego dnia. Nie widział nikogo oprócz zarośniętego strażnika, który zaprowadził go do drzwi wiejskiego aresztu. Stał na głównej ulicy Prevne o pół kwartału od placu targowego. Słońce już zaszło, zrobiło się zimno, niebo nad lipami, dachami i wzgórzami było czyste i ciemne.

W kieszeni wciąż miał bilet do Aisnar. Powoli i ostrożnie ruszył w kierunku placu targowego i przeciął go, idąc pod ciemnymi drzewami do Baru Pocztowo-Telefonicznego. Nie czekał żaden autobus. Nie miał pojęcia, jak kursują. Wszedł do środka i zgarbiony, trzęsąc się z zimna, usiadł przy jednym z trzech stolików. Z zaplecza wyszedł właściciel.

— Kiedy odjeżdża następny autobus? — Nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska, Praspets, Prayespets, jakoś tak.

— Do Aisnar, ósma dwadzieścia rano — odparł właściciel.

— Do Portacheyki? — zapytał Stefan po chwili.

— Lokalny do Portacheyki o dziesiątej.

— Wieczorem?

— O dziesiątej wieczorem.

— Czy może mi go pan zmienić na... bilet do Portacheyki? — Wyciągnął w kierunku mężczyzny swój bilet do Aisnar. Właściciel baru wziął go i po chwili powiedział:

— Chwileczkę, zobaczę.

Wrócił na zaplecze. Stefan przygotował drobne na kawę i dalej siedział zgarbiony. Według budzika z białą tarczą stojącego na kontuarze było dziesięć po siódmej. O siódmej trzydzieści, kiedy trzech rosyjskich miejscowych przyszło na piwo, Stefan przesunął się jak najdalej od nich, do stołu bilardowego, i usiadł twarzą do ściany, od czasu do czasu zerkając tylko na budzik. Wciąż się trząsał i było mu tak zimno, że po chwili położył głowę na rękach i zamknął oczy.

— Stefanie — powiedziała Bruna.

Usiadła przy jego stoliku. Włosy otaczające jej twarz miały kolor jasnej bawełny. Ze zwieszoną głową i rękoma na stoliku, Stefan spojrzał na nią i zaraz opuścił wzrok.

— Zadzwoił do nas pan Praspayets. Dokąd się wybierasz?

Nie odpowiedział.

— Kazali ci opuścić miasto?

Pokręcił głową.

— Po prostu cię wypuścili? Chodź. Przyniosłam ci płaszcz, pewnie zmarzłeś. Chodź do domu. — Wstała, a on wyprostował się na krześle; wziął od niej płaszcz i powiedział:

— Nie, nie mogę.

— Dlaczego?

— To niebezpieczne dla was. I tak nie potrafię stawić temu czoła.

— Nie możesz stanąć przed nami twarzą w twarz? Chodź. Chcę stąd wyjechać. Jutro jedziemy do Krasnoy, czekaliśmy na ciebie. Chodź, Stefanie.

Wstał i wyszedł za nią na dwór. Zapadła już noc. Przeszli przez ulicę i ruszyli wiejską drogą. Bruna oświetlała ją latarką. Wzięła go pod rękę; szli w milczeniu. Otaczały ich ciemne pola, gwiazdy.

— Czy wiesz, co zrobili z...

— Powiedziano nam, że zabrano go ciężarówką.

— Kiedy wszyscy w mieście dowiedzieli się, kto to jest... — Poczul, że wzruszyła ramionami. Szli dalej. Droga znów się dłużyła, tak jak wtedy, gdy razem z Kasimirem szli nią pierwszy raz bez światła. Doszli do wzgórza, zza którego pojawiły się wtedy światelka, a wszędzie wokół nich rozbrzmiał w deszczu śmiech i okrzyki.

— Chodź szybciej, Stefanie, zmarzłeś — odezwała się nieśmiało idąca obok niego dziewczyna. Wkrótce musiał się zatrzymać i oderwawszy się od niej, poszedł na oślep na skraj drogi w poszukiwaniu czegokolwiek, płotu czy drzewa, czegokolwiek, o co

mógłby się oprzeć, aż przestanie płakać; niczego jednak nie znalazł. Stał tak w ciemności, a ona stała przy nim. W końcu odwrócił się i razem poszli dalej. W postrzępionym kręgu światła jej latarki ukazywały się białe kamienie i chwasty. Kiedy minęli szczyt wzgórza, Bruna powiedziała nieśmiało i z uporem:

— Matka wie, że chcemy się pobrać. Powiedziałam jej, kiedy usłyszeliśmy, że trzymają cię w areszcie. Ojcu jeszcze nie. Tego... tego nie potrafi znieść, on tego nie wytrzyma. Matka jest silna i jej powiedziałam. Chciałabym wziąć ślub dość szybko, jeśli ci to powiada, Stefanie.

Szedł obok niej w milczeniu.

— Dobrze — rzekł w końcu. — Nie ma co rezygnować, prawda? — Światła domu leżącego poniżej błyskały żółcią przez gałęzie drzew; nad nimi wisały gwiazdy, a po niebie sunęło trochę cienkich chmur. — Absolutnie nie ma co rezygnować.

an die musik

Ktoś chciałby się z panem zobaczyć, proszę pana. Niejaki pan Gaye. Otto Egorin skinął głową. Ponieważ było to jego jedyne wolne popołudnie w Foranoy, miał niezachwianą pewnością, że znajdzie go jakiś obiecujący młodzieniec i owo popołudnie mu zmarnuje. Po sposobie, w jaki służący wypowiedział słowo “ktoś”, poznał, że nie jest to nikt ważny. Z drugiej strony tak długo zajmował się trasą koncertową żony, że miło mu było mieć własnego petenta.

— Wprowadź go — polecił i wrócił do pisania listu. Podniósł głowę dopiero wtedy, kiedy gość wszedł na kilka kroków do pokoju i miał wystarczająco dużo czasu, by znaleźć się pod wrażeniem dużej, łysej głowy Ottona Egorina zajętego pisaniem listu. Otto wiedział, że jedynie najwięksi zuchwalcy nie ulegną temu pierwszemu wrażeniu. Gość nie wyglądał na zuchwałego: niski mężczyzna w znoszonym ubraniu, trzymający za rękę małego chłopca i jękający coś o wielkiej śmiałości, cennym czasie, ogromnym zaszczyście...

— No, no, no — rzekł umiarkowanie dobrotliwie impresario, ponieważ nieśmiało często zabierali mu więcej czasu niż zuchwalcy — gra akordy od czasu, kiedy nauczył się siadać, a „Appassionatę” od trzeciego roku życia? A może sam piszesz sonaty, co, mały? — Dziecko patrzyło na niego zimnymi, ciemnymi oczyma. Mężczyzna zaczął coś jękać i przerwał.

— Bardzo przepraszam, panie Egorin, nigdy bym nie... moja żona źle się czuje, w sobotę po południu zabieram chłopca na spacer, żeby nie musiała się nim zajmować... — Egorinowi przykro było patrzeć, jak mężczyzna czerwieni się, blednie, znów się czerwieni. — Nie sprawi żadnego kłopotu — brnął dalej.

— O co więc chodzi, panie Gaye? — zapytał Otto dość suchym tonem.

— Ja komponuję — rzekł Gaye, i wtedy Otto zobaczył to, co mu umknęło wśród przypuszczeń, że oto ma przed sobą jeszcze jedno cudowne dziecko: cienką rolkę papieru nutowego pod pachą gościa.

— Dobrze, świetnie. Proszę mi pokazać — powiedział, wyciągając rękę. Tej chwili bał

się u nieśmiałych najbardziej.

Gaye nie wyjaśniał jednak przez dwadzieścia minut, co, dlaczego i w jaki sposób starał się zrobić, przez cały czas ściskając swe kompozycje w rękę i pocąc się. Bez słowa podał Egorinowi zwitek muzyki i zaproszony gestem, usiadł na twardej hotelowej kanapie. Chłopczyk usiadł obok niego; obaj byli nerwowi, pokorni, obaj mieli dziwne, spokojne, ciemne oczy.

— Widzi pan, panie Gaye, w sumie tylko to się liczy, prawda? Ta muzyka, którą mi pan przyniósł. Przyniósł mi ją pan, żebym na nią spojrzął; ja chcę na nią spojrzeć, więc na chwilę pana przeproszę. — Zwykle wygłaszał ową przemowę po tym, jak udało mu się wyłuskać rękopis z ręki nieśmiało rozmownego petenta. Ten skinął tylko głową.

— To cztery pieśni i cz-część mszy — rzekł swoim ledwie słyszalnym głosem.

Otto zmarszczył brwi. Ostatnio mawiał, że dopóki nie ożenił się ze śpiewaczką, nie miał pojęcia, ilu idiotów pisze pieśni. Pierwsza, na którą rzucił okiem, rozwiła jego podejrzenia, jako że był to duet na tenor i baryton. Świadomie wygładził czoło. Zainteresowała go ostatnia z czterech pieśni, skomponowana do wiersza Goethego. Siedząc przy biurku, lekko się poruszył, lecz natychmiast stłumił tę odruchową chęć podejścia do pianina. Nie ma sensu budzić nadziei; zagrać choć jedną nutę znaczyło od razu przekonać ich, że są Beethovenem i że w ciągu miesiąca Otto Egorin przedstawi ich muzykę w stolicy. To jednak był kawałek dobrej roboty, ta melodia z przemyślanym, tęsknym, cichym akompaniamentem. Przeszedł do mszy, a raczej trzech jej fragmentów: *Kyrie*, *Benedictus* i *Sanctus*. Nuty były pisane porządnie, szybko i ciasno; papier nutowy nie jest tani, pomyślał Otto, zerkając na buty swego gościa. Jednocześnie słyszał solowy tenor na tle dziwnego zgiełku organów, puzonów i kontrabasów: *Benedictus qui venit in nomine Domini* — bardzo dziwny materiał; ale nie, właśnie gdy za chwilę ma doprowadzić człowieka do szaleństwa, wszystko zmienia się w kryształ tak naturalnie, iż można by przysiąc, że cały czas było kryształem. A ten tenor, ten biedak śpiewający tu wysoko podwójne piano, znajdźcie mi tenora, który potrafi to zrobić i na dodatek przebić te puzony. *Sanctus*: proszę, wspaniały, ta trąbka, naprawdę wspaniały — Otto podniósł wzrok. Uderzał kantem dłoni w blat biurka, kiwając głową, uśmiechając się, mrużąc do siebie. To go wydało.

— Proszę tu podejść! — odezwał się gniewnie. — Jak się pan nazywa? Co to jest?

— Ladislas Gaye. To... to... to druga trąbka.

— Dlaczego nie jest zaznaczona? Proszę, niech pan siądzie i gra!

Przeszli przez *Sanctus* pięć razy.

— *Pla, plaa, pla!* — Zaryczał Otto jako trąbka. — Dobrze! Dlaczego wchodzą tu basy, raz-dwa-trzy-cztery-bum! Basy jak słonie, co to panu daje?

— Wracam do *Sanctus*, proszę posłuchać, tu pod tenorami są organy — i pianino zagrzmiało pod matowym tenorem Gaye'a — *Sabaoth*, potem wiolonczele i słonie, czte-

ry, Sanctus! Sanctus! Sanctus!

Wyprostował się na stołku, Otto oderwał oczy od nut. W pokoju zapadła cisza.

Otto poprawił różę w bukiecie stojącym na pożyczonym pianinie.

— I gdzie pan chce usłyszeć tę mszę?

Kompozytor milczał.

— Chór żeński. Podwójny chór męski. Pełna orkiestra; chór basów; organy. No, no. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć te pieśni. Czy to wszystko, co pan napisał z tej mszy?

— Nie zorkiestrowałem jeszcze Credo.

— Zapewne wsadzi pan tam podwójne bębny? No dobrze, gdzie jest ten Goethe? Chcę go zagrać. — Przegrał pieśń dwa razy, a potem siedział przy pianinie, brząkając jedną z dyskretnych fraz akompaniamentu. — Wie pan, że to jest znakomite — rzeki. — Absolutnie pierwszorzędne. Jakim cudem? Jest pan pianistą? Czym się pan zajmuje?

— Jestem urzędnikiem.

— Urzędnikiem? Jakim urzędnikiem? To jest pańskie hobby, co, rozrywka w wolnych chwilach?

— Nie, to jest...jak to...

Otto spojrział na niskiego, zaniedbanego mężczyznę, który, pobladły z podniecenia, nie potrafił się wysłowić.

— Chcę coś o panu wiedzieć, Gaye! Wpada pan tu, oznajmia, że komponuje, pokazuje mi pan trochę nut, bardzo dobrze. To wszystko jest bardzo dobre, ta pieśń, Sanctus, Benedictus też, to prawdziwa muzyka, chcę ją przejrzeć jeszcze raz. Pokazywano mi jednak dobrą muzykę już wiele razy. Czy pańskie utwory były gdzieś wykonywane? Ile pan ma lat?

— Trzydzieści.

— Co jeszcze pan skomponował?

— Nic poważnego...

— W wieku trzydziestu lat? Cztery pieśni i pół mszy?

— Nie mam zbyt wiele czasu na pracę.

— To jakaś bzdura. Bzdura! Czegoś takiego nie pisze się bez praktyki. Gdzie pan studiował?

— Tutaj, w Schola Cantorum — do ukończenia dziewiętnastu lat.

— U kogo? Berdicke, Chey?

— Chey i madame Vesperin.

— Nie słyszałem o niej. I to wszystko, co mi pan pokaże?

— Reszta jest niedobra albo niedokończona...

— Ile pan miał lat, kiedy napisał pan tę pieśń?

Gaye zawahał się.

— Chyba dwadzieścia.

— Dziesięć lat temu! Co pan robił od tego czasu? Chce pan komponować, co? No to niech pan komponuje! Cóż innego mogę powiedzieć? To jest dobre, zdecydowanie dobre, tak jak ten rejwach z puzonami. Pan potrafi komponować, ale, miły panie, co ja mam z tym zrobić? Czy mogę wystawić cztery pieśni i pół mszy nieznanego ucznia Vasslasy Cheya? Nie. Wiem, że chce pan zachęty. Proszę bardzo, zachęcam pana. Zachęcam pana do dalszego komponowania. Dlaczego pan tego nie robi?

— Zdaję sobie sprawę, że to bardzo mało — wykrztusił Gaye. Twarz mu się wykrzywiła, jedną ręką bawił się węzłem krawata. Egorinowi zrobiło się go żal, a jednocześnie mężczyzna ten go onieśmiał.

— Bardzo mało, to może napisze pan więcej? — rzekł dobrotliwie.

Gaye spojrział na klawisze, położył na nich rękę; dygotał.

— Widzi pan — zaczął, a potem gwałtownie się odwrócił, pochylił, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Otto siedział na stołku skamieniały. Chłopczyk, zupełnie dotąd zapomniany, machający na brzegu kanapy nóżkami odzianymi w szare pończoszki, teraz zsunął się z niej i podbiegł do ojca; oczywiście też coś bełkotał, ale ciągnął ojca za marynarkę, starając się chwycić go za rękę, szepcząc:

— Tato, tato, przestań, tato, proszę cię, przestań. Gaye ukląkł i objął dziecko ramieniem.

— Przepraszam cię, Vasli, nie martw się, już dobrze... — Jednak jeszcze nie panował nad sobą.

Otto wstał z godnością i wezwał pokojówkę żony.

— Proszę zabrać tego młodzieńca, dać mu cukierka, zabawić go, dobrze?

Dziewczyna, spokojna Szwajcarka, która wiedziała, że wszyscy Środkowo-europejczycy są szaleni, skinęła głową, nie zwracając uwagi na szlochającego mężczyznę, i powiedziała:

— Chodź ze mną, jak ci na imię?

Dziecko uczepiło się ojca.

— Idź z nią, Vasli — powiedział Gaye. Chłopczyk pozwolił pokojówce wziąć się za rękę i wyszedł z pokoju.

— Ładnego ma pan synka — odezwał się Otto. — Proszę usiąść, Gaye. Winiaku? Odrobine, co? — Zaczął otwierać i zamykać szuflady w biurku, fukał i coś mruczał do siebie, włożył Gaye'owi do ręki kieliszek, znów usiadł przy biurku.

— Nie mogę... — zaczął Gaye, wyczerpany, na samym dnie rozpacz.

— Nie, nie może pan; ja też nie; takie rzeczy po prostu się zdarzają. Być może był pan bardziej zaskoczony niż ja. Proszę jednak teraz posłuchać, panie Gaye. Nie mam czasu na nieszczęścia całego świata, mam mnóstwo własnych trosk i jestem bardzo zajęty. Skoro jednak zaszliśmy tak daleko, chciałbym wiedzieć, dlaczego pan się tak załamał.

Gaye potrząsnął głową. Odpowiadał na pytania Ottona z pokorą, która zniknęła tylko wtedy, gdy przeglądali jego nuty. Po śmierci ojca musiał zrezygnować ze szkoły muzycznej; teraz z pensji urzędnika w fabryce łożysk kulkowych i innych drobnych części ze stali utrzymuje matkę, żonę i troje dzieci. W fabryce pracuje od jedenastu lat. Cztery wieczory w tygodniu daje lekcje fortepianu, za co może korzystać z sali prób w Schola Cantorum.

Przez chwilę Otto nie miał wiele do powiedzenia.

— Dobry Pan uznał za stosowne dać panu pecha — zauważył. Gaye nic nie odpowiedział. Rzeczywiście, pech czy szczęście nie wydawały się odpowiednimi określeniami na to nieprzerwane, uparte złe zarządzanie światem, które dawało się we znaki Ladiślasowi Gaye i większości innych ludzi, a z niejasnych powodów nie doskwierało Ottonowi Egorinowi. — Po co pan do mnie przyszedł, panie Gaye?

— Musiałem. Wiedziałem, co mi pan powie, że nie skomponowałem wystarczająco dużo. Ale kiedy usłyszałem, że ma pan tu przyjechać, przysięgłem sobie, że się z panem spotkam, musiałem to zrobić. Znają mnie w Scholi, ale oczywiście są zajęci własnymi uczniami; od śmierci Cheya nie ma nikogo, kto... Musiałem do pana przyjść. Nie po zachętę, ale zobaczyć człowieka, który żyje dla muzyki, który urządza połowę koncertów w kraju, który oznacza... oznacza...

— Sukces — rzekł Otto Egorin. — Tak, wiem. Sam chciałem być kompozytorem. Kiedy miałem dwadzieścia lat, w Wiedniu, chodziłem patrzeć na dom Mozarta, patrzyłem na grób Beethovena. Odwiedzałem Mahlera, Richarda Straussa, każdego kompozytora, który przyjeżdżał do Wiednia. Nasiąkałem ich sukcesami, czy byli martwi, czy żywi. Komponowali muzykę, którą grali inni. Już wtedy, rozumie pan, wiedziałem, że nie jestem prawdziwym kompozytorem, i żeby moje życie miało jakiegokolwiek znaczenie, potrzebowałem ich rzeczywistości. Pański problem jest jednak inny.

Panu trzeba tylko przypomnieć, że istnieje muzyka — co? Ze nie wszyscy robią łożyska kulkowe. Gaye skinął głową.

— Czy nie ma nikogo innego — zapytał nagle Otto — kto zająłby się mamą?

— Moja siostra wyszła za Czecha, mieszkają w Pradze... A moja matka nie wstaje z łóżka.

— Tak. A więc zostaje żona z zaburzeniami nerwowymi, dzieci, co, i rachunki, i fabryka łożysk kulkowych... No, nie wiem, Gaye. Weźmy Schuberta. Często go wspominam, nie tylko pan przywodzi mi go na myśl. Dlaczego Bóg stworzył Franciszka Schuberta? Żeby odpokutować za grzechy innego człowieka? I dlaczego odebrał mu życie w chwili, kiedy dotarł do ostatniego kwintetu? Ale Schubert nie zastanawiał się, dlaczego Bóg go stworzył. Oczywiście, że po to, by tworzył muzykę. Du holde Kunst, ich danhe dir! Niewiarygodne. Ten mały, chorowity, brzydki pomyleniec w okularach, piszący swoją muzykę jak każdy inny pomyleniec, ani razu nie słyszał jej wykonania — Du

holde Kunst! Jak by to pan powiedział, “o, łaskawa Sztuko, o, przychylna Sztuko”? Jakby jakakolwiek sztuka była przychylna, łaskawa, łagodna! Czy myślał pan kiedykolwiek o porzuceniu, Gaye? Nie muzyki. Całej reszty.

Napotkał spojrzenie tych dziwnych, zimnych, ciemnych oczu i nie zawstydził się, nie przeprosił. Gaye powiedział, że on, Otto Egorin, żyje dla muzyki. To była prawda. Mógłby być dobrym burżujem; mógłby bardzo żałować biedaka, któremu do zostania dobrym kompozytorem potrzeba tylko trochę gotówki; ale nie będzie przepraszał chorej matki, chorej żony i trojga jego dzieciaków. Jeśli żyje się dla muzyki, to żyje się dla muzyki.

— To nie leży w moim charakterze.

— A zatem w pańskim charakterze nie leży pisanie muzyki.

— Czytając mój Sanctus, był pan innego zdania.

— Du lieber Herr Gott! — wybuchnął Otto. Był wielkim patriotą, lecz jego matka pochodziła z Wiednia i on się tam wychował, więc gdy ogarniały go wielkie emocje, wracał do niemieckiego. — Dobrze więc! Czy kiedykolwiek przyszło panu na myśl, mój drogi młodzieńcze, że komponując coś takiego jak ten Sanctus, bierze pan na siebie pewną odpowiedzialność? Że podejmuje się pan pewnych obowiązków? Że muzyka nie ma artretyzmu, zaburzeń nerwowych, pustego brzuszka i nie woła: “Tato, tato, chcę tego i owego”, lecz że mimo wszystko zależy od pana, wyłącznie od pana? Inni mogą żywić dzieciaki i utrzymywać chore kobiety. Nikt inny nie potrafi jednak komponować pańskiej muzyki.

— Tak, wiem o tym.

— Nie jest pan jednak pewien, czy ktokolwiek inny podjąłby się karmienia dzieci i utrzymywania kobiet. Prawdopodobnie nie. Doch, doch jest pan za łagodny, za łagodny, Gaye. — Otto chodził po pokoju na swych krzywych nogach, parszkając i wykrzywiając twarz.

— Kiedy skończę mszę, mogę ją panu wysłać?

— Tak. Tak, oczywiście. Z przyjemnością ją obejrzę. Kiedy to nastąpi? Za dziesięć lat? “Gaye, kto to, u diabła, jest Gaye, gdzie ja go poznałem... to jest dobre... obiecujący młody człowiek...” A pan dobije już czterdziestki i sam będzie gotów na trochę artretyzmu i odrobinę zaburzeń nerwowych. Oczywiście, proszę mi przysłać swoją mszę!... Ma pan wielki talent, Gaye, jest pan bardzo odważny, ale zbyt łagodny, nie wolno panu próbować pisać wielkiego dzieła jak ta msza. Nie da się służyć dwóm panom. Proszę pisać pieśni, krótkie kawałki, coś, co może pan wymyślić, pracując w tej przeklętej fabryce, i zapisać nocą, kiedy przez pięć minut rodzina panu nie zawadza. Niech pan je zapisuje na czymkolwiek, na nie zapłaconych rachunkach, obojętnie, i wysyła je do mnie, niech pan nie myśli, że musi płacić dwa i pół kronera za arkusz tego pięknego papieru, nie stać pana na piękny papier — pomyśli pan o tym, kiedy ktoś pana wydrukuje. Niech mi pan

przysłała pieśni, i nie za dziesięć lat, ale za miesiąc, a jeśli będą tak dobre, jak ta pieśń do Goethego, to umieszczę pana w programie występu mojej żony w grudniu w Krasnoy. Proszę pisać drobne pieśni, a nie niemożliwe msze. Hugo Wolf, wie pan — Hugo Wolf pisał tylko pieśni.

Pomyślał, że Gaye, ogarnięty wdzięcznością, znów się załamał, i choć się zaniepokoił, był z siebie zadowolony, czuł się mądry i hojny: uszczęśliwił biedaka i może jeszcze będzie coś z tego miał. W głowie wciąż mu dźwięczał akompaniament do pieśni Goethego: oszczędny, suchy, smutny, piękny. A potem Gaye zaczął mówić i Otto powoli, lecz bez zaskoczenia, zdał sobie sprawę, że nie przemawia przez niego wdzięczność.

— Ja muszę napisać tę mszę, jaja noszę w sobie. Pieśni przychodzą, czasami po kilka naraz, ale nigdy nie potrafiłem pisać ich na zawołanie, muszę mieć dobry dzień. Lecz ta msza i symfonia, nad którymi pracuję, mają wielkość i wagę, rozumie pan, ciągną się tygodniami i mogę nad nimi pracować, kiedy tylko mam czas. Wiem, że msza jest ambitna. Wiem jednak, co chcę nią wyrazić. Będzie dobra. Bo nauczyłem się, jak robić to, co muszę robić. Zacząłem ją i muszę ją skończyć.

Otto zatrzymał się i popatrzył na Gaye'a z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Też coś! To po kiego czorta pan do mnie przyszedł? I rozpłakał się? A potem dziękuje pan za sugestie, ale mówi, że nadal będzie się starał osiągnąć to, co niemożliwe? Arogancja, brak rozsądku — to potrafię znieść, ale głupoty, bezdennej głupoty artystów dłużej już nie wytrzymam!

Gaye siedział w swoim znoszonym garniturze, zmieszany i pokorny. Wszystko w jego wyglądzie było znoszone, zabiedzone, napięte i niedożywione, zużyte i wytarte; Otto wiedział, że może na niego krzyżeć choćby i przez dwie godziny, obiecując mu nowe znajomości, publikację, wykonania. Nawet nie będzie wysłuchany. Gaye wyjąkał tylko tym swoim niedosłyszalnym głosem:

— Najpierw muszę napisać mszę...

— Zna pan niemiecki?

— Tak.

— Dobrze. Jak skończy pan mszę, proszę pisać pieśni. Po niemiecku. Czy francusku, jeśli pan woli, ludzie są do tego przyzwyczajeni, nie będą w Wiedniu czy Paryżu słuchać pieśni w języku jak nasz, rumuński, duński czy jakikolwiek inny, to zaledwie ciekawostka, jak pieśni ludowe. Chcemy, żeby pańska muzyka była słuchana, więc niech pan pisze dla dużych krajów i pamięta, że większość śpiewaków to idioci. Dobrze?

— Jest pan bardzo uprzejmy, panie Egorin — rzekł Gaye, tym razem nie z pokorą, lecz dziwną, sztywną godnością. Wiedział, że Otto ulega jego upartemu brakowi rozsądku, jakby był wielkim i słynnym artystą, że mu ustępuje, obchodzi go, kiedy mógłby rozdeptać jak karalucha. Wiedział, że Otto jest pokonany.

— Jeśli na chwilę, na kilka wieczorów odłóż pan te swoje słonie, żeby napisać coś, co

mogłoby zostać opublikowane, usłyszane, to... — zaczął zirytowany Otto z ironią i uległością, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła jego żona. Prowadziła za rękę synka Gaye'a, a za nimi pojawiła się szwajcarska pokojówka. Pokój naraz zrobił się pełen mężczyzn, kobiet, dzieci, głosów, perfum, biżuterii.

— Ottonie, spójrz, co znalazłam u Annę Elise! Widziałeś kiedyś takiego czarusia? Spójrz na te oczy, te wielkie, ciemne, poważne oczy! Ma na imię Vasli i lubi czekoladki! Co za czaruś, co za młody człowiek, widziałeś kiedyś takie dziecko? Jak się pan ma, bardzo mi miło. Jest pan...? Tak, oczywiście, te oczy! O, Boże, cóż za okropna dziura z tego miasta, chcę wyjechać pierwszym pociągiem po koncercie, Ottonie, choćby o trzeciej nad ranem. Czuję, że sama zaczynam wyglądać jak te ogromne, puste kamienne domy za rzeką, zupełnie jakby składały się z samych oczu, patrzą, patrzą i patrzą, zupełnie jak jakieś czaszki. Jeżeli nikt w nich nie mieszka, to dlaczego ich się nie burzy? Już nigdy więcej, do diabła z prowincjami i promocją narodowej sztuki, nie mogę śpiewać na każdym cmentarzu w kraju, Ottonie. Annę Elise, przygotuj mi kąpiel, proszę. Jestem brudna, pewnie jestem szara jak gryka. Czy reprezentuje pan kierownictwo z Sorg?

Już rozmawiałem z nimi przez telefon — rzekł Otto, wiedząc, że Gaye nie będzie w stanie odpowiedzieć. — Pan Gaye jest kompozytorem, pisze msze. — Nie powiedział „pieśni”, bo to zwróciłoby uwagę Egoriny. Rewanżował się nieco Gaye'owi, udzielając mu pogładowej lekcji praktyczności. Egorina, zupełnie nie zainteresowana mszami, mówiła dalej. Nieustanny potok słów wylewał się z niej przez dwadzieścia cztery godziny przed każdym koncertem i ustawał dopiero wtedy, gdy wychodziła na scenę, wysoko, wspaniała i uśmiechnięta. Po występie milkła, nad czymś rozmyślała. Otto mawiał, że jest najpiękniejszym instrumentem muzycznym na świecie. Ożenił się z nią, bo był to jedyny sposób odciążenia jej od operetki; będąc upartą, głupią i wrażliwą wprost proporcjonalnie do swego talentu, obawiała się niepowodzenia i chciała osiągnąć pewny i łatwy sukces. Otto poślubił ją więc i zmusił do odniesienia sukcesu jako śpiewaczkę. W październiku zaśpiewa swoją pierwszą partię operową — „Arabelle” Straussa. To prawdopodobnie oznaczało, że będzie mówić przez kolejne sześć tygodni przed występem. Otto potrafił to znieść. Była bardzo piękna i zazwyczaj sympatyczna, a poza tym można było jej nie słuchać. Jeśli zaś o nią chodziło, to nieważne, czy ktokolwiek jej słuchał, byle tylko miała publiczność.

Egorina mówiła, z łazienki dobiegł szum wody, zadzwonił telefon, zaczęła rozmawiać. Gaye nie powiedział ani słowa. Dziecko stało obok niego, jak zwykle poważne; po swoim wspaniałym wejściu z Vaslim Egorina zupełnie o nim zapomniała i klęła jak sierżant.

Gaye wstał. Otto zaprowadził go z ulgą do drzwi, dał dwie wejściówki na recital Egoriny mający się odbyć następnego wieczoru, a podziękowania zbył wzruszeniem ramion.

— Nie sprzedaliśmy wszystkich biletów. Jeśli chodzi o muzykę, to miasto jest martwe.

Za ich plecami wspaniale płynął głos Egoriny, a jej śmiech przywodził na myśl wodę bijącą z wielkiej fontanny.

Jezu! A co mnie obchodzi, co mówi ten Żydek? — zaśpiewała, po czym zabrzmiał ten cudowny, złocisty śmiech.

— Wie pan co, Gaye — odezwał się Otto Egorin — jest jeszcze jedna rzecz. Ten świat roku 1938 nie jest odpowiedni dla muzyki. Nie jest pan jedynym człowiekiem, który zastanawia się, po co to? Komu jest potrzebna muzyka, kto jej chce? No bo kto jej chce, skoro po Europie pełzają armie niczym robaki po padlinie, skoro Rosja wychwala najnowszą fabrykę kotłów na Uralu za pomocą symfonii, skoro funkcję muzyki podsumowała Potzi grająca na fortepianie, by uspokoić nerwy Przywódcy. Zanim skończy pan swoją mszę, wszystkie kościoły mogą być wysadzone w powietrze, a pańskie chóry męskie będą nosiły mundury i też będą wylatywały w powietrze. Jeśli tak się nie stanie, proszę mi ja wysłać, z ciekawością się z nią zapoznam. Nie jestem jednak dobrej myśli. Razem z panem staję po stronie przegranych. Podobnie jak moja Egorina, może mi pan wierzyć lub nie. Ona nigdy w to nie uwierzy... Muzyka jednak na nic się nie zda, nie ma sensu, Gaye. Już nie. Proszę pisać swoje pieśni, swoją mszę, nikomu to nie zaszkodzi. Ja nadal będę organizował koncerty, nikomu to nie zaszkodzi. Ale i nas nie zbawi...

Ladislav Gaye i jego syn wyszli z hotelu i poszli na stary most przez rzekę Ras; ich dom stał na Starym Mieście, w ponurej zatłoczonej dzielnicy na północ od rzeki. To, co w Foranoy było zamożne i nowoczesne, leżało na południe od niej, na Nowym Mieście. Był ciepły, słoneczny dzień późną wiosną; zatrzymali się na moście, by popatrzeć na łuki odbijające się w ciemnej wodzie. Każdy z nich tworzył ze swym odbiciem idealne koło. Pod mostem przepłynęła barka wyładowana jakimiś skrzyniami. Vasli, podniesiony przez ojca, żeby mógł na nią popatrzeć nad kamienną balustradą, napluł na jedną ze skrzyń.

— Wstydź się — powiedział Ladislav Gaye bez gniewu. Był szczęśliwy. Nie przejmował się, że przy wielkim impresario Egorinie rozpłakał się jak dziecko. Nie przejmował się, że jest zmęczony, że to jeden z gorszych dni żony i że już jest spóźniony. Nie przejmował się niczym z wyjątkiem małej rączki dziecka w swojej dłoni i tym, jak wiatr na moście, między jednym miastem i drugim, porywa wszelkie dźwięki i zostawia człowieka skapanego w ciepłym, milczącym blasku słońca, oraz tym, że Otto Egorin wie, kim on jest: muzykiem. Dzięki temu jednemu faktowi był silny i wolny. Jego siła i wolność nie wykraczały poza to, lecz jemu to wystarczało. W głowie rozbrzmiewała mu linia melodyczna trąbki z jego Sanctus.

— Tato, dlaczego ta duża pani miała coś w uszach i pytała, czy lubię czekoladki? Czy ludzie nie lubią czekoladek?

— To były klejnoty, Vasli. Nie wiem. — Trąbka śpiewała dalej. Gdyby tylko mógł tu jeszcze chwilę zostać z tym małym człowiekiem, w blasku słońca i ciszy, między miastem i miastem, między chwilą i chwilą... Poszli na Stare Miasto, mijając nabrzeża, porzucone kamienne domy, weszli na wzgórze i dotarli na podwórko ich kamienicy. Vasli wyrwał się ojcu i zniknął w tłumie dzieci bijących się, krzyczących i biegających po podwórku. Ladislas Gaye zawołał na syna, zrezygnował, wspiał się po ciemnych schodach i ruszył ciemnym korytarzem na trzecim piętrze, wszedł do ciemnej kuchni, pierwszego pomieszczenia ich dwupokojowego mieszkania. Żona obierała ziemniaki przy kuchennym stole. Miała na sobie brudny biały szlafrok, a na gołe stopy włożyła brudne klapki z różowego kordonka.

— Jest szósta, Ladis — odezwała się, nawet na niego nie patrząc.

— Byłem na Nowym Mieście.

— Dlaczego ciągnąłeś dziecko tak daleko? Gdzie on jest? Gdzie jest Tonią i Givana? Wołałam je kilka razy. Na pewno nie ma ich na podwórku. Dlaczego poszedłeś z dzieckiem tak daleko?

— Byłem u...

— Plecy mnie bolą bardziej niż zwykle, to pewnie przez ten upał, dlaczego lato jest tu takie gorące?

— Daj, ja obiorę.

— Nie, już skończę. Mógłbyś wreszcie przeczyścić te odpowietrzniki w kuchence, Ladis, prosiłam cię o to chyba z pięćdziesiąt razy. Teraz już zupełnie nie mogę jej zapalić, jest obrzydliwie brudna, a z moimi plecami nie mogę się wziąć za jej szorowanie.

— Dobrze. Tylko zmienię koszulę.

— Posłuchaj, Ladis... Ladis! Czy Vasli jest na podwórku w dobrym ubraniu? Zejdź na dół i zaraz go tu przyprowadź, jak twoim zdaniem możemy sobie pozwolić na pranie jego dobrego ubrania za każdym razem, kiedy je wkłada? Ladis? Przyprowadź go tu! Czy ty nigdy nie możesz sam pomyśleć o takich rzeczach? Pewnie już jest obrzydliwie brudny od zabawy z tymi chłopaczyskami!

— Idę, daj mi trochę czasu, dobrze?

We wrześniu zerwał się wschodni jesienny wiatr, który wiał wzdłuż pustych, kamiennych domów i jasnej, wzburzonej rzeki, pędził ulicami miasta niezliczone śmieci, wpychał pył do oczu i ust ludzi wracających z pracy do domu. Ladislas Gaye minął ulicznego mówcę, dziewczynkę, która zbiegała stromą ulicą, głośno płacząc, kiosk z gazetami, których nagłówki oznajmiały, że "Pan Neville Chamberlain w Monachium", duży unieruchomiony samochód, wokół którego zebrał się spory tłumek, grupę młodzieńców przypatrujących się walce na pięści, dwie kobiety rozmawiające ze sobą przez ulicę — jedna stała na krawężniku, a druga, ubrana w błękitnoszkarłatny atłasowy szlafrok, wychylała się do połowy z okna mieszkania; widział i słyszał to wszystko i nie widział

ani nie słyszał niczego. Był bardzo zmęczony. Dotarł do domu. Jego córeczki bawiły się na podwórku, w studni cienia głębokiej na trzy piętra. Zobaczył je w grupie piszczących dziewczynek, ale nie zatrzymał się. Wszedł po ciemnych schodach, przeszedł przez korytarz i wszedł do kuchni. Jego żona nabrała ostatnio sił, bo nieco się ochłodziło, ale teraz była w złym nastroju, gotowa do płaczu; Vasli i kilku innych chłopców zostało przyłapanych na męczeniu kota, którego oblewali naftą, żeby go potem podpalić.

— To niedobre dziecko, mały potwór, jak to możliwe, żeby dziecko chciało zrobić coś tak straszego? — Vasli był zamknięty w środkowym pokoju i wrzeszczał ze złości. Ladislas Gaye usiadł przy kuchennym stole i objął głowę rękami. Było mu niedobrze. Żona dalej coś mówiła o dziecku, o innych dzieciach na podwórku. — Ta pani Rasse, żeby tak wetknąć głowę bez pukania i pytać, czy wiem, co wymyślił mój mały Vasli, jakby jej bachory były powodem do dumy, z tymi brudnymi twarzami i różowymi oczyma jak stado królików. Zamierzasz coś z tym zrobić, czy będziesz tak tu siedział? Uważasz, że potrafię sobie dać z nim radę? Czy takiego syna chcesz?

— A co ja mogę na to poradzić? Będziemy dzisiaj coś jedli? O ósmej mam lekcję gry na fortepianie. Na litość boską, daj mi przez chwilę spokojnie posiedzieć.

— Spokojnie! Chcesz spokoju i nic cię nie obchodzi, że dziecko zmienia ci się w takie samo zwierzę, jak wszyscy inni! Dobrze, co mnie to obchodzi, jeśli ty tego chcesz. — Chodziła po kuchni, stukając swoimi różowymi klapkami. Robiła kolację.

— Małe dzieci są okrutne — rzekł Ladis. — Nie wiedzą, co to znaczy. Dowiadują się później.

Wzruszyła ramionami. Vasli teraz szlochał za drzwiami; wiedział, że ojciec jest już w domu. Ladislas Gaye poszedł do tego pokoju i usiadł z dzieckiem w półmroku. W drugim pokoju, gdzie w łóżku leżała babka, z radia grzmiała muzyka taneczna; Ladislas kupił je dla niej z drugiej ręki. Było ono jej jedyną rozrywką i babka mówiła tylko o tym, co usłyszała w radiu. Vasli przytulił się do ojca. Nie płakał już, wycieńczony.

— Nie wolno ci robić takich rzeczy z innymi chłopcami, Vasli — mruknął w końcu ojciec. — Biedne zwierzątko jest słabsze od ciebie i samo sobie nie poradzi.

Dziecko milczało. W tym pokoju zebrały się wokół nich całe teraźniejsze i przyszłe okrucieństwo, bieda i ciemność. W sąsiednim pokoju puzony grzmiała walca. Vasli w milczeniu przywarł do ojca.

W natarczywym hałasie puzonów, zawieszonym jak słodki syrop od kaszlu, Gaye przez chwilę słyszał głęboki, czysty grzmot swego Sanctus, niczym grzmot wśród gwiazd nad krawędzią wszechświata — przez jedną chwilę, jakby zniknął gdzieś dach budynku, a on sam spojrział wysoko w całkowitą, trwałą ciemność, tylko przez jedną chwilę. Spiker bełkotał gładko, z ożywieniem. Kiedy Gaye wrócił do kuchni, powiedział do żony, przekrzykując piskliwe głosy obu dziewczynek:

— Angielski premier jest z Hitlerem w Monachium.

Nie odpowiedziała, tylko postawiła przed nim zupę i ziemniaki. Wciąż była zdenerwowana i zła.

Jedz i nic nie mów, ty bezwstydniku! — warknęła na syna, który już o wszystkim zapomniał i sprzeczał się z siostrami.

Kiedy późnym wieczorem Gaye schodził ze wzgórza, a potem szedł po moście przez rzekę Ras, w głowie dźwięczała mu melodia. Był to ostatni z siedmiu wierszy, do których skomponował muzykę. Zrobił to za jednym zamachem w sierpniu; zastanawiał się, czy jest ich wystarczająco dużo, by je przepisać i wysłać do Ottona Egorina, do Krasnoj. Męczyła go jednak ostatnia linijka wiersza, ta, która znaczyła “To Ty w swym miłosierdziu zwalasz nam na głowy wszystko, co budujemy, byśmy mogli dostrzec niebo: nie skarżę się więc”. Tę ostatnią linijkę sfuszerował; powinna brzmieć tak — Gaye zanucił ją sobie, zanucił cały wiersz, usłyszał akompaniament. O, tak, właśnie tak. Dałby Bóg, żeby jego uczeń się spóźnił, to przed lekcją mógłby rozpracować melodię na fortepianie w Scholi. Spóźnił się jednak on sam. Po lekcji głowę miał pełną ćwiczeń Clementiego i chociaż melodia była już gotowa, nie potrafił sobie dać rady z akompaniamentem; na moście usłyszał go w czystszej, pełniejszej postaci. Próbował wiersz, całą pieśń raz po raz, ale woźny skończył już sprzątać i chciał zamknąć budynek. Gaye wyruszył do domu. Wiatr był teraz mocny i zimny, niebo puste, a rzeka pod łukami mostu czarna jak olej. Zatrzymał się na chwilę na moście, ale nie słyszał już swojej muzyki.

W domu usiadł przy stole w kuchni z rękopisem pieśni, ale ponieważ miał przed oczyma gorszą wersję i nie mógł usiąść do fortepianu, umknął mu nawet nastrój akompaniamentu; nie mógł niczego przywołać. Wiedział, że jest zbyt zmęczony, by pracować, ale mimo wszystko uparcie i ze złością próbował coś usłyszeć i zapisać. Przez pół godziny siedział w bezruchu, nie poruszając ręką. Po drugiej stronie stołu jego żona naprawiała sukienkę Toni, słuchając jakiejś audycji dobiegającej z radia babki. Zatkaną rękoma uszy. Powiedziała coś o muzyce, ale on tego nie słuchał. Całkowita niemożność pisania przytłaczała go swoim ciężarem niczym głaz leżący mu na piersi. Pomyślał, że nic się nigdy nie zmieni i w następnej chwili poczuł ulgę, lekkość i pewność, całkowitą pewność. Pomyślał wtedy, że to jego własna pieśń, uniósł głowę i zrozumiał, że naprawdę słyszy swoją melodię. Nie musi jej zapisywać. Została napisana już dawno temu, nikt już nie musi cierpieć z jej powodu. Śpiewała ją Lehmann:

Du holde Kunst, ich danke dir.

Przez dłuższy czas siedział w bezruchu. Otto Egorin powiedział, że muzyka ich nie zbawi. Ani jego, ani jej, dużej, złotogłosej kobiety, która nie ma własnych dzieci i wcale ich nie chce mieć; ani Lehmann, która śpiewała tę pieśń; ani Schuberta, który ją napisał i nie żył już od stu lat. Na co się zda muzyka? Na nic, pomyślał Gaye, i o to właśnie chodzi. Światu, jego państwowym, armiom, fabrykom i przywódcom muzyka mówi: “Nie macie żadnego znaczenia”, arogancka i łagodna niczym jakiś bóg, a cierpiącemu czło-

wiekowi mówi jedynie: “Słuchaj”. Nie chodzi bowiem o zbawienie. Muzyka niczego nie zbawia. Miłosierna, obojętna, niszczy wszelkie schronienia, domy, które wybudowali dla siebie ludzie, aby móc zobaczyć niebo.

Gaye odłożył zapisane, poliniowane kartki papieru, tomik poezji, pióro i atrament. Przeciągnął się i ziewnął.

— Dobranoc — rzekł swoim cichym głosem i poszedł spać.

dom

Październikowe słońce kładło się złotem na drodze, a pod jej stopami szeleściły setki suchych, gorących popołudni. Przez całe kwartały ścigały ją znajome cienie, cegły i balkony. Fontanny przemawiały do niej tak, jakby wcale stąd nie wyjeżdżała. Nie było jej osiem lat, a to głupie miasto nawet nie zauważyło jej nieobecności; słońce i szmer licznych wód wisiały wokół niczym ściany jej własnego domu. Zmieszana i urażona, minęła dom przy ulicy Reyn 18 bez jednego spojrzenia na jego drzwi czy mur otaczający ogród, chociaż coś — lecz nie jej oczy — dostrzegło, że te drzwi i furтка są zamknięte. Potem miasto zostawiło ją w spokoju. Po kilku kwartałach już jej nie rozpoznawało. Fontanny mówiły do innych. Teraz była zdezorientowana w nieco odmienny sposób, nie rozpoznawała żadnego skrzyżowania, żadnego progu czy okna mijanych sklepów i domów. Musiała ze wstydem pytać o drogę tabliczki z nazwami ulic i numerami domów, a kiedy znalazła miejsce, którego szukała, budynek mieszkalny z kilkoma wejściami, musiała wejść do środka i pytać u otwartych drzwi. Nie posłane łóżka, rodzinne kłótnie i nie dopięte szlafroki wysłały ją na trzecie piętro, gdzie na jej pukanie zareagowała jedynie przypięta do drzwi karteczka, na której napisano ołówkiem: F.L. PANIN. Zajrzała do środka. Pokój na mansardzie, zapchany solidnymi kanapami i stołami zlikwidowanego domu; obcy pokój, słoneczny, duszny, bezbronny.

Naprzeciwko niej znajdowały się drzwi zawieszona zasłoną.

— Jest tu kto? — zapytała, a zza zasłony odpowiedział jej zaspiany głos:

— Chwileczkę.

Zaczekała.

Przeszedł przez pokój, on sam, tak całkowicie będący sobą samym, jak kamienie i słońce miasta po tych ośmiu latach; rzeczywistość jej smutnych snów, w których oboje zatrzymywali się w gospodach przysiadłych przy drogach wiodących w szare góry i chodząc po zimnych korytarzach, nie mogli znaleźć nawzajem swoich pokoi; oryginał tych wszystkich imitacji, które w zimowe wieczory w Krasnoy przechodziły przez ulicę jego krokiem albo rozglądały się, poruszając głową jak on: on sam.

— Przepraszam, spałem.

— Jestem Mariya.

Stał nieruchomo, marynarka wisiała na nim jak na wieszaku. Dostrzegłszy to, zobaczyła też, że włosy mu jakoś poszarzały. Był chudy, szary, zmieniony. Nie poznałaby go na ulicy. Podali sobie ręce.

— Usiądź, Mariyo — powiedział i oboje usiedli w dużych, wytartych fotelach. Na dzielącej ich nagiej podłodze leżał pas czystego, niezrównanego, jesiennego słońca Aisnar.

— Mam alkowę, ale Paninowie pozwalają mi korzystać z tego pokoju pod ich nieobecność. Oboje pracują na dziennej zmianie w GPR.

— Ty też tam pracujesz — na wieczornej zmianie? Chciałam ci zostawić kartkę.

— Zwykle o tej porze wybierałbym się do pracy. Mam kilka dni wolnego. Grypa.

Powinna była się spodziewać, że o nic jej nie zapyta. Nie lubił odpowiadać na pytania i sam rzadko je zdawał. Nie pozwalał mu na to szacunek do samego siebie, szacunek tak głęboki, że ogarniał nim wszystkich innych, uznawał ich za odpowiedzialnych, zwalniał od pytań. Jak mu się udało tak długo przeżyć w tym świecie publicznych spowiedzi?

— Mam dwa tygodnie urlopu — powiedziała. — Pracuję w Krasnoy, uczę w szkołach podstawowych.

Widok uśmiechu na twarzy mężczyzny, którego nie znała, zdezorientował ją.

— Rozwiodłam się z Givanem.

Wpatrywał się w pas słońca na podłodze. Odpowiedziała na następne pytanie, którego nie zadał:

— Cztery lata temu. — Następnie wyjęła w samoobronie papierosa. Zanim jednak postawiła zasłonę dymną, zebrała się na odwagę i spytała, sięgając ku niemu poprzez słoneczny blask: — Zapalisz?

— Tak, dzięki. — Spojrzał na papierosa, powąchał go i z zadowoleniem pochylił się do płomyka zapalki. Zaciągnął się dymem i rozkaszał ostrym, suchym kaszlem, jakby eksplodowały ciężkie pociski artyleryjskie. Nigdy nie słyszała, żeby robił tyle hałasu. Przez cały czas nie wypuszczał papierosa z palców i kiedy wyrównał oddech, znów pociągnął, nie połknął jednak dymu.

— Nie powinienes palić — rzekła bezradnie.

— Nie palę — odparł. Na czoło wystąpił mu pot, wilgotne miał nawet włosy, które, jak teraz zauważyła, były tylko trochę siwe. Wkrótce starannie zgasił papierosa i schował niedopałek do kieszeni koszuli. Zrobił to z wdziękiem i swobodą, ale potem spojrział na nią przepaszająco. Nie było jej przy nim, kiedy nauczył się chować niedopałki, mogła się więc poczuć skrępowana. Siliła się na obojętność, wiedząc, jak bardzo ten mężczyzna nie lubi krępować innych. .

Pokój obcych ludzi, meble pochodzące z innego domu, stały w milczeniu dookoła nich.

— Po co przyjechałaś, Mariyo? — Pytanie, które zadałby każdy inny mężczyzna, nie było jego pytaniem, podobnie jak jego głos; jedynie oczy, czyste, szczere i uparte, były jego.

— Żeby się z tobą zobaczyć. To znaczy porozmawiać z tobą, Pier. Musiałam. Jestem samotna. A nawet więcej, jestem sama. Zupełnie sama. Na zewnątrz. W Krasnoy nie ma nikogo, z kim mogłabym porozmawiać, oni mnie nie potrzebują. Kiedy byliśmy małżeństwem, myślałam, że gdybym była sama, samodzielna, to mogłabym poznać wielu interesujących ludzi, przyjaciół, i znaleźć się wewnątrz; wiesz, co chcę powiedzieć? Nie miałam racji. Ty miałeś wtedy przyjaciół i na pewno masz ich teraz. Kiedy poznajesz ludzi, masz oparcie. Ja go nigdy nie miałam, nigdy się z nikim nie zaprzyjaźniłam. Nigdy nie dotarłam do innego człowieka — poza tobą. Chyba tak naprawdę nigdy nie chciałam do nikogo dotrzeć. Teraz chcę. — Przerwała i z tym samym przerażeniem, z jakim słuchała jego kaszlu, usłyszała swój głośny szloch. — Już dłużej tego nie wytrzymam. Wszystko się rozpada. Straciłam całą energię. — Mówiła bardzo szybko. — Czy ludzie kupują tu sól? W Krasnoy nie można już jej dostać, ludzie wykupują, bo podobno oparzenia od napromieniowania można wyleczyć, owijając się prześcieradłem wymoczonym w słonej wodzie. Czy to prawda? Nie wiem. Czy wszyscy tutaj się boją? Nie chodzi tylko o bomby, rozmawiają też o innych rzeczach, o broni biologicznej, o tym, że jest za dużo ludzi i przybywa ich coraz więcej, dlatego niedługo będziemy jak te szczury w pudle. I nikt już chyba nie ma nadziei na poprawę. Poza tym starzejemy się, myślimy o śmierci, a w takim czasie wszystko wydaje się takie podłe i bezsensowne. I życie, i śmierć. Zupełnie, jakbym stała w nocy sama na wietrze, który przewiewa mnie na wskroś. Staram się trzymać prosto i zachować nieco godności, ale już w nią nie wierzę, czuję się jak mrówka w mrowisku, nie dam rady sama!

Aby zaoszczędzić bólu jej lub sobie, już wcześniej podszedł do okna. Teraz powiedział łagodnie, wciąż stojąc tyłem do niej:

— Nikt nie da rady. Nie możesz jednak wrócić, moja droga. Tego też nikt nie potrafi.

— Nie staram się wrócić. Naprawdę. Staram się tylko z tobą spotkać, tu i teraz, nie rozumiesz? Tu, gdzie się teraz znaleźliśmy. Bo jesteś jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek spotkałam. Wszyscy idą innymi drogami, mieszkają w innych domach. Czy nigdy nie myślałaś, że będę musiała do ciebie wrócić?

— Nie pomyślałam o tym ani razu.

— Ależ ja cię nigdy nie opuściłam, Pier! Tylko uciekłam, bo wiedziałam, że należę do ciebie, i sądziłam, że będę sobą tylko wtedy, kiedy się od ciebie uwolnię. Być sobą — rzeczywiście, świetnie mi to zrobiło! Uciekałam tylko jak jakaś głupia suka, aż skoń-

czyła mi się smycz.

— No cóż, smycze mają dwa końce — rzekł, pochylając się do przodu, jakby chciał spojrzeć przez szybę na dach, na chmurę, na odległy, szary górski szczyt. — Puściłem ją.

Spróbowała przygładzić rudoblond włosy, które wymknęły się niesfornymi kosmykami z zawiniętych warkoczy. Głos jej wciąż drżał, lecz powiedziała z godnością:

— Nie mówiłam o miłości, Pier.

— To w takim razie nie rozumiem.

— Miałam na myśli lojalność. Przyjęcie kogoś jako część swego życia. Albo się to robi, albo nie. My zrobiliśmy. Ja byłam nielojalna. Pozwoliłeś mi odejść, ale nie jesteś zdolny do nielojalności.

Wrócił do swego fotela i usiadł na nim. Teraz miała odwagę na niego spojrzeć i upewniła się, że twarz Piera właściwie się nie zmieniła; została naznaczona czy też zartata przez chorobę lub ciężkie czasy: nie była to zmiana, lecz utrata.

— Posłuchaj, moja droga — słowo to brzmiało w uszach Mariyi niezwykle przyjemnie, choć wiedziała, że świadczy jedynie o jego ogólnej życzliwości — posłuchaj, moja droga, wszystko jedno jak to nazywasz, usiłujesz wrócić. Nie ma już do czego wracać. Pod każdym względem. — Spojrzał na nią z tą swoją życzliwością, jakby żałował, że nie może osłodzić faktów.

— Co się stało? Powiesz mi? Nie teraz, jeśli nie chcesz. Kiedy indziej. Rozmawiałam z Moshem, ale nie chciałam pytać go o ciebie. Przyjechałam tu, myśląc, że wciąż mieszkasz w domu przy ulicy Reyn i... w ogóle.

— No cóż, za rządów Pentora wydaliśmy kilka dzieł, które przysporzyły Domowi kłopotów, kiedy znów nastał R.E.P. Bernoy, jeśli go pamiętasz, Bernoy miał tamtej jesieni proces razem ze mną. Byliśmy w więzieniu na północy. Wypuścili mnie dwa lata temu. Oczywiście nie mogę już pracować dla państwa na odpowiedzialnym stanowisku, a to wyklucza pracę dla Domu. — Wciąż mówił "Dom", nazywając tak wydawnictwo Korre i Synowie, które należało do jego rodziny i było przez nią prowadzone od roku 1813 do 1946. Kiedy firma została znacjonalizowana, zatrzymano go w niej na stanowisku dyrektora. Piastował je, kiedy Mariya go poznała, wyszła za niego i opuściła go. Nigdy nie sądziła, że Pier przestanie być dyrektorem Domu.

Wyjął z kieszeni niedopałek papierosa, wziął ze stołu pudełko zapalek i zawahał się.

— Chodzi o to, że nie znajduję się teraz w tym samym punkcie, co podczas naszego małżeństwa. Widzisz, ja nie jestem w żadnym szczególnym punkcie. A nasze małżeństwo dawno się skończyło. W tej chwili lojalność naprawdę się nie liczy. — Zapalił papierosa i bardzo ostrożnie nabrał w usta dymu.

Abażur lampy stołowej był fioletowy i wykończony pomponikami — pozostałość innego świata. Mariya bawiła się nim, pociągając kolejno zakurzone, fioletowe kulki, jak-

by je odliczała. Miała ściągnięte brwi.

— No dobrze, ale gdzie powinna mieć miejsce lojalność, jak nie w krytycznej sytuacji? Mówisz tak, jakbyś się poddał, Pier!

Milczenie oznaczało potwierdzenie.

— Nie miałam kłopotów ani nie byłam w więzieniu, mam pracę i własny pokój. Powodzi mi się o wiele lepiej. Ale spójrz na mnie. Jak pies, który się zgubił. Ty przynajmniej możesz żywić do siebie szacunek, bez względu na to, co ci odebrali, ale ja straciłam właśnie to: szacunek do samej siebie.

— Ty zabrałaś mój szacunek do samego siebie osiem lat temu! — powiedział Pier, poblądłszy nagle z gniewu.

Prawda wyglądała inaczej, ale Mariya nie winiła go, że w to wierzy. Upierała się przy swoim:

— Dobrze, zatem żadne z nas nie ma szacunku do samego siebie, i nic nie stoi na przeszkodzie naszemu spotkaniu.

Milczenie nie oznaczało potwierdzenia.

Mariya odliczyła dziewięć pomponików, a potem jeszcze dziewięć.

— Chcę powiedzieć, powinnam to powiedzieć, Pier, że chcę sprawdzić, czy możemy się znowu spotkać; czy mogę przyjść do ciebie. Nie wrócić, ale po prostu przyjść. W tej sytuacji mogłabym ci nawet pomóc. Przyjechałam tu, żeby zebrać, nie wiedziałam... mogę dostać przeniesienie do którejs z tutejszych szkół. Moglibyśmy znaleźć sobie dwa pokoje, a kiedy jest się chorym, to dobrze jest mieć kogoś, kto się wszystkim zajmie. To byłby lepszy układ od tego, który mamy teraz, dla nas obojga. — Jej twarz znów zaczęła się kurczyć od łez. Nie mogła ich powstrzymać i wstała, żeby wyjść. Zahaczyła rękawem o abażur i lampa z trzaskiem spadła ze stołu. — Żałuję, że tu przyszłam! Bardzo żałuję! — zawołała, podnosząc lampę i usiłując wyprostować abażur. Odebrał jej lampę.

— Żarówka się rozbiła, widzisz, abażur nakłada się na żarówkę. Nie płacz, Mariyo. Będziemy musieli kupić nową. Proszę cię, moja droga. Nic się nie stało.

— Ja kupię nową żarówkę. Potem wyjadę.

— Nie mówiłem, żebyś wyjeżdżała. — Odsunął się od niej. — Nie mówiłem też, żebyś przyjeżdżała. Nie wiem, co powiedzieć. Odchodzisz z tym łajdakiem Givanem Pelle, rozwodzisz się ze mną, a potem wracasz, by mi powiedzieć, że liczy się tylko lojalność. Naprawdę? A moja się liczyła? Powiedziałaś mi wtedy, że wierność to burżuazyjny wykręt wynaleziony przez małżonków, którzy nie mają odwagi prowadzić życia w wolności.

— Ja tego nie mówiłam, ja tylko powtarzałam, nie poznałeś, że nauczyłam się tego od Givana!

— Nie obchodzi mnie, gdzie się tego nauczyłaś, powiedziałaś to mnie!

Zaczerpnął powietrza. Spojrzał na przekrzywiony abażur i po minucie powiedział:

— Dobrze. Zaczekaj.

Usiadł. Żadne z nich nic nie mówiło. Złocista pręga pełzła niepostrzeżenie w górę, w miarę jak jej drugi koniec, ten od strony słońca, zsuwał się nad ciche pola uprawne leżące na zachód od Aisnar. Mariya widziała twarz Piera poprzez złocisty pył. Czternaście lat temu, kiedy brali ślub, był przystojnym mężczyzną. Przystojnym, szczęśliwym, dumnym i życzliwym, doskonałym fachowcem w swojej pracy. Miał w sobie jakąś wspaniałość, pełnię.

Teraz to zniknęło. Na świecie nie było już miejsca dla takich ludzi. To, co mu zrobiła, stanowiło jedynie część ogólnego planu przycinania go i ludzi jemu podobnych do odpowiednich rozmiarów, planu obcinania, temperowania i łamania, żeby w tkance życia nie zostało nic dużego i twardego, nic wielkiego.

Nad komodą wisiało lustro oprawne w złocone ramy i Mariya podeszła do niego, żeby poprawić sobie warkocze. W lustrze odbijało się brązowe powietrze salonu rozproszonego dawno temu, lecz w lustrze story wciąż były zaciągnięte. Jej twarz znajdowała się tam tylko jako plama wśród licznych srebrzystych płytek ślepoty. Zajrzała za zasłonę i zobaczyła prymus, polowe łóżko, dwie skrzynki służące za spiżarnię i biurko. Spojrzała na łóżko polowe i pomyślała o dębowym łożu w domu przy ulicy Reyn, o białych prześcieradłach i odrzuconej białej kołdrze, o gorących letnich porankach budzących się na szmer fontanny wpadający przez okna otwarte na blask księżyca, a teraz lśniącego od słońca, z lekko powiewającymi białymi zasłonami — o letnich dniach małżeństwa.

Westchnęła, tak mocno ściśnięta między przeszłością i terażniejszością, że ledwie oddychała.

— Powinno być jakieś miejsce, gdzie można by pójść, jakiś kierunek biegu rzeczy, prawda? Co się stało z Bernoyem, Pier?

— Tyfus. W więzieniu.

— Pamiętam go z tą dziewczyną, która wrzucała perły do wina, ale one były sztuczne.

— Nina Farbey.

— Czy wzięli ślub?

— Nie, ożenił się ze starszą córką Akoste. Ona mieszka teraz we wschodniej części miasta, czasami się z nią widuję. Mieli dwóch chłopców. — Wstał, rozcierając sobie twarz, i przeszedł obok Mariyi, żeby ze skrzyni przy łóżku wziąć krawat i grzebień. Doprowadził się do ładu, zaglądając w lustro, które nie chciało go zobaczyć.

— Posłuchaj, Pier, chcę ci coś powiedzieć. W jakiś czas po naszym ślubie Givan oznajmił mi, że chciał się ze mną ożenić, między innymi dlatego, iż wiedział, że nie mogę mieć dzieci. Nie wiem, mówił dużo takich rzeczy, niewiele znaczyły. Ale przez nie zaczęłam się zastanawiać, dzięki nim zrozumiałam, że to może dlatego cię zostawiłam.

Kiedy dowiedziałam się, że nie mogę mieć dzieci, wiesz, po tym poronieniu, to nie wydawało się takie złe. Czułam się jednak coraz lżejsza, jakbym nic w sobie nie miała, jakbym nic nie ważyła, jakby nic, co robię, nie miało znaczenia. Ty jednak byłeś rzeczywisty, to, co robiłeś, wciąż miało znaczenie. Tylko ja się nie liczyłam.

— Szkoda, że mi wtedy tego nie powiedziałaś.

— Wtedy tego nie wiedziałam.

— Chodźmy.

— Ja pójdę, jest zimno. Jest tu w pobliżu jakiś sklep?

— Chcę wyjść. — Zeszli po rozklekotanych schodach. Na dworze Pier zrobił głęboki oddech, jak nurek skaczący do górskiego jeziora, i wypuścił krótką serię kaszlu, ale potem było już dobrze. Szli szybko, zimno doskwierało, a chłód, złociste światło i bryły błękitnego cienia sprawiały im radość.

— Co u... — pytała o różnych dawnych znajomych, a on jej opowiadał. Nie wypadł z sieci przyjaźni, znajomości i związków krwi, małżeństwa, pracy czy temperamentu, tkanej przez sto trzydzieści lat przez jego rodzinę i ich Dom, umocnionej dzięki jego pozycji w stolicy prowincji i rozszerzonej dzięki jego towarzyskiemu usposobieniu. Mariya myślała o sobie, że urodziła się dla nielicznych, głębokich przyjaźni, że nie pasuje do uprzejmych i radosnych obiadów oraz podwieczorków jego życia. Teraz sądziła, że nie była to kwestia niedopasowania, lecz zazdrości. Nie chciała, żeby się spotykał ze swymi przyjaciółmi, zazdrościła darów, jakie im dawał: jego uprzejmości, życzliwości, uczucia. Zazdrościła mu jego umiejętności życia i przyjemności, jaką z niego czerpał.

Weszli do sklepu i Pier poprosił o czterdziestowatową żarówkę. Kiedy sprzedawca jej szukał, a potem wypełniał rządowe formularze sprzedaży, Mariya przygotowała pieniądze. Pier już położył odpowiednią sumę na ladzie.

— Ja ją stłukłam — powiedziała półgłosem.

— Jesteś gościem. To moja lampa.

— Nie, należy do Paninów.

— Proszę — rzekł uprzejmie, a sprzedawca wziął jego pieniądze. Zadowolony z tego zwycięstwa, zapytał, wychodząc ze sklepu:

— Przechodziłaś ulicą Reyn?

— Tak.

Uśmiechnął się; w promieniach nisko stojącego słońca jego twarz ożywiła się.

— Patrzyłaś na dom?

— Nie.

— Wiedziałem! — Czerwonawe światło rozpałało go niczym zapalkę. — Chodź, obejrzymy go. Wcale się nie zmienił. Chciałabyś? Jeśli nie, to powiedz. Po powrocie nawet nie mogłem obok niego przejść. — Wracali teraz drogą, którą tu przyszła. — To oczywiście — ciągnął zupełnie swobodnie — okazało się moją rafą, moją zgubą. Twoją

jest izolacja. Moją — posiadanie. Miłość miejsca. Miłość jednego miejsca. Tak naprawdę ludzie nie są dla mnie tak ważni, jak dla ciebie. Po pewnym czasie zrozumiałem to, tak jak ty; chodzi o to samo, o lojalność. Chcę powiedzieć, że posiadanie i lojalność właściwie nie są od siebie zależne. Można stracić miejsce, ale zachowuje się lojalność. Teraz chciałbym przejść obok domu. Przez pewien czas był w nim urząd państwowy, drukowali jakieś formularze. Nie wiem, co teraz tam jest.

Wkrótce szli po suchych liściach jaworów między murami ogrodów i spokojnymi, ozdobnymi frontonami starych domów. Wiatr jesiennego wieczoru pachniał słodyczą. Zatrzymali się i spojrzeli na dom pod numerem 18: złocisty fronton zdobiony sztukaterią; żelazny balkon nad drzwiami wychodzący prosto na ulicę; wysokie, piękne okna po obu stronach drzwi, a powyżej trzy okna. Nad ogrodowym murem pochyłała się dzika jabłoń. Wiosną okna wschodnich sypialni otwierały się na spienioną chmurę jej kwiatów. Na placyku przed domem do płytkiej misy spadała woda fontanny, a stojąc przy bramie w murze, słyszeli cichy plusk odpowiadającej jej małej fontanny z najadą w ogrodzie. Kiedy latem były otwarte okna, dom wypełniał szmer wody. Wbrew zamkniętym drzwiom, zamkniętej bramie, zaciągniętym storom Mariya pamiętała otwarte okna wypełnione blaskiem księżyca i słońca, liście, szmer wody i ludzkich głosów.

— Posiadanie to kradzież — odezwał się w zamyśleniu Pier Korre, patrząc na swój dom.

— Wygląda na pusty. Wszystkie story są zaciągnięte.

— Owszem. No dobrze, chodźmy.

Kiedy przeszli kilka kwartałów, powiedziała:

— Nic nigdzie nie prowadzi. Przychodzimy i stajemy na ulicy niczym turyści. Wybudowała go twoja rodzina, ty się w nim urodziłeś, mieszkaliśmy tu. Całymi latami. Nie mówię o naszych latach, ale o wszystkich tych latach. Wszystko to zostało przerwane. Wszystko leży w gruzach.

Kiedy tak szli, czasami rozdzielani przez jakiegoś śpieszącego się mężczyznę czy starszkę pchającą taczkę wyładowaną drewnem na opał, bo wąskie ulice Aisnar wypełniały się ludźmi wychodzącymi z pracy, Mariya cały czas do niego mówiła.

— Nie mogę już wytrzymać nie tylko izolacji od innych ludzi, samotności. Chodzi o to, że nic już nie trzyma się całości, wszystko jest zniszczone, rozbite: ludzie, lata, wydarzenia. Wszystko jest w kawałkach, fragmentach, nie powiązane ze sobą. Nic już nie ma znaczenia. Zaczyna się od niczego, nieważne więc, w którą stronę się idzie. Ale to musi mieć znaczenie.

Omijając wózek pełen cebuli, Pier powiedział albo “powinno”, albo “ale go nie ma”.

— Ma. Musi. Dlatego wróciłam. Mieliśmy przed sobą drogę, prawda? To właśnie oznacza małżeństwo, wspólną podróż, nocą i dniem. Bałam się jej, myślałam, że się zgubię, że stracę swoją cenną osobowość. Więc uciekłam. Ale nie mogłam tego zrobić, bo

nie było dokąd pójść. Jest tylko jedna droga. Poślubiłam cię w wieku dwudziestu jeden lat, a teraz, w czternaście lat później i po dwóch rozwodach wciąż jestem twoją żoną. Zawsze nią byłam. Wszystko, co robiłam, od kiedy skończyłam dwadzieścia lat, robiłam dla ciebie, tobie, z tobą albo wbrew tobie. Nikt inny się nie liczył, chyba że dla porównania z tobą, w związku z tobą lub w przeciwieństwie do ciebie. Ty jesteś domem, do którego wracam. Bez względu na to, czy drzwi są otwarte, czy zamknięte.

Szedł obok niej w milczeniu.

— Czy mogę tu zostać, Pier?

Jego głos ledwo uwolnił się spośród gwaru panującego na ulicy:

— Nie ma drzwi. Nie ma żadnego domu.

Twarz miał zmęczoną i złą; nie patrzył na Marię. Doszli do jego kamienicy, weszli po schodach i znaleźli się w mieszkaniu Paninów.

— Moglibyśmy znaleźć coś lepszego — rzekła nieśmiało. — Trochę intymności...

Pokój był ciemny, okno stanowiło bezbarwny kwadrat pustego wieczornego nieba. Pier usiadł na kanapie. Mariya wkręciła nową żarówkę, umocowała na niej abażur z pomponikami, włączyła i zgasiła lampę. Ciało Piera, niezręcznie odprężone, odarte z wszelkiego wdzięku i treści, która utrzymuje mężczyznę twardo na ziemi, było niczym cień pośród innych cieni. Usiadła obok niego na podłodze. Po chwili ujęła go za rękę. Siedzieli w milczeniu; panujące między nimi milczenie było ciężkie, było obecne, miało długą przeszłość oraz przyszłość, było niczym długa droga, po której idzie się u schyłku dnia.

Do pokoju wkroczyli ciężko jacyś ludzie, zapalili światło, coś mówili, patrzyli: brzydka, niewinnie wyglądająca para dwudziestolatków, on mizerny, ona w ciąży. Mariya zerwała się, przyglądając warkocze. Pier wstał.

— Państwo Paninowie, Mariyo — rzekł. — Martinie, Anno, to Mariya Korre. Moja żona.

pani na moge

Spotkali się raz, kiedy oboje mieli po dziewiętnaście lat, a potem w cztery lata później. Temu, że potem widzieli się już tylko raz, i to po bardzo długiej przerwie, zawinił Andre. Nie był to rodzaj winy, jakiej można by się po nim spodziewać, widząc go w wieku dziewiętnastu lat: był to młodzieniec zawieszony nad swoim przeznaczeniem niczym jastrząb. Zauważało się oczy, jastrzębie oczy, czyste, nieruchome, przenikliwe. Dopiero kiedy zamykały się we śnie, ludzie dostrzegali jego twarz, piękną i bierną, twarz bohatera. Bohaterowie bowiem nie tworzą historii — to zadanie historyka — lecz unoszą się biernie z jej prądem, wznosząc się na fali zmiany, przypadku, wojny.

Ona to Isabella Oriana Mogeskar, córka hrabiów Helle i księżąt Moge. Była księżniczką i mieszkała w zamku na wzgórzu nad Molseną. Młody Andre Kalinskar przybywał, by prosić o jej rękę. Rodzinny powóz Kalinskarów przez pół godziny przemierzał ziemie Moge, przejechał przez otoczone murami miasto, wjechał na strome, ufortyfikowane wzgórze, przejechał przez bramę grubą na sześć stóp i zatrzymał się przed zamkiem. Wysoki mur wspaniale zdobiła spleciona koronka czerwonych pnączy, była bowiem jesień; kasztanowce, które rosły na dziedzińcu, płonęły nieskazitelnym złotem. Nad złocistymi drzewami, nad wieżami wisiało delikatne, czyste, wietrzne niebo późnego października. Andre rozglądał się z ciekawością. Nie mrugał oczyma.

Dwaj starzy towarzysze broni, ojciec Andre i książę Mogeskar, objęli się w pozbawionym okien holu zamku, wśród siodeł, muszkietów oraz sprzętu myśliwskiego, jeździeckiego i wojennego. Na piętrze, gdzie okna wychodziły na rzekę, a komnaty pełne były wygod czasów pokoju, przywitała ich księżniczka Isabella. Miała rudoblond włosy, pociąglą, spokojną i urodziwą twarz oraz szarobłękitne oczy — wyglądała jak Jesień jako młoda dziewczyna. Była wysoka, wyższa od Andre. Po ukłonie wyprostował się bardziej niż zwykle, lecz różnica wzrostu między nimi i tak wynosiła przynajmniej cal.

Tego wieczoru do stołu zasiadło osiemnaście osób — goście, dworzanie i Mogeskarowie: Isabella, jej ojciec i jej dwóch braci. George, wesoły piętnastolatek, rozmawiał z Andre o polowaniach; starszy brat i spadkobierca, Brant, zerknął na niego kilka razy,

raz posłuchał, co mówi, i odwrócił swą jasną głowę z zadowoleniem: jego siostra nie zniży się do tego Kalinskara. Andre zacisnął zęby i żeby nie patrzeć na Branta, patrzył na swoją matkę, która rozmawiała z księżniczką Isabella. Zobaczył, że obie na niego zerkaają, jakby mówiły o nim. W oczach matki ujrzał jak zwykle dumę i ironię, a w oczach dziewczyny? Nie pogardę; nie aprobatę. Po prostu go widziała. Widziała go wyraźnie. Ucieszyło go to. Po raz pierwszy poczuł, że szacunek może być motywem równie potężnym jak pożądanie.

Następnego dnia późnym popołudniem zostawił ojca oraz jego gospodarza ich dawnym bitwom i wszedł na dach zamku. Stał przy okrągłej wieży, by popatrzeć na Mol-senę i wzgórze w zamierającym, wietrznym, złocistym świetle. Podeszła do niego przez wiatr po kamieniach. Odezwała się bez pozdrowienia, jak do przyjaciela.

— Chciałam z tobą porozmawiać.

Jej urok niczym złocista pogoda uradował jego serce, rozzuchwiał go i jednocześnie uspokoił.

— A ja z tobą, księżniczko!

— Sądzę, że jesteś szczodrym człowiekiem — rzekła. W jej lekkim głosie dawały się słyszeć przyjemne chrapliwe, niemal gardłowe tony. Andre skłonił się lekko. Przez głowę przebiegały mu różne komplementy, ale coś kazało mu tylko powiedzieć:

— Dlaczego?

— To wyraźnie widać — odparła niecierpliwie. — Czy mogę rozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną?

— Jak mężczyzna...?

— Dom Andre, kiedy wczoraj cię poznałam, pomyślałam: “Wreszcie poznałam przyjaciela”. Czy miałam rację?

Prosi go czy rzuca mu wyzwanie? Był poruszony.

— Miałaś rację — odparł.

— A zatem czy mogę cię prosić, mój przyjacielu, żebyś nie usiłował się ze mną żenić? Nie zamierzam wyjść za mąż.

Zapadło długie milczenie.

— Zrobię, jak sobie życzysz, księżniczko.

— I bez sprzeciwu! — zawołała dziewczyna, nagle promieniejąca, rozpalona. — O, wiedziałam, że jesteś moim przyjacielem! Proszę cię, dom Andre, nie bądź smutny ani nie czuj się głupio. Odmawiałam innym, nawet się nad tym nie zastanawiając. Przy tobie musiałam się zastanowić. Bo widzisz, jeśli oświadczę, że nie wyjdę za mąż, ojciec wyśle mnie do klasztoru. Nie mogę więc tego zrobić, a jedynie odrzucać poszczególnych zalotników. Rozumiesz? — Rozumiał; chociaż gdyby dała mu czas do namysłu, to pomyślałby, że w końcu musi pogodzić się albo z małżeństwem, albo z klasztorem — jest przecież dziewczyną. Nie dała mu jednak tego czasu. — Więc zalotnicy wciąż przyby-

wają; zupełnie jak z księżniczką Ranyą z bajki, pamiętasz, z trzema pytaniami i głowami wszystkich tych młodzieńców zatkniętymi na tyczkach wokół pałacu. To takie okrutne i męczące... — Westchnęła, oparła się o balustradę obok Andre i z uśmiechem spojrzała na złocisty świat, tajemnicza, poufała.

— Wolałbym, żebyś mi zadała te trzy pytania — rzekł ze smutkiem.

— Nie mam żadnych pytań. Nie mam o co prosić.

— Na pewno o nic, co mógłbym ci dać.

— Ale ty już mi dałeś to, o co cię poprosiłam: żebyś mnie nie pytał!

Skinął głową. Nie będzie dociekał jej motywów; zabraniała mu tego jego skarcona duma oraz poczucie wrażliwości dziewczyny. Ona jednak wyjaśniła mu je w swej słodkiej przewrotności:

— Chcę, dom Andre, żeby pozostawiono mnie w spokoju. Żebym mogła żyć własnym życiem. Przynajmniej do chwili, kiedy się nie dowiem... Jedyne pytania, jakie mam, dotyczą mnie samej. Czy jestem za słaba, by żyć własnym życiem, by odkryć własną drogę? Urodziłam się w tym zamku, moja rodzina panuje w nim od dawna, można się do tego przyzwyczaić. Spójrz na mury, a zrozumiesz, dlaczego Mogę było atakowane, lecz nigdy nie zostało zdobyte. Ach, życie może być tak wspaniałe, Bóg jeden wie, co się może zdarzyć! Czyż to nie jest prawda, dom Andre? Nie wolno wybierać zbyt szybko. Jeśli wyjdę za mąż, to wiem, co się wydarzy, co będę robiła, kim się stanę. A ja nie chcę wiedzieć. Nie chcę niczego oprócz wolności.

— Myślę, że większość kobiet wychodzi za mąż, żeby zdobyć wolność — rzekł Andre z poczuciem, iż dokonuje jakiegoś odkrycia.

— A zatem pragną mniej niż ja. Jest coś we mnie, w moim sercu, jakaś jasność i ciężar, jak mogę ci to opisać? Coś, co istnieje, a jednak nie istnieje, co mam w sobie nosić i czego nie mogę oddać żadnemu mężczyźnie.

Andre zastanawiał się, czy księżniczka mówi o swym dziewictwie, czy też o swoim przeznaczeniu? Była bardzo dziwna, lecz była to dziwność książęca i wzruszająca. We wszystkim, co mówiła, choćby było to aroganckie i naiwne, zachowywała niezwykłą godność; a choć pożądanie zostało zakazane, jako pierwsza kobieta, której się to udało, docierała do samej istoty czułości Andre. Stała zupełnie sama w jego wnętrzu, tak jak stała obok niego zupełnie sama.

— Czy twój brat zna twoje plany?

— Brant? Nie. Mój ojciec jest łagodny; Brant nie. Kiedy umrze ojciec, on zmusi mnie do małżeństwa.

— A zatem nie masz nikogo...

— Mam ciebie — rzekła z uśmiechem. — Co oznacza, że muszę cię odesłać. Przyjaciel jednak jest przyjacielem, blisko czy daleko.

— Czy będę blisko czy daleko, wezwij mnie, jeśli będziesz potrzebowała przyjaciela,

księżniczko. Przybędę. — Mówił z nagłą godnością namiętności, składając jej przyrzeczenie, tak jak bardzo młody człowiek całkowicie zaprzysięga się najrzadszej i najbardziej zagrożonej sprawie, z jaką ma do czynienia. Spojrzała na niego, wytrącona ze swej łagodnej, bezmyślnej dumy, a on ujął jej dłoń, zdobywszy do tego prawo. Za nimi rzeka płynęła czerwienią pod zachodzącym słońcem.

— Dobrze — powiedziała. — Nigdy jeszcze nie byłam wdzięczna mężczyźnie, dom Andre.

Opuścił ją pełen uniesienia, kiedy jednak dotarł do swej komnaty, usiadł, czując nagłe zmęczenie i mrugając oczyma, jakby zaraz miał się rozpłakać.

To było ich pierwsze spotkanie, na wietrze i w złocistym świetle na szczycie świata, w wieku dziewiętnastu lat. Kalinskarowie pojechali do domu. Minęły cztery lata, a w drugim z nich, w roku 1640, rozpoczęła się wojna domowa o sukcesję, znana jako Wojna Trzech Królów.

Jak większość drobnej szlachty, Kalinskarowie poparli w roszczeniach do korony diuka Givana Sovenskara. Andre zaciągnął się do jego armii; w roku 1643, kiedy w prowincji Molseny zdobywała miasto za miastem aż po Krasnoy, Andre był już kapitanem. Gdy Sovenskar szedł na stolicę, by objąć tron, powierzono mu oblężenie ostatniej fortecy lojalistów — położonego na wschód od rzeki miasta i zamku Mogę. Tak więc pewnego czerwcowego dnia Andre, leżąc na szorstkiej trawie wzgórza, patrzył na znajdujące się po drugiej stronie doliny kryte łupkiem dachy miasta, mury wznoszące się spośród zielonej fali kasztanowców, okrągłą wieżę i lśniąca za nimi rzekę.

— Gdzie mamy ustawić armaty, panie kapitanie?

Stary książę nie żył, a Brant Mogeskar zginął w marcu na wschodzie. Gdyby król Gulhelm wysłał wojska za rzekę ku obronie swoich obrońców, jego rywal być może nie jechałby teraz do Krasnoy na koronację; lecz żadna pomoc nie przybyła i Mogeskarowie byli teraz oblężeni we własnym zamku. Poddać się nie chcieli. Zastępca Andre, który przybył na miejsce kilka dni przed nim z lekkimi oddziałami, poprosił George'a Mogeskara o pertraktacje, lecz nawet się z księciem nie widział. Powiedział, że przyjęła go księżniczka, przystojna dziewczyna, lecz twarda jak żelazo. Odmówiła pertraktacji.

— Mogeskarowie się nie układają. Jeśli przystąpicie do oblężenia, utrzymamy zamek. Jeśli pójdziecie za uzurpatorem, my zaczekamy tu na króla.

Andre leżał, patrząc na płowe mury.

— No cóż, Solenie, problem przedstawia się tak: najpierw zdobywamy miasto czy zamek?

To jednak wcale nie było problemem. Prawdziwy problem był o wiele bardziej okrutny.

Porucznik Soten usiadł przy nim i wydał krągłe policzki.

— Zamek — rzekł. — Stracimy kilka tygodni na zdobycie miasta, a potem i tak trze-

ba będzie zdobywać zamek.

— Zdobyć go tymi działami? Kiedy znajdziemy się w mieście, zamek przyjmie nasze warunki.

— Ta kobieta nie przyjmie żadnych warunków, panie kapitanie.

— Skąd wiesz?

— Widziałem ją!

Ja też — odparł Andre. — Ustawimy armaty tutaj, przy południowym murze. Zaczniemy bombardowanie jutro o świcie. Proszono nas, byśmy zajęli tę fortecę tak, jak stoi. Będzie się to musiało odbyć kosztem miasta. Nie mamy wyboru. — Mówił ponuro, lecz w głębi serca czuł uniesienie. Da jej wszelkie możliwe szansę: wycofania się z beznadziejnej walki oraz szansę sprawdzenia siebie, użycia odwagi, która spoczywała lśniącem ciężarem w jej piersi niczym miecz ukryty w pochwie.

Był godnym konkurentem do jej ręki, człowiekiem dorównującym jej ambicją, i został odrzucony. Dobrze. Nie chciała kochanka, lecz wroga, a on będzie wrogiem jej wartym i godnym szacunku. Zastanawiał się, czy zna już jego nazwisko, czy ktoś powiedział: „Prowadzi ich kapitan Kalinskar”, a ona odpowiedziała na swój władczy, łagodny, obojętny sposób: „Andre Kalinskar?” — marszcząc może brwi na wiadomość, że przyłączył się do diuka występującego przeciwko królowi, a mimo to nie czując niezadowolenia ani żalu, że ma go za przeciwnika.

Zdobyli miasto po trzech tygodniach, kosztem wielu zabitych. Później, kiedy Kalinskar był już marszałkiem armii królewskiej, mówił po pijanemu: „Mogę zdobyć każde miasto. Zdobyłem Mogę”. Mury były pomysłowo umocnione, zamkowy arsenał wydawał się niewyczerpany, a obrońcy walczyli z bezprzykładnym poświęceniem i cierpliwością. Znosili ostrzał i ataki, gasili pożary gołymi rękami, żywili się powietrzem, a w ostateczności walczyli twarzą w twarz, broniąc pojedynczych domów od bram miejskich do zamkowej skarpy; kiedy zaś brano ich do niewoli, mówili: „To dla niej”.

Jeszcze jej nie widział. Bał się ją ujrzeć wśród rzezi na wąskich, zniszczonych uliczkach. Wieczorami spoglądał z nich na wznoszące się na sto stóp blanki, na dymiące stanowiska dział, okrągłą, płową wieżę oświetloną na czerwono promieniami zachodzącego słońca, na nietknięty zamek.

— Zastanawiam się, jak można by umieścić zapałkę w składzie prochu — rzekł porucznik Soten, wesoło wydymając policzki. Jego kapitan spojrzał na niego jastrzębimi oczyma, czerwonymi i zapuchniętymi od dymu i zmęczenia.

— Zdobędę Mogę, tak jak stoi! Chcesz wysadzić w powietrze najlepszą fortecę w kraju, bo jesteś zmęczony walką? Na Boga, nauczę cię szacunku, poruczniku!

Szacunku dla czego lub kogo, zastanawiał się Soten, lecz zmilczał. Jeśli o niego chodziło, Kalinskar był najlepszym oficerem w armii i Soten chętnie za nim szedł czy to w szaleństwo, czy gdziekolwiek indziej. Wszyscy byli szaleni walką, zmęczeniem, prze-

możną spiekotą i kurzem lata.

Bombardowali i przypuszczali ataki o wszelkich porach dnia i nocy, nie zezwalając obrońcom na odpoczynek. W mroku przedświt Andre prowadził oddział do niewielkiej wyrwy, jaką uczynił wybuch w zewnętrznym murze, kiedy napotkali wycieczkę z zamku. W ciemności pod murem wywiązała się walka na szable. Była chaotyczna i niecelowa, więc Andre zwoływał swoich ludzi, by się wycofać, kiedy uświadomił sobie, że upuścił szablę. Poszukał jej. Z jakichś powodów ręce osuwały mu się bezwładnie po grudach ziemi i kamieniach. Coś zimnego i ziarnistego przycisnęło mu się do twarzy: ziemia. Szeroko otworzył oczy i zobaczył ciemność.

Na wewnętrznym dziedzińcu pasły się dwie krowy, ostatnie z wielkich stad Mogę. O piątej rano jak zwykle przyniesiono księżniczce do pokoju kubek mleka, a po chwili jak zwykle przyszedł kapitan fortecy, by zdać sprawę z nocnych wydarzeń. Wiadomości były te same co zwykle i Isabella prawie ich nie słuchała. Obliczała, kiedy mogą przybyć siły króla Gulhelma, jeśli dotarł do niego jej posłaniec. Nie wcześniej niż za dziesięć dni. Dziesięć dni to dużo czasu. Miasto padło ledwie przed trzema dniami, a wydawało się, że dawno temu, jak wydarzenie z minionych lat, z historii. Mimo wszystko, jeśli trzeba, to wytrzymają dziesięć dni, a nawet dwa tygodnie. Król na pewno przyśle pomoc.

— Przyślą posłańca z pytaniem o niego — mówił Breye.

— O kogo? — Zwróciła ciężkie spojrzenie na kapitana.

— O kapitana.

— Jakiego kapitana?

— Waśnie ci mówiłem, księżniczko. Rano został wzięty do niewoli.

— Jeniec? Natychmiast mi go przyprowadź!

— Otrzymał cios szablą w głowę, księżniczko.

— Może mówić? Pójdę do niego. Jak się nazywa?

— Kalinskar.

Poszła za Breyem przez lśniące od złota sypialnie, gdzie na łóżkach leżały sterty muszkietów, przez długi korytarz, gdzie na parkiecie pod nogami zgrzytał kryształ ze strzaskanych kinkietów, do sali balowej we wschodnim skrzydle zamienionej na szpital. Dębowe łoża z baldachimami o przekrzywionych zasłonach stały na bezmiarze podłogi niczym statki rozproszone w porcie po sztormie. Jeniec spał. Usiadła przy nim i popatrzyła na jego twarz, twarz ciemną, spokojną, bierną. Coś w niej rozpaczało; nie jej wola, która była niezłomna; lecz księżniczka, patrząc na swego wroga, czuła śmiertelne zmęczenie i rozpacz. Poruszył się i otworzył oczy. Wtedy go rozpoznała.

Po długiej chwili odezwała się:

— Dom Andre.

Uśmiechnął się lekko i powiedział coś niedosłyszalnie.

— Lekarz mówi, że rana nie jest poważna. Czy to ty dowodzisz oblężeniem?

— Tak — odrzekł dość wyraźnie.

— Od początku?

— Tak.

Podniosła wzrok na okna zasłonięte żaluzjami, które wpuszczały do środka jedynie nikły blask gorącego lipcowego słońca. — Jesteś naszym pierwszym jeńcem. Jakie nowiny z kraju?

— Givan Sovenskar został koronowany w Krasnoy pierwszego. Gulhehn wciąż przebywa w Aisnar.

— Nie przynosisz dobrych wieści, kapitanie — rzekła cicho, obojętnie. Rozejrzała się po innych łózkach stojących w wielkiej sali i gestem nakazała Breyowi cofnąć się. Drażniło ją, że nie mogą rozmawiać sam na sam. Nie miała mu jednak nic do powiedzenia.

— Jesteś tu sama, księżniczko?

Zadał jej pytanie tak, jak wtedy na dachu o zachodzie słońca.

— Brant nie żyje — odparła.

— Wiem. Ale młodszy brat... Wtedy polowałem z nim na bagnach.

— George jest tutaj. Bronił Kastre. Wybuchł mózdzierz. Oślepił go. Czy dowodziłeś też oblężeniem Kastre?

— Nie. Walczyłem tutaj.

Przez krótką chwilę patrzyła mu w oczy.

— Przykro mi — rzekła. — Za George'a. Za mnie. Za ciebie, który przyrzekłeś być mi przyjacielem.

— A ty nim jesteś? Ja nie. Zrobiłem, co mogłem. Służyłem twojej chwale. Wiesz, że nawet moi żołnierze śpiewają o tobie piosenki, piosenki o pani na Mogę, archaniele na zamkowych murach? Mówią i śpiewają o tobie piosenki w Krasnoy. Teraz mogą też powiedzieć, że wzięłaś mnie do niewoli. Mówią o tobie z podziwem. Przysparzasz twoim wrogom radości. Zdobyłaś swoją wolność. Jesteś sobą. — Mówił szybko, ale kiedy przerwał i na chwilę zamknął oczy, żeby odpocząć, jego twarz znów wyglądała spokojnie i młodo. Isabella siedziała przez minutę, nic nie mówiąc, po czym nagle wstała i wyszła z sali pośpiesznym, niezgrabnym krokiem zbolalej dziewczyny, niezgrabna w ciężkiej, poplamionej prochem sukni.

Andre stwierdził, że księżniczkę zastąpił u jego łóżka stary kapitan forticy, który stał, patrząc na niego z nienawiścią i ciekawością.

— Podziwiam ją tak samo jak ty! — odezwał się Andre. — A nawet bardziej, niż wy tu, w zamku. Bardziej niż ktokolwiek. Przez cztery lata... — Breye też jednak odszedł. — Przynieście mi wody! — zawołał wściekle, a potem leżał cicho, patrząc w sufit. Ryk i wstrząs — co to było? — a potem trzy głucho uderzenia, głębokie i przeszywające niczym ból zęba; po chwili następny ryk, wstrząsający łóżem — zrozumiał w końcu, że to bombardowanie, słyszane od środka. Soten wykonywał rozkazy.

— Przestańcie — powiedział, gdy potworny hałas nie ustawał. — Przestańcie. Potrzebuję snu. Przestań, Solenie! Przerwij ogień!

Kiedy obudził się w pełni świadomości, była noc. Ktoś siedział u wezłowania. Między Andre i krzesłem płonęła świeca; za żółtą kulą światła otaczającą płomień widział męską dłoń i rękaw kurty.

— Kto tu? — zapytał z niepokojem.

Mężczyzna wstał i pokazał mu w pełnym blasku świecy zniszczoną twarz. Z jej rysów nie pozostało nic prócz ust i podbródka, delikatnych ust i podbródka dziewiętnastoletniego chłopca. Reszta była jedną świeżo zagojoną blizną.

— Jestem George Mogeskar. Rozumiesz mnie?

— Tak — odpowiedział Andre ze ściśniętym gardłem.

— Możesz usiąść, żeby coś napisać? Przytrzymam ci papier.

— Co miałbym pisać?

Obaj mówili bardzo cicho.

— Chcę poddać zamek — rzekł Mogeskar. — Chcę jednak, żeby przedtem moja siostra go opuściła, żeby odeszła wolna. Potem poddam ci fortecę. Zgadzasz się?

— Jak to... zaczekaj...

— Napisz do swego zastępcy. Powiedz mu, że poddam się pod tym jednym warunkiem. Wiem, że Sovenskar chce tej fortecy. Powiedz mu, że jeśli księżniczka zostanie zatrzymana, wysadzę fort, ciebie, siebie i ją w powietrze. Widzisz, ja sam nie mam już wiele do stracenia. — Głos chłopca był spokojny, lecz nieco ochrypły. Mówił powoli i bardzo stanowczo.

— Wa... warunek jest uczciwy — rzekł Andre.

Mogeskar przysunął do światła kałamarz, wyczuł palcami korek, zanurzył pióro i po dał je wraz z papierem Andre, któremu udało się na wpół usiąść. Kiedy pióro skrzypiało po papierze już dobrą minutę, Mogeskar powiedział:

— Pamiętam cię, Kałinskar. Polowaliśmy na długim bagnie. Dobrze strzelałeś.

Andre zerknął na niego. Ciągle się spodziewał, że chłopiec zdejmie tę straszliwą maskę i ukaże twarz.

— Kiedy księżniczka wyjedzie? Czy mój zastępca mają przeprowadzić przez rzekę?

Jutro o jedenastej w nocy. Pójdzie z nią czterech naszych ludzi. Jeden wróci, by zaświadczyć ojej ucieczce. To chyba łaska boska, że ty prowadziłeś to oblężenie, Kałinskar. Pamiętam cię, ufam ci. — Głos miał podobny do jej głosu, lekki i arogancki, z tą samą chrapliwą nutą. — Mam nadzieję, że możesz zaufać swemu zastępcy, iż zachowa to w tajemnicy.

Andre przeciągnął ręką po obolałej głowie; napisane przez niego słowa skakały i wiły się na papierze.

— W tajemnicy? Chcesz... żeby te warunki zachować... chcesz, żeby uciekła potajem-

nie?

— Czy myślisz, że pragnę, by mówiono, iż sprzedałem jej odwagę, aby kupić sobie bezpieczeństwo? Czy sądzisz, że poszłaby, gdyby wiedziała, co daję w zamian za jej wolność? Ona myśli, że idzie błagać króla Gulhelma o pomoc, podczas gdy ja będę się tu bronił!

— Księżę, ona nigdy nie wybaczy...

— Nie zależy mi na jej przebaczeniu, lecz życiu. Jest ostatnią z nas. Jeśli tu zostanie, na pewno wyda rozkaz, żeby ją zabić, kiedy w końcu zajmiesz zamek. Wymieniam zamek Mogę i wiarę księżniczki we mnie na jej życie.

— Przykro mi, księżę — rzekł Andre; głos drżał mu od tłumionych łez. — Nie zrozumiałem. Nie myślę jeszcze jasno. — Zanurzył pióro w kałamarzu, który trzymał ślepiec, dopisał jeszcze jedno zdanie, potem dmuchnął na papier, złożył go i włożył księciu do ręki.

— Mogę się z nią zobaczyć zanim opuści zamek?

— Chyba nie zechce do ciebie przyjść, Kałinskar. Ona się ciebie boi. Nie wie, że zostanie zdradzona przeze mnie. — Mogeskar wyciągnął dłoń w swoją niezmaconą ciemność; Andre ją ujął. Patrzył za wysoką, szczupłą, chłopięcą postacią odchodzącą z wahaniem w mrok. Przy łóżku płonęła świeca, jedyne światło w wysokiej, długiej sali. Andre leżał, wpatrując się w złocistą kulę światła pulsującą wokół płomienia.

Dwa dni później zamek Mogę poddał się oblegającym, a jego pani, nie wiedząc o czym i pełna nadziei, jechała przez neutralne ziemie na zachód, do Aisnar.

Trzeci i ostatni raz spotkali się przez przypadek. Andre nie skorzystał z zaproszenia George'a Mogeskara, by zatrzymać się w zamku po drodze na wojnę graniczną w czterdziestym siódmym. Unikać miejsca swego pierwszego znacznego zwycięstwa, odmówić dumnemu i wdzięcznemu byłemu wrogowi nie leżało w jego naturze, świadcząc albo o strachu, albo o nieczystym sumieniu, a na żadne z nich raczej sobie nie pozwalał. Tak czy owak do Mogę się nie udał. Trzydzieści siedem lat później, podczas zimowego balu u hrabiego Alexisa Helleskara w Krasnoy, ktoś wziął go pod rękę i powiedział:

— Księżniczko, proszę pozwolić przedstawić sobie marszałka Kalinskara. Księżniczka Isabella Proyedskar.

Złożył swój zwykły głęboki ukłon, wyprostował się i wyprostował się jeszcze bardziej, bo kobieta była wyższa od niego przynajmniej o cal. Jej siwe włosy zostały ułożone w skomplikowane pierścionki i zwoje zgodne z bieżącą modą. Wstawki jej sukni były wyszywane drobnymi perełkami w arabeski. Błękitnoszare oczy patrzyły z szerokiej, bladej twarzy wprost na niego niewyjaśnionym, poufałym spojrzeniem. Uśmiechała się.

— Znam dom Andre — rzekła.

Przytyła; stała się kobietą rosłą, imponującą, mocno stąpającą po ziemi. Natomiast

Andre to była skóra i kości, a na dodatek utykał na prawą nogę.

— Moja najmłodsza córka, Oriana.

Siedemnastoletnia czy osiemnastoletnia dziewczyna dygnęła, patrząc ciekawie na bohatera, który w trzech wojnach na przestrzeni trzydziestu lat siłą przywrócił jedność rozbitemu krajowi i zdobył sobie prostą, niekwestionowaną sławę. Jaki chudy staruszek, mówiły oczy dziewczyny.

— Twój brat, księżniczko...

— George zmarł przed wielu laty, dom Andre. Panem na Mogę jest teraz mój kuzym Enrike. Powiedz mi, ożeniłeś się? Wiem o tobie tylko to, co wie cały świat. To już tak dawno, dom Andre, dwa razy tyle, ile ma lat to dziecko... — Jej głos był matczyzny, płaczliwy. Zniknęła arogancja, lekkość, a nawet delikatna chrypka namiętności i strachu. Teraz już się go nie bała. Nie bała się niczego. Małżonka, matka, babka, z życiem za sobą, pochwa bez miecza, zdobyty zamek, niczyj wróg.

— Ożeniłem się, księżniczko. Żona zmarła podczas porodu, kiedy byłem na polu bitwy. Wiele lat temu. — Mówił szorstko.

Odparła banalnie, płaczliwie: — Jakież smutne jest życie, dom Andre!

— Nie powiedziałaś tego na murach Mogę — rzekł jeszcze bardziej szorstko, złościł go bowiem jej stan. Spojrzała na niego beznamiętnie swymi błękitnoszarymi oczyma.

— Nie — odparła — to prawda. A gdyby pozwolono mi zginąć na murach Mogę, umarłabym, wierząc, że życie kryje w sobie wielkie przerażenie i wielką radość.

— I tak jest w rzeczywistości, księżniczko! — rzekł Andre Kalinskar, unosząc ku niej ciemną twarz mężczyzny żarliwego i niespełnionego. Ona jedynie się uśmiechnęła i powiedziała swym monotonnym, matczynym głosem:

— Może dla ciebie.

Podeszli inni goście i księżniczka zwróciła się do nich z uśmiechem. Andre stał z boku, skwaszony i ponury, myśląc, że słusznie zrobił, nie wracając do Mogę. Udało mu się uwierzyć, że jest uczciwym człowiekiem. Wiernie i z radością przez czterdzieści lat pamiętał czerwone pnącza paździenika, gorące, błękitne, letnie wieczory podczas oblężenia. Teraz wiedział, że wszystko to zdradził i jednak utracił to, co warto było mieć. Bierny i bohaterski, całkowicie poświęcił się swemu życiu; lecz darem, jaki był jej winien, jedynym darem żołnierza, była śmierć; a on jej tej śmierci odmówił. I teraz, w wieku sześćdziesięciu lat, po tych wszystkich dniach, wojnach, latach, krajobrazach swego życia, teraz musiał się odwrócić i zobaczyć, że wszystko to stracił, że walczył na darmo, że w zamku nie ma księżniczki.

krainy wyobraźni

Nie możemy jechać w niedzielę nad rzekę — rzeki baron — ponieważ w piątek wyjeżdżamy. Dwoje najmłodszych spojrzało na niego ponad stołem znad śniadania. Zida poprosiła o marmoladę, lecz Paul, o rok starszy, znalazł w odległym, nie używanym zakamarku pamięci ciemniejszą jadalnię, za której oknami padał deszcz.

— Z powrotem do miasta? — zapytał. Jego ojciec skinął głową. Przy tym ruchu wzgórze zalane słońcem za oknami zmieniło się całkowicie, zwracając się teraz na północ zamiast na południe. Tego dnia czerwień i żółć biegły przez las niczym ogień, winogrona pęczniały na ciężkich gałązkach, a czyste, żarliwe, ogrodzone pola sierpnia rozciągały się w dal, cierpliwe i nieograniczone, w mgiełkę września. Kiedy Paul obudził się następnego dnia, od razu wiedział, że jest jesień i środa.

— Dzisiaj jest środa — powiedział do Zidy — jutro czwartek, a potem piątek i wyjeżdżamy.

Ja nie wyjadę — odparła obojętnie i poszła do Małego Lasu pracować nad pułapką na jednorożce. Była zrobiona ze skrzynki na jaja i kawałków materiału. Zida włożyła do niej różne przynęty. Robiła ją od czasu, kiedy znaleźli tropy, ale Paul wątpił, czy złapie w nią choćby wiewiórkę. On sam, świadom czasu i pory roku, pobiegł do Wysokiego Urwiska, by przed powrotem do miasta dokończyć budowę tunelu.

W domu głos baronowej ześlizgiwał się niczym jaskółka ze schodów prowadzących na strych:

— O, Rosa! To gdzie jest ten niebieski kufer?

A ponieważ nie było odpowiedzi, poszła za swym głosem, szukając Rosy i zaginionego kufra na schodach i w coraz odleglejszych korytarzach, aż wreszcie z radością natknęła się na nią pod drzwiami do piwnicy. Potem baron usłyszał w swoim gabinecie, jak Tomas i kufer zmierzają ze stękaniami po jednym stopniu na górę, podczas gdy Rosa i baronowa zaczęły opróżniać szafy dzieci, znosząc na dół naręczą koszul i sukienek niczym delikatne, metodyczne złodziejki.

— Co robicie? — zapytała surowo Zida, wróciwszy po wieszak, w którym mogłoby

uwięznąć kopyto jednorożca.

— Pakujemy — odpowiedziała pokojówka.

— Moich rzeczy nie — rozkazała Zida i wyszła.

Rosa dalej przeglądała jej szafę. Baron czytał w swoim gabinecie. Byłby całkowicie spokojny, gdyby nie poczucie żalu, które być może brało się z dźwięku słodkiego, odległego głosu żony, może z barwy światła słonecznego padającego na biurko z odsłoniętego okna.

W innym pokoju jego starszy syn Stanislas włożył do walizki mikroskop, raketę tenisową i pudełko pełne okazów skał z odklejającymi się etykietkami, po czym przerwał pracę. Z notatnikiem w kieszeni przeszedł przez chłodne, rude korytarze i schody i wyszedł na rozległe, nagłe słońce podwórza. Josef, czytający pod Czterema Wiązami, powiedział:

— Dokąd idziesz? Jest gorąco.

Nie było czasu, żeby się zatrzymać i porozmawiać.

— Zaraz wracam — odparł grzecznie Stanislas i poszedł drogą w kurzu i słońcu, mijając Wysokie Urwisko, gdzie kopał jego przyrodni brat Paul. Zatrzymał się, żeby popatrzeć na budowę. Wzdłuż urwiska wiły się zygzakami drogi wysypane białą gliną. Przy moście przerzuconym nad szczeliną wymytą przez wodę parkowały citroen i rolls. Właśnie powiększano tunel.

— Dobry tunel — pochwalił Stanislas.

Promieniejący i brudny inżynier odpowiedział:

— Otwarcie odbędzie się dziś wieczorem, przyjdiesz na ceremonię? — Stanislas skinął głową i poszedł dalej. Jego droga prowadziła w górę długiego, wysokiego stoku, lecz wkrótce z niej zszedł i przeskoczywszy rów, wszedł do swego królestwa, królestwa drzew.

Po kilku krokach zniknął cały kurz i jaskrawy blask. Liście nad głową i pod stopami; powietrze jak zielona woda, w której pływają ptaki, a ciemne pnie wznoszą się, dźwigając swe brzemiona, swe korony, ku innemu żywiołowi, ku niebu. Stanislas poszedł najpierw do Dębu i wyciągnął ramiona, usiłując objąć jedną czwartą obwodu pnia. Tors i policzek przycisnął do szorstkiej, porysowanej kory; w nozdrzach miał jej zapach oraz zapach rosnących na niej hub i mchu, a w oczach jej ciemność. Drzewo było bardzo stare, żywe i nie wiedziało o istnieniu Stanislasa. Uśmiechnął się i z notatnikiem pełnym map w kieszeni poszedł dalej między drzewa, w rejony swej ziemi nie zaznaczonej jeszcze na żadnej mapie.

Josef Bronę, który spędził to lato, pomagając swemu profesorowi przy dokumentacji historii Dziesięciu Prowincji we wczesnym średniowieczu, siedział w cieniu wiązków, niespokojnie czytając. Wiejski wiatr przebiegał po kartkach książki, po jego wargach. Podniósł głowę znad łacińskiej kroniki bitwy przegranej przed dziewięciuset laty i spoj-

rzał na dachy domu zwanego Asgardem. Kwadratowy jak skrzynia, z osadem ganków, szop i stajni, ustawiony zgodnie ze stronami świata, stał na płaskim podwórzu; w pewnej odległości pola powoli zaczynały się wznosić we wszystkich kierunkach, zmieniając się we wzgórza, a za nimi stały wzgórza jeszcze wyższe, a dalej było niebo. Wszystko wyglądało jak białe pudełko w niebieskożółtej misce i Josef, świeżo po studiach i szykujący się do wstąpienia jesienią do seminarium jezuickiego, gotów do czytania dokumentów, sporządzania streszczeń i odnośników, ku swemu zmieszaniu dowiedział się, że rodzina barona nazwała to miejsce od siedziby północnych bogów. Jednak nie zmartwił się. Miało tu miejsce tyle nieoczekiwanych wydarzeń i wydawało się, że tak niewiele zostało zrobione. Do zakończenia historii pozostawało jeszcze wiele lat. W ciągu tych trzech miesięcy nie odkrył, dokąd Stanislas chodził samotnie drogą. Wyjeżdżają w piątek. Teraz albo nigdy. Wstał i poszedł za chłopcem. Droga mijała trzymetrowy nasyp, w którego połowie tkwił mały Paul, kopiąc rękoma w ziemi i warcząc. U podnóża nasypu leżało kilka samochodzików. Josef wszedł drogą na wzgórze, spodziewając się, że ze szczytu zobaczy, dokąd poszedł Stanislas. W jego polu widzenia pojawiło się i zniknęło gospodarstwo, droga prowadziła wciąż pod górę, prosto w słońce wleciał ze śpiewem skowronek, ale nie było szczytu. Chcąc zejść w dół, należało zawrócić. Josef zawrócił. Kiedy zbliżał się do lasów nad Asgardem, na drogę wyskoczył chłopiec, szybko niczym cień jastrzębia. Josef zawołał go po imieniu. Spotkali się w białym blasku kurzu.

— Gdzie byłeś? — zapytał spocony Josef.

— W Wielkim Lesie — odpowiedział Stanislas. — To ten zagajnik.

Za nim rosły gęste i ciemne drzewa.

— Czy jest tam chłodno? — spytał tęsknie Josef. — Co tam robisz?

— O, robię mapę ścieżek. Tak dla zabawy. Jest większy, niż się wydaje. — Stanislas zahał się i po chwili dodał: — Nie był pan tam? Może zechce pan obejrzyć Dąb.

Josef przeszedł za nim przez rów i zanurzył się w duszne, zielone powietrze Lasu. Dąb był największym drzewem, jakie widział w życiu; co prawda, nie widział ich zbyt wiele.

— Jest chyba bardzo stary — powiedział, w zdumieniu podnosząc wzrok na rozpiętość jego konarów, tworzących nie kończące się galaktyki zielonych liści.

— O, ma sto lat, dwieście, trzysta albo sześćset — powiedział chłopiec. — Niech pan spróbuje go objąć!

Josef rozłożył ręce i napiął mięśnie, na próżno usiłując nie dotykać policzkiem szorstkiej kory.

— Do objęcia go potrzeba czterech ludzi — poinformował Stanislas. — Nazywam go Yggdrasillem. Wie pan. Tylko że oczywiście Yggdrasill był jesionem, a nie dębem. Chce pan zobaczyć Gaj Lokiego?

Droga i gorące, białe sionce zupełnie zniknęły. Młodzieniec poszedł za swoim prze-

wodnikiem dalej w labirynt nazw, który był zarazem prawdziwym lasem: drzewami, nieruchomym powietrzem, ziemią. Pod wysokimi, szarymi olchami nad wyschniętym korytem strumienia omówili opowieść o śmierci Baldura, a Stanislas pokazał Josefowi ciemne skupiska jemioly na gałęziach mniejszych dębów. Wyszli z lasu i poszli drogą do Asgardu. Josef szedł sztywno w ciemnym garniturze, który kupił na ostatni rok studiów, z książką w martwym języku w kieszeni. Po twarzy ściekał mu pot, czuł się bardzo szczęśliwy. Chociaż nie miał map i przybył dość późno, przynajmniej raz przeszedł się po lesie. Minęli wciąż kopiącego Paula, który nie zwracał uwagi na dobiegający z domu dźwięk żelaznego trójkąta, oznajmającego posiłki, pożary, zaginięcie dzieci i inne ważne wydarzenia.

— Chodź, obiad — zarządził Stanislas. Paul ześliznął się z nasypu i wszyscy trzej — siedmio, czternaste — i dwudziestojednolatek — statecznie udali się do domu.

Tego popołudnia Josef pomagał profesorowi pakować książki, dwa kufry pełne książek, małą bibliotekę historii średniowiecznej. Josef lubił czytać książki, ale nie pakować je. Profesor poprosił jednak jego, a nie Tomasa: “Pomóż mi z książkami, dobrze?” Nie takiej pracy się tu spodziewał. Sortował, podnosił i układał w nienasyconych żelaznych kufrach stertę za stertą niechęci, a profesor pracował energicznie i z zainteresowaniem, owijając inkunabuły jak niemowlęta, obchodząc się z każdym tomem pośpiesznie, lecz z miłością. Klękawszy z kluczami, powiedział: “Dzięki, Josefie! To wszystko”, i opuszczając mosiężne sztaby, zamknął ich letnią pracę, koniec, to wszystko. Josef zrobił tu tyle niespodziewanych rzeczy i teraz nie miał już nic do roboty. Niepocieszony, wrócił w cień wiaźów; lecz siedziała już tam żona profesora, w której nie spodziewał się zakochać.

— Ukradłam ci krzesło — powiedziała uprzejmie. — Usiądź na trawie.

Była to bardziej ziemia niż trawa, ale nazywali ją trawą i Josef usłuchał.

— Jesteśmy z Rosą wykończone i nie potrafię znieść myśli o jutrze. To jest najgorszy dzień — przedostatni dzień: pościel, srebra, odwracanie talerzy do góry nogami, wykładanie pułapek na myszy i zawsze gubi się jakaś lalka, która po kilku godzinach poszukiwań nagle znajduje się pod stertą brudnej bielizny — a potem zamykanie domu i zamykanie go. Nie znoszę tego wszystkiego, nie znoszę zamykać tego domu. — Głos miała cichy i płaczliwy niczym głos ptaka nawołującego w lesie, nie obchodziło jej, czy ktokolwiek słyszy tę płaczliwość, nie obchodziło jej, że jest płaczliwy.

— Mam nadzieję, że podobało ci się tutaj.

— Bardzo, pani baronowo.

— Mam nadzieję. Wiem, że Severin gonił cię do pracy. A my jesteśmy tacy nieorganizowani. My sami, dzieci, goście, zawsze w rozsypce, spotykamy się tylko przypadkiem... mam nadzieję, że nie przeszkadzało ci to w pracy.

To była prawda; przez całe lato falami i cyklicznie dom był pełen lub prawie pełen

gości, kolegów i koleżanek dzieci, znajomych baronowej, przyjaciół, kolegów i sąsiadów barona, myśliwych przyjeżdżających polować na kaczki, którzy spali w nie używanej stajni, ponieważ wolne sypialnie pełne były polskich historyków średniowiecza i dam ze stadkami dzieci, z których najmłodsze mniej więcej o tej porze dnia zawsze wpadało do stawu. Nic dziwnego, że teraz było tak spokojnie, tak jesiennie: pokoje puste, staw gładki, wzgórze nie rozbrzmiewają echem śmiechu.

— Z przyjemnością poznałem dzieci — rzekł Josef — szczególnie Stanisłasa. — Po czym zaczerwienił się jak burak, bo jedynie Stanislas nie był jej dzieckiem. Baronowa uśmiechnęła się i powiedziała nieśmiało:

— Stanislas jest bardzo miły. I ma czternaście lat; to straszny wiek, kiedy tak szybko odkrywa się, kim można być, ale i jakiej zapłaty oczekuje świat... On daje sobie z tym radę z dużym wdziękiem. Kiedy Paul i Zida osiągną ten wiek, przebrną przez niego z trudem i będą nieznośni. Stanislas dowiedział się, co to jest strata, tak wcześnie... Kiedy wstąpisz do seminarium? — zapytała, przeskakując błyskawicznie myślą z chłopca na niego.

— W przyszłym miesiącu — odpowiedział, spuszcżając wzrok.

— A więc jesteś zupełnie pewien, że chcesz prowadzić takie życie?

Po chwili powiedział, wciąż na nią nie patrząc, chociaż biel jej sukienki oraz zieleń i złoto liści wypełniały mu oczy:

— Dlaczego pani pyta, pani baronowo?

— Bo celibat mnie przeraża — odparła, a jemu zachciało się rozciągnąć na ziemi upstrzonej liśćmi wiązki niczym cienkimi, owalnymi monetami ze złota i umrzeć. — Bo widzisz, ja boję się niepłodności, ona mnie przeraża. To mój wróg. Wiem, że mamy innych wrogów, ale ja nienawidzę jej najbardziej, ponieważ czyni życie gorszym od śmierci. I ma strasznych sprzymierzeńców: głód, chorobę, deformację, perwersję, ambicję i pragnienie bezpieczeństwa. A cóż takiego robią tam dzieci?

Przy obiedzie Paul poprosił Stanisłasa, żeby jeszcze raz zabawili się w Ragnarok. Stanislas zgodził się i teraz był Oszronionym Olbrzymem z rykiem wdzierającym się na mury Asgardu, w które zamienił się rów melioracyjny za stawem. Odyn ciskał z murów błyskawice, a Thor...

— Stanislas! — zawołała matka, wiotka postać w bieli wstająca z krzesła stojącego obok młodego człowieka. — Proszę cię, niech Zida nie używa młota!

— Jestem Thorem, jestem Thorem, muszę mieć młot! — wrzasnęła Zida. Stanislas wkroczył do akcji i po chwili znów był gotów do ataku na mury z Zida na czworakach u boku.

— Teraz jest wilkiem Fenrirem — zawołał przez gorące popołudnie głosem, w którym pobrzmiwała nutka śmiechu. Ponury i stanowczy, z jednym okiem zamkniętym, Paul ścisnął kij i stał naprzeciw zbliżających się armii Hel i Zamarzniętych Krain.

— Przyniosę wszystkim lemoniadę — rzekła baronowa i opuściła Josefa, który narzeczcie mógł się osunąć na ziemię twarzą do dołu, poddając się straszliwej słodyczy i cierpieniu, które się w nim obudziło; czy kiedykolwiek zaśnie? A przy stawie Odyn walczył z lodową armią na osłonecznionych wałach niebios.

Następnego dnia ostały się tylko ściany domu. Wewnątrz panował bałagan: pudła, otwarte szuflady, zabiegani ludzie noszący różne przedmioty. Tomas i Zida uciekli: on, nie radzący sobie z zamętem jedyny stały mieszkaniec Asgardu, żeby posprzątać na podwórzu, a ona na całe popołudnie do Małego Lasu. O piątej Paul zawołał piskliwie ze swego okna:

— Samochód! Jedzie samochód!

Na podwórko wjechała z jękiem ogromna czarna taksówka z 1923 roku. Ostrożnie wyszukiwała drogę, a jej ślepe, wystające reflektory błyskały w zachodzącym słońcu. Pod żywym i skutecznym kierunkiem barona Severina Egideskara, kierownika katedry studiów średniowiecznych na uniwersytecie w Krasnoy, Tomas, Stanislas, Josef i taksówkarz załadowali do samochodu pudła, walizy, niebieski kufer i dwa kufry z żelaza.

— I zawiezie nas pan z tym wszystkim na stację jutro o ósmej, tak?

Taksówkarz, który robił to każdego września od siedmiu lat, skinął głową. Taksówka obładowana bagażami siedmiu osób powoli odjechała, zgrzytając biegami w pełnej zmęczenia i słońca ciszy późnego popołudnia, w której dom znów stał nienaruszony — pokój po pustym pokoju.

Teraz baron też uciekł. Zapaliwszy fajkę, powoli i cicho, jak zbieg, minął staw i kojce dla kurcząt, przeszedł wzdłuż płotu osłoniętego dojrzałymi dzikimi trawami, które skłaniały ciężkie, oblane słońcem kłosa, i wszedł do brzeziniaka zwanego Małym Lasem.

— Zida? — krzyknął, zatrzymując się w nikłym, gorącym cieniu wstrząsanym nieustannym cykaniem koników polnych na polach otaczających zagajnik. Żadnej odpowiedzi. Spowity w chmurę błękitnego dymu z fajki znów zatrzymał się przy skrzynce na jaja ozdobionej licznymi kawałkami wzorzystego materiału i kolorowego papieru. Na porosłej mchem, zdeptanej ziemi przed skrzynką leżał drewniany wieszak. W jednej z przegródek skrzyni znajdowała się skorupka jajka pomalowana na złoto, w innej kawałek kwarcu, w następnej skórka od chleba. W pobliżu mocno spała mała dziewczynka ze zdjętymi butami i wypiętym siedzeniem. Baron usiadł na mchu obok niej, ponownie rozpalił fajkę i zapatrzył się w skrzynkę na jaja. Po pewnym czasie połaskotał dziewczynkę w podeszwy stóp. Parsknęła. Kiedy zaczęła się budzić, wziął ją na kolana.

— Co to jest?

— Pułapka na jednoroźca. — Odgarnęła z twarzy włosy oraz kawałki liści i usadowiła się wygodniej.

— Złapałaś jakiegoś?

— Nie.

— A widziałaś?

— Znaleźliśmy z Paulem trochę tropów.

— Podwójne kopytka, co?

Skinęła głową. Baron wyobraził sobie, jak młoda biała świnia sąsiadów stąpa delikatnie o zmierzchu, srebrząc się wśród pni brzóz.

— Podobno mogą je schwytać tylko małe dziewczynki — mruknął. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

— Czas na kolację — rzekł. — Wszystkie obrusy, noże i widelce są spakowane. Jak będziemy jedli?

— Palcami! — Zerwała się na równe nogi.

— Buty — zarządził i dziewczynka pracowicie włożyła skórzane sandały na drobne, chłodne, brudne stopy.

— Chodź, tato! — zawołała i ruszyła w drogę.

Szybko, acz niechętnie, jakby wcale za nią nie szedł, a jednak trzymając się blisko niej, wszedł między długie, mgliste cienie brzóz, przeszedł wzdłuż płotu, minął kojce dla kurcząt, lśniący staw i wrócił do niewoli.

Wszyscy siedzieli na ziemi pod Czterema Wiązami. Była zimna szynka, pikle, zimny smażony bakłażan z solą, twardy chleb i mocne czerwone wino. Liście wiązu jak cienkie monety przyklejały się do chleba. Czyste, puste po zachodzie słońca, wietrzne niebo odbijało się w stawie i w winie. Stanislas i Paul rozegrali rundę zapasów, obrzucając ziemią resztki szynki; baronowa i Rosa oczyściły ją, lamentując. Chłopcy poszli przepuścić samochody przez tunel w Wysokim Urwisku i omówić szkody, jakie mogą spowodować zimowe deszcze. Bo będzie padało. Przez dziewięć miesięcy ich nieobecności w Asgardzie deszcz będzie padał na drogi, wzgórze i tunel zawali się. Stanislas na chwilę uniósł głowę, myśląc o Dębie w zimie, kiedy nigdy go nie widział, o korzeniach drzewa podtrzymującego świat, pijących pod ziemią ciemny deszcz. Zida objechała dom dwa razy na ramionach jednorożca, krzycząc z radości, zachwycona, że jadła na dworze palcami i siedząc na ziemi, zachwycona, że zobaczyła (kącikiem oka) pierwszą gwiazdę nad wysoko leżącymi, ledwo widocznymi w zmierzchu polami. Jeszcze głośniej krzyczała ze złości, kiedy Rosa zaprowadziła ją do łóżka, po czym natychmiast zasnęła. Gwiazdy wychodziły jedna za drugą, świecąc ludziom prosto w oczy. Chłopcy po kolei poszli spać. Tomas zaszył się z ostatnią butelką w swoim pokoiku nad stajnią, gdzie długo i chrapliwie coś śpiewał. Tylko baron i jego żona zostali w jesiennej ciemności pod liśćmi i gwiazdami.

— Nie chcę wyjeżdżać — mruknęła.

Ja też.

— Odeślijmy książki i ubrania do miasta, a sami zostanemy tu bez nich...

— Na zawsze — dokończył; lecz nie mogli tak zrobić. Na dostosowaniu się do pór

roku zasadza się porządek, który był ich królestwem. Posiedzieli jeszcze przez chwilę przytuleni do siebie jak dwudziestoletni kochankowie; wstając, baron powiedział:

— Chodź, jest już późno, Freyo.

Przeszli przez ciemność do domu i weszli do środka.

W jasnym świetle wczesnego poranka, ubrani w płaszcze i kapelusze, wszyscy jedli chleb, pili gorące mleko i kawę na ganku.

— Jedźcie samochód! — zawołał Paul, upuszczając chleb na ziemię. Taksówka nadjechała, zgrzytając biegami i błyskając ślepyimi reflektorami. Zida spojrzała na nią, na wroga w obrębie murów, i zaczęła płakać. Wierna do ostatka przegranej sprawie lata, została wniesiona do taksówki głową do przodu, krzycząc:

— Nie pojedę! Nie chcę jechać!

Taksówka ruszyła, zgrzytając biegami. Z prawego przedniego okna wystawała głowa Stanisłasa, z lewego tylnego głowa baronowej, a czerwona, smutna i wściekła twarzyczka Zidy była przyciśnięta do owalnej tylnej szyby, tak że cała trójka zobaczyła, jak Tomas macha im na pożegnanie, stojąc w słonecznym blasku pod białymi ścianami Asgardu w misie wzgórz. Paul nie miał dostępu do okna; ale on już myślał o pociągu. Na końcu dymu i lśniących szyn zobaczył blask świec w wysokiej, ciemnej jadalni, oczy konia na biegunach w kącie na strychu, liście na drzewach wilgotne od deszczu po drodze do szkoły i szarą ulicę skróconą przez zimny, mglisty zmierzch, przez który świeciły, odległe i świąteczne, pierwsze lampy uliczne grudnia.

Wszystko to jednak wydarzyło się dawno temu, niemal przed czterdziestu laty; nie wiem, czy wydarza się teraz, nawet w krainach wyobraźni.

SPIS TREŚCI

fontanny	2
kurhan	5
las ile	13
rozmowy nocą	25
droga na wschód	50
bracia i siostry	59
tydzień na wsi	90
an die musik	110
dom	123
pani na moge	132
krainy wyobraźni	142